



DIANA PALMER MEKSYKAŃSKI ŚLUB

DIANA  
PALMER

MEKSYKAŃSKI ŚLUB



Satine

# DIANA PALMER

## MEKSYKAŃSKI ŚLUB

*CÓRKA WŁAŚCICIELA RANCZA, PENELOPA MATHEWS, NIGDY NIE PODEJRZEWAŁA, ŻE JEJ WYPRAWA DO MEKSYKU ZAKOŃCZY SIĘ NAGŁYM ŚLUBEM. JEDNAK KIEDY ATRAKCYJNY MĘŻCZYZNA, W KTÓRYM JEST OD LAT ZAKOCHANA BEZ WZAJEMNOŚCI, KONIECZNIE CHCE SIĘ ŻENIĆ, NIE POTRAFI MU ODMÓWIĆ. TYM BARDZIEJ ŻE C.C. TREMAYNE WYPIŁ MORZE TEQUILI I NIE UZNAJE SPRZECIWU. NIESTETY, NAZAJUTRZ C.C. TREMAYNE NIEWIELE Z TEGO PAMIĘTA... CO WIĘCEJ UWAŻA, ŻE PENELOPA PODSTĘPEM ZŁOWIŁA MĘŻA. POSTANAWIAJĄ TRZYMAĆ SWÓJ ŚLUB W TAJEMNICY. WSZYSTKO ZMIENIA PONOWNY WYJAZD DO MEKSYKU...*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Penelopa była pewna, że tego dnia nie spotka go pośród zabudowań gospodarczych, choć o tej porze zwykle się tam kręcił. C. C. Tremayne lubił być o krok przed swymi ludźmi i nie czekając na nich, pierwszy brał się do karmienia bydła. Tego lata długotrwała susza wypaliła pastwiska zmieniając je w porośnięty rudą trawą ugór. Trudna sytuacja bardzo martwiła jej ojca. W tych stronach, ledwie parę mil od rzeki Rio Grande, woda była na wagę złota: kto miał jej pod dostatkiem, mógł spać spokojnie. Tymczasem wyjątkowe upały sprawiły, że studnie wysychały i w zbiornikach zaczynało jej brakować.

Wrzesień w zachodnim Teksasie z reguły jest bardzo gorący, jednak tego dnia wieczorem zerwał się silny wiatr i zrobiło się chłodno. Wychodząc z domu, Penelopa sięgnęła po kurtkę.

W zapadającym zmroku wypatrywała znajomej sylwetki C.C. Miała nadzieję, że znajdzie go, zanim on

natknie się na jej ojca. Takie spotkanie mogło bowiem skończyć się tylko jednym: kolejną dziką awanturą. Jej ojciec, Ben Mathews, oraz jego brygadzysta już tyle razy skakali sobie do oczu, że Penelopa nie miała ochoty być mimowolnym świadkiem jeszcze jednego starcia. Gdy zaczynało brakować pieniędzy, ojciec zawsze robił się drażliwy i z byle powodu wpadał w złość. Tymczasem sytuacja farmy była tak trudna, że prawdę mówiąc, gorsza być nie mogła.

C.C. pił. Wiedziała o tym. Tak było zawsze, gdy w kalendarzu pojawiała się znajoma data. Nikt poza Penelopą nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zaważył na życiu C.C. tamten wrześnieowy dzień. Jakiś czas temu kurowała go z grypy. Poznała ten fragment jego przeszłości tylko dlatego, że majaczył w malignie. Oczywiście nigdy nie przyznała się, że wie o wszystkim. C. C. - tak go nazywano, choć nikt nie miał pojęcia, od jakich imion pochodzą te inicjały - nie lubił, żeby ktokolwiek wiedział za wiele o jego osobistych sprawach.

Zazdrośnie strzegł swej prywatności i nie dopuszczał do niej nawet dziewczyny, która kochała go jak nikt na świecie.

C. C. jej nie kochał. Mimo że Penelopa dawno pozbyła się złudzeń, wielbiła go od dnia gdy przybył na farmę ojca, by zająć miejsce leciwego zarządcy, który odchodził na zasłużoną emeryturę. Miała wtedy dziewiętnaście lat. Wystarczyło, że raz na niego spojrzała i już nie mogła wyrzucić go z serca. Pokochała jego smukłą sylwetkę, ciemne oczy i pociągłą, ponurą twarz. Od tamtej pory minęły trzy lata a jej uczucia pozostały niezmienione. Nie sądziła, by mogły się kiedykolwiek zmienić. Penelopa Mathews była bardzo uparta. Ojciec stale jej to wytykał.

Skrzywiła się, dostrzegając światło w jednym z baraków. Paliło się, choć jeszcze nie było ciemno. O tej porze cała ekipa była na pastwiskach, przepędzając stada. Właśnie teraz krowy cielily się jedna za drugą, więc wszyscy mieli pełne ręce roboty i kiepskie humory, bo okres narodzin oznaczał mnóstwo pracy i

mało snu. Doszła do wniosku, że w budynku jest C. C. I na pewno pije. Ben Mathews nie tolerował alkoholu na swoim ranczu i nie zamierzał przymykać oczu nawet wtedy, gdy szło o pracownika, którego lubił i poważał.

Penelopa z rezygnacją odgarnęła kosmyk włosów, który wymknął się z końskiego ogona przewiązanego aksamitką dobraną pod kolor jej jasnobrązowych oczu. Nie była ładna, ale za to zgrabna, choć może nieco pulchna. Po prostu ładnie zaokrąglona. Jednym słowem, w obcisłych dżinsach wyglądała bardzo apetycznie. W słońcu jej gęste włosy miały piękny złotawy odcień, taki sam jak piegi na nosie. Wystarczyłoby trochę wysiłku i mogłaby przeistoczyć się w ślicznotkę. Lecz ona była typową chłopczycą: umiała jeździć na wszystkim, co ma koła lub cztery nogi, i strzelać nie gorzej niż jej ojciec. Czasem, w chwilach refleksji, żałowała, że nie jest tak atrakcyjna jak Edie, zamożna rozwódka, z którą spotykał się C.C. jasnowłosa niebieskooka i wyrafinowana. Niejeden dziwił się po cichu, co taka piękność widzi w zwykłym robotniku. Penelopa знаła powody, dla

których C.C. się z nią spotykał. I bardzo ją to bolało.

Zatrzymała się przed wejściem do baraku i nerwowo pocierając ręce o spodnie, zastanawiała się, co robić. Zapukała.

W środku coś załomotało.

- Zjeżdżaj!

Westchnęła, słysząc dobrze znany, gniewny ton. Zanosiło się na poważną przeprawę.

Otworzyła drzwi, by znaleźć się w dusznym pomieszczeniu zastawionym piętrowymi pryzkami. W rogu znajdował się niewielki aneks kuchenny, gdzie mężczyźni przygotowywali sobie po pracy ciepłe posiłki. Stali pracownicy rancza bardzo rzadko nocowali w baraku: większość z nich miała rodziny i własne domy. Wyjątkiem był C. C. W tej chwili poza nim mieszkało tu sześciu sezonowych robotników zatrudnionych na czas cielenia się krów. Jeszcze tydzień, a obcy wyjadą i C.C. znowu będzie miał cały barak dla siebie.

Siedział na krześle mocno odchylony do tyłu, opierając uwalane błotem buciory o blat stołu. Na

głowie miał zsunięty na czoło kapelusz. W ręce trzymał szklanekę z whisky. Gdy skrzypnęły drzwi, uniósł do góry rondo kapelusza, rzucił jej drwiące spojrzenie, po czym z powrotem zsunął go na oczy.

- Czego chcesz? - burknął.

- Uratować twoją nędzną skórę - odparła szorstko, zatraskując za sobą drzwi. Zrzuciła kurtkę, pod którą miała biały sweter, i ruszyła prosto do kuchni, by zaparzyć kawę.

Przyglądał jej się obojętnie.

- Pepi, znowu chcesz mnie ratować? - mruknął. Zwracając się do niej, wszyscy używali tego zdrobnienia. - Dlaczego to robisz?

- Dlatego, że umieram z miłości do ciebie - odparła półgłosem. Choć była do najświętsza prawda, postarała się, by nie zabrzmiało to wiarygodnie.

C.C. tak właśnie odebrał jej słowa.

- Uważaj, bo uwierzę! - roześmiał się nieprzyjemnie i opróżniwszy jednym haustem szklanekę, sięgnął po butelkę.



Penelopa okazała się szybsza: sprzątnęła mu ją sprzed nosa i zanim zdążył podnieść się z krzesła wylała zawartość do zlewu. Nigdy by jej się to nie udało, gdyby C. C. był trzeźwy.

- Coś ty zrobiła?! - krzyknął, spoglądając na pustą butelkę. - To była ostatnia flaszka!

- I bardzo dobrze! Nie będę zmuszona przetrząsać całego baraku. Zaraz dam ci kawy. Musisz być na nogach, zanim wpadnie tu ojciec. - Włączyła ekspres. - Co ty robisz?! Ojciec szuka cię po całej okolicy. Chyba wiesz, co będzie, jeśli znajdzie cię w takim stanie.

- Ale znowu mi się uda, prawda? - szydził, podchodząc do niej. Poczowała na ramionach jego mocne dłonie, które kazały jej oprzeć się o niego plecami. - Obronisz mnie. Jak zawsze.

- Któregoś dnia mogę nie zdążyć - westchnęła. - Co się wtedy z tobą stanie?

Odwrócił ją ku sobie, zmuszając, by spojrzała mu w oczy. Z wrażenia przebiegł ją dreszcz. C. C. prawie nigdy jej nie dotykał. Tylko w żartach albo w tańcu. Do

tej pory podziwiała go z daleka, nie była więc przygotowana na tak bliski kontakt. Bała się, że jej oczy ją zdradzą, więc szybko opuściła wzrok.

- Tylko ciebie obchodzi, co ze mną będzie - mruknął. - Nie wiem, czy mi się podoba, że matkuje mi dziewczyna dwa razy młodsza ode mnie.

- Nie jestem dwa razy młodsza. Gdzie są kubki? - zapytała by zmienić temat.

On jednak nie dał się zagadać. Delikatnie odsunął z jej twarzy kosmyk włosów.

- Pepi, ile ty masz lat?

- Dobrze wiesz, że dwadzieścia dwa. - Starła się zachować spokój. By pokazać, że jego bliskość nie robi na niej żadnego wrażenia, spojrzała mu odważnie w oczy. To, co w nich ujrzała zbiło ją z tropu.

- Dwadzieścia dwa - powtórzył. - A ja trzydzieści. Młoda jesteś. Dlaczego zawracasz sobie mną głowę?

- Jesteś nam bardzo potrzebny na ranczu. To żadna tajemnica, że kiedy się do nas najmowałeś, byliśmy na krawędzi bankructwa - odparła. - Oboje dobrze wiemy,

że twoja smykałka do interesów bardzo się ojcu przydaje. Ale on nie toleruje alkoholu.

- Dlaczego?

- Rok przed twoim przyjazdem moja mama zginęła w wypadku - powiedziała po namyśle. - Prowadził ojciec, mimo że tego dnia pił. - Szarpnęła się lekko, więc cofnął rękę.

W jednej z szafek znalazła nieobtłuczony kubek i naląła do niego mocnej kawy. Postawiła go przed C. C. , który usiadł przy stole i złapał się za głowę.

- Boli?

- Nie za bardzo - burknął, po czym podniósł kubek do ust. Natychmiast jednak odsunął go z odrazą. - Coś ty tam wsypała?

- Nic. Dwa razy więcej kawy niż normalnie. Szybciej wytrzeźwiejesz.

- Nie chcę wytrzeźwieć.

- Wiem. A ja nie chcę, żeby ojciec cię wyrzucił. - Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. - Poza tatą tylko ty jeden nie patrzysz na mnie jak na dziwadło.

Przyjrzał się jej uważnie.

- To znaczy, że jest nas dwoje - zauważył. - Od lat nikt się mną nie przejmuję. Nikt poza tobą.

- Nie zapominaj o Edie - przypomniała mu. - Jej również na tobie zależy.

Wzruszył ramionami.

- Chyba tak. Rozumiemy się, Edie i ja - powiedział półgłosem. Jego oczy przybrały nieobecny wyraz. - Ona jest wyjątkowa.

W łóżku, pomyślała cierpko. Nie mogła powiedzieć tego głośno, bo by się zdemaskowała. Dołała mu kawy.

- Proszę, wypij jeszcze trochę. Strażnicy trzeźwości nie śpią - zażartowała.

- Już mi lepiej - przyznał, dopijając kawę do końca.  
- Przynajmniej na zewnątrz. - Sięgnął po papierosa, zapalił go i głęboko się zaciągnął. - Jak ja nienawidzę tych dni - jęknął znużony.

Nie mogła się przyznać, że wie, co miał na myśli. Doskonale pamiętała każde słowo, które wyjęczał w malignie. Biedny człowiek. Biedny, umęczony

człowiek, który pomimo upływu lat nie potrafi zapomnieć o tragedii, jaka go spotkała. Stracił żonę, która spodziewała się dziecka. Nieszczęście zdarzyło się podczas spływu górską rzeką. C. C. przeżył i z tego powodu dręczyło go poczucie winy.

- Każdy ma lepsze i gorsze dni. - Próbowała go pocieszyć. - Skoro już ci lepiej, wracam do kuchni. Ojciec upomniał się o szarlotkę.

- Lubisz zajmować się domem, prawda? - zapytał niespodziewanie, patrząc jej w oczy. - Spotkasz się wieczorem z Brandonem?

Nie wiedziała, dlaczego się czerwieni.

- Brandon jest weterynarzem - rzuciła krótko - a nie moim chłopakiem.

- Szkoda bo ktoś taki bardzo by ci się przydał - stwierdził, obserwując ją spod zmrużonych powiek. - Jesteś już kobietą, więc potrzebujesz od mężczyzny czegoś więcej niż tylko towarzystwa.

- Dzięki za troskę, ale sama wiem najlepiej, czego mi trzeba - burknęła. - Radzę, wsadź głowę pod pompę i

zrób coś z tymi przekrwionymi oczami. I wypłucz usta płynem odświeżającym. Miętowym.

Westchnął.

- Coś jeszcze, siostró Pepi?

- I przestań się tak zalewać! To w niczym ci nie pomoże, a wręcz przeciwnie, tylko pogorszy sytuację.

- Mądrała! - prychnął. - Za krótko żyjesz, dziecińco, żeby zrozumieć, dlaczego ludzie piją.

- Wiesz, co ci powiem? Że jeszcze nikt nie rozwiązał swoich problemów, uciekając przed nimi w alkohol - odparowała, lecz gdy w jego oczach błysnął gniew, przezornie odwróciła wzrok. - I nie złość się, bo sam wiesz, że to prawda. Od lat grzebiesz się w przeszłości, która zatruwa ci życie. Nie mam pojęcia, co cię w życiu spotkało, ale patrzę i widzę, co się z tobą dzieje - dodała szybko, unikając jego podejrzliwego spojrzenia. - Potrafię rozpoznać człowieka, którego gnębią demony. Zaczynij żyć dniem dzisiejszym. Teraźniejszość nie jest taka zła. Nawet wtedy, kiedy ciela się wszystkie krowy naraz - zażartowała. - Czeka

nas jeszcze wielki spęd bydła - dodała z szelmowskim uśmiechem. - Weź się w garść - rzuciła na odchodnym, po czym wyszła.

Tak bardzo denerwowała się, by niechcący nie powiedzieć za dużo, że z emocji zostawiła w baraku kurtkę. Przypomniała sobie o niej, gdy uderzył w nią silny podmuch wiatru.

- Zaczekaj! Przewieje cię! - zawołał za nią.

Ku jej zaskoczeniu pomógł jej się ubrać. Potem jednak, zamiast ją puścić, przyciągnął ją do siebie tak blisko, że znowu oparła się plecami o jego pierś. Przez rękawy kurtki czuła ciepło jego dłoni, a we włosach jego oddech.

- Oddaj swoje serce innemu, Pepi - powiedział cicho. W jego głosie było tak wiele czułości, że ze wzruszenia mocno zacisnęła powieki. - Ja już nie mam nic do dania.

- Jesteś przyjacielem - szepnęła przez zaciśnięte zęby. - Mam nadzieję, że ty też uważasz mnie za przyjaciela. To wszystko.

Westchnął głęboko, zaciskając palce na jej ramionach.

- To dobrze - orzekł, cofając ręce. - Nie chcę, żebyś przeze mnie cierpiała.

Odwróciła się i spojrzała na niego z wymuszonym uśmiechem. Nie musi wiedzieć, że chwilę wcześniej rozwiązał jej najskrytsze marzenia.

- Wiesz co? Następnym razem, jak będziesz miał ochotę się upić, zjedz parę papryczek chili od Charlie'ego. Skotłują cię nie gorzej niż whisky, ale nie będziesz miał kaca.

- Spadaj! - huknął, rzucając jej złe spojrzenie.

- Jak spotkam ojca powiem mu, że poszedłeś coś przekąsić przed karmieniem bydła - powiedziała z niewinnym uśmiechem. Gdy zamykała drzwi, dobiegło ją zza nich grube przekleństwo.

Ojciec był już w domu. Kiedy weszła, przyjrzał jej się uważnie. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest jego córką, z tą tylko różnicą, że była dziewczyną i nie miała siwych włosów.



- Gdzie byłaś?

- Sprawdzalam, czy sa wszystkie owce - odpowiedziala zdejmujac kurtke.

- Zwlaszcza ta jedna czarna, co?

Zagryzla wargi, a on pokrecil glowa.

- Pepi - zaczal mentorskim tonem - jezeli przylapie go na pijaństwie, natychmiast stąd wyleci. Nie bede patrzył na to, że jest doskonałym pracownikiem. Zresztą zna moje zasady.

- Jest w baraku, tato, je kolacje. Wpadlam tam zapytac, czy chce kawalek mojej... przepraszam, twojej szarlotki.

- To moja szarlotka! - huknal. - Nie bede sie z nikim dzielil!

- Upieklam dwie - uspokoila go, zaraz jednak natarla: - Nie zwolnisz C. C. Dobrze wiesz, że najpierw sam byś się zastrzelil.

Ojciec sluchal jej, spokojnie nabijajac fajke.

- On ci zlami serce - odezwal sie po chwili.

- Wiem.

- Ten człowiek nie jest tym, na kogo wygląda.

- Nie rozumiem... - Spojrzała na niego zaniepokojona.

- To jasne jak słońce. - Jego wzrok powędrował w stronę okna, za którym wirowały drobne płatki śniegu. - Zjawił się tu jako facet bez przeszłości. Bez żadnych referencji, bez dokumentów. Dałem mu pracę, bo zaufałem instynktowi. Zorientowałem się, że chłopina zna się na tej robocie i potrafi liczyć jak mało kto. Ale taki z niego prosty kowboj, jak ze mnie baletnica. Ma w sobie jakąś elegancję. I zna się na interesach w stopniu, o jakim biedakowi nawet się nie śni. Zapamiętaj moje słowa dziecko: on nie jest tym, pod kogo się podszywa.

- Czasami mam wrażenie, że zupełnie tu nie pasuje  
- przyznała ostrożnie.

Nie mogła powiedzieć ojcu całej prawdy. Zresztą znała przecież tylko jej część. Nie miała pojęcia dlaczego odciął się od przeszłości. Na podstawie usłyszanych kiedyś słów wiedziała tylko, że kiedyś był zamożny, że przeżył wielką tragedię i bał się angażować

uczuciowo. Inaczej niż ona. Było już za późno na jakiegokolwiek ostrzeżenia.

- Nie wiadomo, czego się po nim spodziewać - wtrącił cicho ojciec. - Kto wie, czy nie jest zbiegłym więźniem.

- Wątpię! - obruszyła się. - Jest na to zbyt uczciwy. Pamiętasz, kiedyś oddał ci sto dolarów, które zgubiłeś w stodole. Wiele razy widziałam, jak pomagał ludziom. Zgoda, jest porywczy, ale nie okrutny. Ochrzania robotników, ale tylko wtedy, kiedy naprawdę na to zasłużą. Ale nawet wtedy, kiedy jest na nich wściekły, nie traci panowania nad sobą. Nie przypominam sobie, żeby go kiedykolwiek poniosły nerwy.

- Też to zauważyłem. - Zawiesił głos. - Moim zdaniem człowiek, który cały czas się kontroluje, musi mieć ku temu ważne powody. Pepi, pamiętaj, że na świecie nie brak innych facetów. Nie ryzykuj.

- Ty obłudniku. - Roześmiała się. - Myślisz, że nie widzę, jak sam popychasz mnie w jego stronę?

Podniósł ręce do góry.

- Lubię go - przyznał. - Stać mnie na to, jeśli rozumiesz, co mam na myśli...

- Jasne - skrzywiła się. - Niech ci będzie, umówię się z Brandonem do kina. Cieszysz się?

W odpowiedzi zrobił kwaśną minę.

- Też mi pocieszenie - burknął. - Ten cały Brandon to niedorajda. Nie pojmuję, jakim cudem udało mu się skończyć weterynarię. Z takim poczuciem humoru? Jakby mógł, to na wystawie bydła pokazywałby wypchane krowy.

- Facet w sam raz dla mnie - orzekła. - Nieskomplikowany.

- Dzikus!

- Ja go oswoję - obiecała. - A teraz, jeśli pozwolisz, zajmę się szarlotką.

- Ale to ja zaniosę C. C. jego porcję - zaznaczył. - Muszę się upewnić, że coś je.

Pokazała mu język, po czym pomaszerowała do kuchni, zadowolona, że może zniknąć ojcu z oczu.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Brandon Hale był rudy. Penelopa bardzo go lubiła. Gdyby jej serce nie biło dla C. C. , pewnie prędzej czy później wyszłaby za niego za mąż.

Kiedy przyszedł, właśnie siadali z ojcem do kolacji.

- O, szarlotka! - ucieszył się, zerkając łakomie na smakowicie wyglądające ciasto. - Co dobrego, panie Mathews?

- Nic. Głodny jestem - burknął Ben. - Nie gap się tak na moje ciasto, bo i tak się z tobą nie podzielę.

- Podzieli się pan, podzieli. - Brandon uśmiechnął się, po czym dodał: - Przecież musi pan mieć kogoś, kto zbada i zaszczepi cielaki, wyleczy chorego byka... Niedługo zaczyna się spęd, więc...

- To jest chwyt poniżej pasa!

- Jeden mały kawałeczek, nie grubszy niż ostrze noża - przyznał się Brandon.

- Niech stracę. Siadaj. - Ben skapitulował. - Mam nadzieję, że wiesz, jakie to dla mnie wyrzeczenie. Jak

nie przestaniesz przyłazić tu wieczorami bez konkretnego powodu, będziesz się musiał ożenić z Pepi.

- Z dziką radością! - Brandon puścił do niej oczko.

- Tylko powiedz mi kiedy, Pepi.

- Za dwadzieścia lat, dokładnie szóstego lipca - obiecała. - Najpierw chcę trochę pożyć.

- Żyjesz już dwadzieścia dwa lata. Najwyższy czas, żebym miał wnuki - wtrącił Ben.

- To je sobie zrób! - odcięła się. - Mam zamiar zaciągnąć się do Korpusu Pokoju.

Ojciec niemal upuścił filiżankę.

- Co takiego?!

- To, co słyszysz. Postanowiłam poszerzyć swoje horyzonty.

I uciec jak najdalej od C. C. , zanim skapituluję i nie będę w stanie dłużej ukrywać, co do niego czuję, dodała w myślach. Niewiele brakowało, a zdradziłaby się już dziś. C. C. chyba zaczął podejrzewać, że zainteresowanie, które mu okazuje, nie jest całkiem niewinne i na wszelki wypadek uprzedził ją, że nie

potrafi odwzajemnić jej uczuć. Przeczuwała, że sytuacja wkrótce ją przerośnie, dlatego wyjazd z domu, co najmniej na rok, wydawał jej się najlepszym rozwiązaniem. Oraz skutecznym lekarstwem na złamane serce.

- Chyba nie wiesz, co mówisz! - Ben był mocno poirytowany. - Chcesz zginąć z rąk jakichś dzikusów?! W życiu na to nie pozwolę!

- Jestem dorosła. Nie możesz mi niczego zabronić.

- Pomyślałaś o mnie? Kto mi będzie gotował i prowadził dom?

- Weźmiesz kogoś do pomocy.

- Jasne. - Roześmiał się ponuro.

Gorycz w jego głosie przypomniła jej o trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Natychmiast pożałowała, że w ogóle poruszyła temat wyjazdu.

- Przecież nie wyjeżdżam jutro - odezwała się pojednawczo. - Zresztą nie ma sensu martwić się na zapas. Zobaczysz, wszystko się ułoży.

- Módlcie się o deszcz - poradził Brandon, który do tej pory w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. -

Wszyscy się modlą. Kościół pęka w szwach. Dawno nie widziałem tylu ranczerów na mszy.

- Modlitwa potrafi działać cuda. Wiem, co mówię, bo widziałem to na własne oczy - powiedział Ben i po tym wstępie zaczął snuć barwne opowieści. Słuchając ich, Penelopa na chwilę zapomniała o C. C.

Gdy z talerza zniknęła połowa szarlotki, Ben zabrał młodego weterynarza do obory, by ten zbadał chorego byka.

- Nie pracuję wieczorami - wychodząc, Brandon uśmiechnął się do Penelopy - ale dla takiej szarlotki gotów jestem nawet przyjąć poród w środku nocy.

- Zapamiętam twoje słowa. Jak przyjdzie co do czego, nie będziesz mógł się wykręcić - rzuciła zawiadacko.

- Jesteś słodka. Poważnie. Jeśli kiedyś najdzie cię ochota na małżeństwo, wal do mnie jak w dym. Obiecuję, że nie będę się długo opierał.

- Dzięki. Wpiszę cię na listę kandydatów.

- Może pójdziemy w piątek do kina? Przedtem



moglibyśmy pojechać do El Paso na dobrą kolację.

- Bardzo chętnie - ucieszyła się. Brandon był doskonałym kompanem, a ona potrzebowała chwili wytchnienia.

- Wrócę późno! - zawołał z podwórza ojciec. - Nie czekaj na mnie, bo na pewno nie dotrę do domu przed północą. Chcę przejrzeć księgi rachunkowe z Berrym, zanim wpadną w łapy pracownika urzędu skarbowego.

- Baw się dobrze - odkrzyknęła, uśmiechając się do siebie. Często stroili sobie z ojcem żarty z Jacka Berry'ego, który prowadził księgi ich gospodarstwa w sposób mogący wprawić w osłupienie zawodowego księgowego. Wysokość podatku wynikająca z jego wyliczeń zawsze była wielkim przybliżeniem. Już dawno temu powinni byli poszukać kogoś bardziej kompetentnego, Ben jednak miał miękkie serce i żał mu było starego buchaltera. Nie chcąc więc skazywać go na życie z zasiłku, trzymał go, choć w rezultacie sam musiał skrupulatnie przeglądać jego mało precyzyjne wyliczenia. Wrodzona dobroć Bena który na domiar

złego nie odziedziczył po swym ojcu smykałki do interesów, była jednym z powodów kiepskiej kondycji rancza. Gdyby los nie zesłał im pomocnika w osobie rzutkiego C. C. , gospodarstwo na pewno zostałoby zlicytowane już przed trzema laty. I choć niebezpieczeństwo zostało chwilowo zażegnane, nadal wisiało nad nimi widmo bankructwa.

C. C. ... Penelopa pokręciła głową, zerkając w stronę kuchennych drzwi. Martwiła się o niego. Kiedy zajrzała do niego jakiś czas temu, nie był mocno pijany, co w jego przypadku było raczej niezwykle. Gdy bowiem wpadał w swój coroczny alkoholowy ciąg, pił niemal na umór. Uznała że lepiej będzie, jeśli jeszcze raz sprawdzi, co się z nim dzieje, zanim zrobi to ojciec, wracając nocą do domu.

W baraku powoli przybywało lokatorów. Z pastwisk wrócili już trzej nowi pomocnicy. Za to C. C. przepadł jak kamień w wodę.

- Nie mówił, dokąd jedzie - wyjaśnił jeden z mężczyzn - ale chyba ruszył drogą w stronę Juarez.

- Cholera - jęknęła. - Pojechał pickupem czy swoim samochodem?

- Swoim. Tym starym fordem.

Ma szczęście, że chce mi się po niego jechać, mruzczała pod nosem, koncentrując się na drodze. Ciekawe, kto zaopiekuje się tym kowbojem z szaleństwem w oczach, gdy ona stąd wyjedzie? Myśl o tym mocno ją przygnębiła. Okrutna prawda była bowiem taka, że mężczyzna tak atrakcyjny jak C. C. bez trudu znajdzie kobietę, która się nim zaopiekuje. Nie mówiąc już o tym, że jest przecież Edie.

Skreśliła w drogę prowadzącą do granicy z Meksykiem i po chwili rozmawiała ze strażnikiem, który zapamiętał podniszczonego białego forda: w dzień powszedni o tak późnej porze na przejściu prawie nie było ruchu. Przejechała na meksykańską stronę i jadąc wolno ulicami miasta, wypatrywała znajomego samochodu. Nie musiała daleko szukać. Wkrótce dostrzegła go na jednym z wielkich parkingów. Zatrzymała się obok i wysiadła.

Na szczęście nie zdążyła zmienić ubrania i wciąż miała na sobie codzienny strój. W dżinsach, kraciastej koszuli, swetrze i kowbojkach mogła bezpiecznie wtopić się w otoczenie. Szła przed siebie pewnym krokiem, choć wcale nie czuła się komfortowo, nie lubiła bowiem zaglądać do miejsc, w których bywał C. C. , zwłaszcza po nocy. Jakby tego wszystkiego było mało, denerwowała się, że ojciec, wróciwszy do domu, będzie chciał z nią porozmawiać. Wprawdzie zamknęła drzwi do sypialni, tak aby pomyślał, że już dawno śpi, istniało jednak niebezpieczeństwo, że zauważy brak auta. A to na pewno wyda mu się podejrzane. Bardzo nie chciała żeby zwolnił C.C. Wiedziała, że ojciec bardzo go lubi. Jeśli jednak C. C. nie powie mu, dlaczego tak pije - a tego, jak się obawiała nie zrobi na pewno - w końcu pokaże mu drzwi.

Niecałą przecznicę od miejsca, gdzie zostawiła samochód, znajdował się nocny bar. Instykt podpowiadał jej, że znajdzie tam C. C. Gdy zajrzała do środka dostrzegła tylko grupkę Meksykanów oraz paru

młodych Amerykanów. Poszła więc dalej, metodycznie przemierzając kolejne ulice i zaglądając do wszystkich barów. Efekt był taki, że naraziła się na grubiańskie zaczepki podpitych mężczyzn. Zniechęcona, dała w końcu za wygraną i postanowiła wrócić do samochodu. Po drodze jeszcze raz zajrzała przez szybę do pierwszego baru. C. C. siedział przy stole w mrocznym kącie zadymionej sali.

Po chwili wahania pchnęła drzwi i ruszyła w jego stronę.

Powitał ją grubym słowem, na które normalnie nigdy by sobie nie pozwolił. Wyglądał przy tym naprawdę groźnie, zorientowała się więc, że tym razem nie pójdzie jej z nim tak łatwo jak kilka godzin wcześniej. Trzeba zmienić taktykę.

- Cześć - odezwała się łagodnie.

- Po co tu przylazłaś? Jeśli myślisz, że zaciągniesz mnie do domu, lepiej o tym zapomnij - wybełkotał, mierząc ją groźnym spojrzeniem przekrwionych oczu. Na jego stoliku obok niepełnej butelki *tequili* stała pusta

szklaneczka. - Nigdzie się stąd nie ruszę! - zapowiedział z pijackim uporem.

- Strasznie tu gorąco - rzuciła od niechcienia. - Łyk świeżego powietrza na pewno dobrze ci zrobi.

Roześmiał się arogancko.

- Tak myślisz? Ciekawe, co ze mną zrobisz, chłopczyco, jak ci padnę na ulicy? Zarzucisz mnie sobie na plecy i zaniesiesz do samochodu?

Trafił w czuły punkt. Nazwał ją chłopczycą, ale w jego ustach zabrzmiało to jak „herod - baba”. Może zresztą tak właśnie ją postrzegał? Jak chłopaka.

- Mogę spróbować - odparła, nie tracąc zimnej krwi.

Dłuższą chwilę tępo się jej przyglądał.

- Znowu w dzinsach. Zawsze ubrana jak facet. Ej, ty, chłopczyco, masz ty nogi albo cycki?

- Założę się, że nie dojdiesz do samochodu o własnych siłach. - Ignorowała spojrzenia mężczyzn przy barze zaintrygowanych jego okrzykami.

- A właśnie że dojdę - obruszył się, złorzecząc pod

nosem.

- Tak? Pokaż, co potrafisz. Jestem pewna, że padniesz, zanim ujdiesz dwa kroki - prowokowała.

Metoda ta okazała się skuteczna. C. C. postanowił podjąć wyzwanie. Wstał chwiejnie i mrużąc coś do siebie, rzucił na blat banknot dwudziestodolarowy.

- Reszty nie trzeba - oznajmił barmanowi. Zsunął na bok kapelusz i wytoczył się na ulicę.

Idąc z nim, Pepi podziwiała jego wysoką, smukłą sylwetkę. Jednocześnie gratulowała sobie sprytu.

- Ale gorąco. - Z trudem łapał powietrze, ocierając kapeluszem spocone czoło. Spojrzał na nią spod łba. - To co? Idziemy na spacer?

- Jasne.

- Więc chodź do mnie, moja słodka. - Otworzył przed nią ramiona. - Muszę cię pilnować, bo jeszcze mi się zgubisz!

Wiedziała że to tylko pijacki bełkot. Ale gdy ją objął i oparł czoło na jej głowie, była w siódmym niebie. Nawet zapach *tequili* przestał być obrzydliwy.

- Jak bosko... - mamrotał, prowadząc ją w przeciwną stronę niż parking. - Nie chcę wracać na ranczo. Będziemy spacerować całą noc.

- C. C. , bądź rozsądny. Nie włóczmy się po ciemku po tej zakazanej dzielnicy - perswadowała.

- Mam na imię... Connal - oznajmił nieoczekiwanie. Zaskoczył ją. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek pozna jego prawdziwe imię.

- Ładnie. Podoba mi się. - Uśmiechnęła się.

- A ty jesteś Penelopa Marie - parsknął. - Penelopa Marie Mathews.

- Zgadza się. - Nie miała pojęcia, że C. C. zna jej obydwa imiona. Mile ją to połechtało.

- A może zmienilibyśmy twoje nazwisko na Tremayne? - zawahał się. - Czemu nie? I tak bez przerwy mnie niańczysz, Penelopo Marie Mathews, zostań więc moją żoną i rób to dalej, ale już jak Pan Bóg przykazał. - Nie zważając na jej zszokowaną minę, zaczął się rozglądać. - Jest! Wiedziałem, że to gdzieś tu. Kaplica otwarta całą dobę. Idziemy.



- C.C.! Nie możemy tego zrobić!

- Oczywiście, że możemy! - stwierdził, nie zważając na jej przerażenie. - Idziemy, skarbie. Nie musimy mieć żadnych papierów. Ten ślub i tak będzie ważny.

Nerwowo zagryzła wargi. Nie może pozwolić, żeby popełnił takie głupstwo. Udusi ją, kiedy wytrzeźwieje i dowie się, co się stało. Nie dość, że nie wiedziała, czy wydawane w Meksyku akty małżeństwa mają moc wiążącą, nie miała też zielonego pojęcia, jak to wygląda z punktu obowiązującego prawa.

- Posłuchaj... - zaczęła ostrożnie.

- Jeśli za mnie nie wyjdiesz - przerwał jej - wyciągnę spluwę i rozpedzę najbliższy bar. I wylądujemy w więzieniu - straszył ją. - Mówię poważnie, Pepi. Zaraz się przekonasz.

Wyczuła że C.C. nie żartuje. Dała za wygraną. Pocieszała się, że nikt przy zdrowych zmysłach nie zgodzi się udzielić im ślubu, widząc, że pan młody jest kompletnie pijany. Ta myśl trochę ją pokrzepiła. Zamartwiała się jednak, jak zdoła dowieźć go do domu.

C.C miał pozwolenie na broń i często nosił przy sobie berettę. Nie daj Boże, żeby teraz po nią sięgnął i kogoś postrzelił!

Zaciągnął ją do kaplicy. Na nieszczęście Meksykanin, który miał udzielić im ślubu, mówił bardzo słabo po angielsku, ona zaś nie była na tyle biegła w hiszpańskim, by szybko wyjaśnić sytuację. Za to C. C. znał ten język doskonale, przerwał więc jej nieskładne tłumaczenia i powiedział coś, co urzędnik skwitował szerokim uśmiechem. Zaraz też wyszedł, by po chwili wrócić z dwiema kobietami i egzemplarzem Biblii. Bez żadnych wstępów zaczął trajkotać po hiszpańsku, i nim Penelopa pojęła, o co chodzi, najpierw ona, a potem Connal powiedzieli sakramentalne *si*. Ledwie to się stało, kobiety ruszyły ku niej z gratulacjami i pocałunkami. C. C. złożył podpis na kartce papieru, po czym oddał ją urzędnikowi, który coś jeszcze tam dopisał.

- Już po wszystkim - wybełkotał C. C. , odbierając dokument. - Sprawnie, miło i zgodnie z prawem. A

teraz, kochana żono, ucałuj męża! - Wziął głęboki oddech, wyciągnął do niej rękę... i jak długi runął na podłogę.

Wybuchło zamieszanie. W końcu zdołała wytłumaczyć Meksykanom, że musi przenieść C. C. do samochodu. Po krótkiej naradzie jedna z kobiet przyprowadziła kilku młodych ludzi, z wyglądu pospolitych rzezimieszków, którzy wzięli C. C. za ręce i nogi i jak worek paszy zanieśli do pickupa. Z wdzięczności Penelopa zaczęła wciskać im dwa dolary, czyli cały swój majątek, oni jednak, widząc jej zdezelowany samochód, wielkodusznie machnęli ręką. Bratnie dusze, pomyślała ciepło. Biedacy muszą pomagać sobie nawzajem. Podziękowała im raz jeszcze, wsunęła dokument do kieszeni i ruszyła w drogę.

Zajechała przed dom w samą porę. Kiedy mijała bramę, miejsce, w którym parkował jeep ojca nadal było puste. Na wstecznym biegu podjechała pod drzwi baraku i energicznie zapukała.

Otworzył jej Bud, niedawno najęty pomocnik.

- Musisz mi pomóc - zniżyła głos, by nie obudzić jego towarzyszy. - W samochodzie jest C. C. Pomożesz mi zanieść go do łóżka? Nie chcę, żeby ojciec zobaczył go w takim stanie.

- Przywiozła pani szefa? - zdziwił się chłopak. - Co mu jest?

- *Tequila.*

- Poważnie? W życiu bym nie pomyślał, że pije.

- Bo robi to bardzo rzadko - ucięła, nie wchodząc w szczegóły. - Czasem zdarzają mu się wypadki przy pracy, to wszystko. To jak, pomożesz?

- Oczywiście, panno Mathews. - Otworzył na oścież drzwi baraku i w samych skarpetkach poszedł za nią do samochodu. - Oni się nie obudzą, bo są tak zmordowani, że nie ruszy ich nawet salwa armatnia.

- Łaska boska. Zależy mi, żeby ojciec się o tym nie dowiedział.

- Zdaje się, że tatko nie lubi alkoholu.

- Jak byś zgadł - odparła, otwierając drzwi pickupa.

C. C. spał, chrapiąc jak niedźwiedź. Gdyby Bud go

w porę nie złapał, wypadłby z samochodu. Był tak zamroczony, że nie poczuł, gdy chłopak zarzucił go sobie na ramię: chrapał nieprzerwanie.

- Bardzo ci dziękuję, Bud.

- Nie ma sprawy. Życzę spokojnej nocy.

Zaparkowała pickupa za domem i pobiegła do swojego pokoju. Ojciec niczego się nie domyśli.

Kiedy się rozbierała, na podłogę sfrunęła złożona kartka. Schyliła się po nią i, rozłożywszy, przeczytała swoje imię i nazwisko, obok którego wykaligrafowano: Connal Cade Tremayne. Poniżej znajdował się krótki tekst po hiszpańsku oraz pieczęć i podpis. Bez wątpienia akt ślubu. Dzięki Bogu niewart nawet tego kawałka papieru. Nie wyrzuci go: zachowa na pamiątkę, by móc marzyć, jak by to było, gdyby rzeczywiście coś znaczył. Gdyby był prawdziwym świadectwem tego, że Connal ożenił się z nią, bo pragnął jej i ją kochał. Westchnęła.

Położyła się, lecz zamiast zasnąć, rozmyślała o C.C. Biedny facet. Może teraz choć na chwilę uwolni się od

demonów przeszłości. Ciekawe, czy rano będzie pamiętał, co się wydarzyło? I czy nie będzie zły, że wyciągnęła go z baru albo że zostawiła jego obdrapanego fordą w Juarez? Była pewna, że nikt się nie skusi na takie auto, a jak C.C. wytrzeźwieje, na pewno znajdzie się ktoś, kto go podrzuci do miasta. I tak powinien być jej wdzięczny, że po niego pojechała. Nadchodzi zima, więc niełatwo mu będzie znaleźć inną pracę. Tak bardzo nie chciała go stracić. Z dwojga złego woli wzdychać do niego na odległość, niż nigdy więcej go nie zobaczyć. Czy na pewno?

Rankiem obudziło ją głośnie łomotanie do drzwi.

- O co chodzi? - Ziewnęła.

- Nie udawaj, że nie wiesz!

To C. C. ! Usiadła na łóżku w chwili, gdy energicznie pchnął drzwi i bez pytania wpadł do pokoju. Jej przezroczysta nocna koszula miała głęboki dekolt, nim więc zdążyła zasłonić się kołdrą, C. C. miał okazję dobrze się przyjrzeć jej piersiom.

- C.C.! Na miłość boską, co ty wyprawiasz?

- Gdzie to masz? - Niecierpliwił się. Był wściekły.

- O co ci chodzi? Nie jestem jasnowidzem.

- Nie bądź taka dowcipna. - Patrzył na nią tak, jakby szczerze jej nienawidził. - Wszystko pamiętam. I nie zamierzam popełniać tego błędu. Nie z tobą, Pepi. Mogę znieść, że mnie niańczysz. Ale nie zgadzam się, żebyśmy byli małżeństwem. Wytrzeźwiałem. Gdzie akt ślubu?

Oto nadarza się wspaniała okazja ratowania jego godności, tego, co ona do niego czuje, oraz oszczędzenia sobie wstydu, że dała się namówić na tę absurdalną historię. Spokojnie, kochana, pomyślała. W tym kraju taki ślub na pewno nie jest uznawany, więc nic się nie stanie, jeśli mu wmówisz, że w ogóle do niego nie doszło.

- Jaki akt ślubu? - Miała poważną minę i niewinne zdumienie w oczach.

Zaskoczyła go. Był wyraźnie zbity z tropu.

- Byłem w Meksyku. W Juarez, w barze. Przyje-

chałaś po mnie... Potem wzięliśmy ślub.

Otworzyła szeroko oczy.

- Co zrobiliśmy?

Wygrzebał z kieszeni papierosa.

- Jestem pewien - zaczął ostrożnie - że wzięliśmy ślub w małej kaplicy. Wszystko było po hiszpańsku... Dostaliśmy nawet jakiś papier.

- Jedyne papier, jaki widziałam, to dwadzieścia dolarów, które rzuciłeś barmanowi - odparła. - Gdyby Bud, ten nowy, mi nie pomógł i nie zataszczył cię do łóżka, już byś tu dzisiaj nie pracował. Znasz opinię mojego ojca w kwestii gorzały. Tym razem przeholowałeś.

Popatrzył na papierosa, potem spojrział jej prosto w oczy i burknął:

- Przecież sam sobie tego nie wymyśliłem.

- Wczoraj miałeś bardzo bujną fantazję - mówiła wesoło, obracając wszystko w żart. - Dowiedziałam się na przykład, że jesteś policjantem z Teksasu na tropie jakiegoś kryminalisty. Potem, dla odmiany, byłeś



myśliwym polującym na grzechotniki i koniecznie chciałeś jechać na pustynię, żeby do nich strzelać. Dosłownie w ostatniej chwili wyciągnęłam cię z tego baru - kłamała bez zajknięcia.

Uspokoił się trochę.

- Przepraszam. Musiałaś się ze mną nieźle nagimnastykować.

- Owszem, ale nic wielkiego się nie stało. Przynajmniej na razie - dodała, wskazując na kołdrę. - Ale jeśli ojciec zobaczy, że tu jesteś, sprawy mogą się mocno skomplikować.

- Nie gadaj głupstw! - obruszył się. - Daleko ci do uwodzicielskiej *femme fatale*. Jesteś zwyczajną dziewczyną i już.

Znowu padły słowa, które tak bardzo dotknęły ją zeszłej nocy. Mimo to wiedziała, że musi zachować spokój.

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli chcesz zjeść śniadanie, to lepiej już idź. Przypominam ci, że twój samochód został w Juarez.

- Dziwne, że w ogóle tam dojechał - stwierdził sucho. - Przepraszam za kłopot. Czy mimo to dostanę śniadanie?

Odetchnęła z ulgą, szczęśliwa, że już nie musi brnąć w kłamstwa.

- Dostaniesz.

Zanim wyszedł, rzucił jej jeszcze jedno pochmurne spojrzenie.

- Pepi, musisz przestać mnie niańczyć.

- To był ostatni raz - obiecała z zamiarem dotrzymania słowa.

Westchnął głośno.

- Jasne. - Nie uwierzył jej. Zatrzymał się w progu i odwrócony do niej plecami, mruknął: - Dziękuję.

- Już raz mi dziękowałeś - odparła.

Obrócił się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz się rozmyślił. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Z ulgą opadła na poduszkę. Udało się! Teraz musi się tylko dowiedzieć, jak wygląda sytuacja od strony prawnej. A dokładnie, czy przez ten fikcyjny ślub nie

wpakowała się w jak najbardziej realne kłopoty.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Minęło pół dnia, zanim znalazła w sobie dość odwagi, by zadzwonić do prawnika i zorientować się, czy w świetle amerykańskiego prawa faktycznie jest żoną C. C. Musiała być bardzo ostrożna. Nie chciała zwracać się do nikogo znajomego, dlatego wybrała prawnika z El Paso i na wszelki wypadek podała sekretarce fikcyjne nazwisko. Miała dużo szczęścia, ponieważ ktoś odwołał spotkanie, więc szalenie zajęty mecenas mógł ją przyjąć jeszcze tego samego dnia. Wythumaczyła więc sekretarce, jakiego typu porady potrzebuje, napomykając delikatnie o małżeństwie zawartym w Meksyku, które, jak jej się wydaje, w ogóle nie jest ważne. Kobieta zareagowała na to śmiechem, po czym wyjaśniła, że nie ona jedna tak myśli. Penelopa dowiedziała się, że małżeństwa zawierane w Meksyku mają taką samą moc prawną w stanie Teksas. Sekretarka upewniła się jeszcze, czy Penelopa nadal chce umówić się na spotkanie z szefem, po czym

życzyła jej miłego dnia i odłożyła słuchawkę.

Opadła ciężko na fotel opodal stolika z telefonem w holu. Jej serce biło jak oszalałe. Dopóki prawnik nie obejrzy tego dokumentu, można łudzić się, że wszystko skończy się dobrze. Obawiała się jednak, że sekretarka ma rację. W świetle prawa jest panią Tremayne. Żoną Connala Tremayne'a.

O czym on nie ma zielonego pojęcia.

Zdała sobie sprawę, że konsekwencje jej małego oszustwa mogą być bardzo poważne. Zwłaszcza jeśli C. C. zdecyduje się ożenić z Edie i nieświadomie dopuści się bigamii.

Co robić? Jeśli powie mu teraz prawdę, czyli przyzna się, że kłamała w żywe oczy, na zawsze straci jego zaufanie. Co gorsza, C. C. na pewno ją znienawidzi i oskarży, że chciała go usidlić. Nawet nie zechce wysłuchać jej wyjaśnień, że przystała na ten ślub, ponieważ ją szantażował, grożąc wywołaniem burdy, za którą mogli trafić za kratki. Był kompletnie pijany, więc nie odpowiadał za to, co mówi i robi. Ona zaś była

trzeźwa. Co mu odpowie, jeśli zapytają, dlaczego się zgodziła? Czy domyśli się, że jest w nim zakochana po uszy?

Tak się zadręczała tymi pytaniami, że przypaliła przyrządzaną zapiekankę. Kiedy siedli do stołu, ojciec rzucał jej ponure spojrzenia znad talerza.

- Smakuje jak węgiel! - narzekał, trącając widelcem poczerniały ser.

- Przepraszam. - Podczas ostatnich zakupów zapomniała kupić go więcej, nie mogła więc przygotować nowej.

- Od samego rana jesteś czymś zaabsorbowana. - Przyjrzał się uważnie rumieńcom na jej policzkach. - Chcesz o tym pogadać?

Zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Nie, nie ma o czym.

- Czy ma to związek z nocną eskapadą C. C. ?

- Słucham?

- Pytam, czy ma to jakiś związek z C. C. Widziałem, że w nocy nie było jego samochodu. A dzisiaj

pojechał po niego z jednym z pomocników aż do Juarez.

- Zrezygnowany, z niesmakiem odsunął talerz. - Pił, tak?

Nie mogła go okłamać, ale powiedzenie prawdy również nie załatwiało sprawy.

- Jeden z ludzi mówił mi dziś, że C. C. rzeczywiście wypił kilka głębszych - przyznała. - Ale zrobił to po pracy, więc nie masz prawa się go czepiać. Poza tym pije tylko raz w roku.

- Raz w roku? - Zmarszczył czoło.

- Owszem. Tylko proszę, nie pytaj mnie dlaczego, bo i tak nie mogę ci powiedzieć. - Delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu. - Tato, przecież wiesz, że ranczo wychodzi na swoje tylko dzięki temu, że C. C. ma głowę na karku i żyłkę do interesów.

- Wiem - przyznał niechętnie - ale nie mogę traktować go inaczej niż resztę pracowników. Wszystkich muszą obowiązywać takie same zasady.

- Myślę, że on już tego więcej nie zrobi - zapewniła. - Daj spokój, nie przyłapałeś go na gorącym

uczynku.

- Ano, nie przyłapałem. - Skrzywił się. - Ale jeśli kiedyś przyłapię...

- Już to słyszałam. Wywalisz go na zbity pysk. - Uśmiechnęła się. - Pij kawę. Nie jest przypalona. Po południu jadę do El Paso odebrać przesyłkę, którą kiedyś zamówiłam.

- Jaką znowu przesyłkę?

- Prezent z okazji twoich urodzin - improwizowała. Taki powód był bardzo prawdopodobny, gdyż urodziny ojca wypadały za dwa tygodnie.

- Co to za prezent?

- Nie powiem. To niespodzianka!

Na szczęście ojciec nie drażył tematu i chwilę później wyruszył do przerwanej pracy. Penelopa posprzątała ze stołu i zaczęła przygotowywać się do wyjścia. Przez chwilę myślała o tym, w co ma się ubrać. Dżinsy i T - shirt odpadały. Nie jest to odpowiedni strój na sądny dzień, dumiała ponuro.

Ostatecznie zdecydowała się na szeroką dżinsową



spódnicę i błękitną wzorzystą bluzkę. Włosy upięła wysoko, gdyż w takiej fryzurze wyglądała o wiele dojrzalej. Żałowała tylko, że nie da się zakamufłować piegów na nosie. Były na tyle wyraźne, że przebijały nawet spod makijażu. Bardzo starała się wyglądać jak najlepiej. Nawet delikatnie się umalowała. W duchu ubolewała nad swą pełną figurą. Gdyby tak udało jej się zrzucić parę kilo i wyglądać tak wiotko jak Edie...

Z ciężkim westchnieniem wsunęła stopy w pantofle na wysokim obcasie, przełożyła parę rzeczy z torby do eleganckiej torebki i zeszła na dół.

Wychodząc na ganek, wpadła prosto na C. C. Cały był pokryty pyłem i wyglądał na skacowanego. Skórzane osłony na spodnie i widoczne pod nimi dżinsy miał mocno zabrudzone, podobnie jak koszulę, a zakurzony kapelusz z czarnego zrobił się szary.

- Brandon jest w zagrodzie dla bydła - oznajmił. Jego głos i wyraz oczu były mało przyjazne. - To dla niego tak się wystroiłaś?

- Wybieram się na zakupy do El Paso - wyjaśniła. -

Jak głowa? Boli? - Starła się zachowywać naturalnie. Nawet się uśmiechnęła.

- Boli. Ale wykurował mnie pył i muczenie bydła - mruknął. - Pozwól na chwilę. Musimy porozmawiać.

Serce skoczyło jej do gardła. Nie protestowała, kiedy wziął ją za ramię i zaprowadził z powrotem do domu. Dotyk jego ciepłej, mocnej dłoni sprawił jej przyjemność, budząc jednocześnie respekt. Gdy znaleźli się w środku, puścił ją, choć odniosła wrażenie, że zrobił to niezbyt chętnie.

- Słuchaj, Pepi, to się musi skończyć.

- Co?

- To, że za mną łazisz, kiedy raz na rok idę w tango - wyrzucił z siebie poirytowany. Zdjął kapelusz i nerwowo przeczesał palcami mokre od potu pasma czarnych włosów. - Bez przerwy myślę o tym, co mogło ci się przydarzyć w Juarez. Ta dzielnica jest niebezpieczna w biały dzień, a co dopiero po zmroku! Już ci mówiłem, że nie potrzebuję niańki. Nie chcę, żebyś głupio i niepotrzebnie ryzykowała.

- Jest na to prosta rada. Przestań pić.

Z pochmurną miną, w milczeniu wpatrywał się w jej twarz.

- Zdaje się, że będę musiał. Zwłaszcza jeśli pamięć będzie płatała mi takie figle jak zeszłej nocy...

Zebrała całą siłę woli, by z niczym się nie zdradzić.

- Twoje sekrety są bezpieczne - powiedziała teatralnym szeptem, uśmiechając się.

Odetchnął.

- Leć już na te swoje zakupy. - Zmierzył ją od stóp do głów spojrzeniem, jakiego dotąd nie widziała. Poczowała, że nogi niebezpiecznie się pod nią uginają.

- Coś nie tak? - zapytała zmienionym głosem.

Ich spojrzenia spotkały się.

- Zawsze chodzisz w dżinsach, więc już zapomniałem, że masz nogi. - Ze zmysłowym uśmiechem na wargach powiódł po nich wzrokiem. - W dodatku całkiem zgrabne.

- Odczep się od moich nóg. - Zaczerwieniła się.

Nie podobała mu się ta uwaga. Wyczytała to z jego

OCZU.

- Dlaczego? Czy są już wyłączną własnością tego ryżego weterynarza? Mimo że nieustannie temu zaprzeczasz, ten konował zachowuje się jak narzeczony, a nie jak kumpel. Masz dwadzieścia dwa lata. Żyjemy w epoce swobody obyczajów. W dzisiejszych czasach faceci już nie mogą liczyć, że ich żona będzie dziewicą.

Zbladła, gdy padło słowo „żona”. Błyskawicznie wzięła się garść, bo nie mogła pokazać, jak bardzo ją to poruszyło.

- Nie przeczę. Tak, żyjemy w liberalnych czasach - odparła. - Mogę iść do łóżka z kim zechcę.

Spojrzał na nią tak, jakby chciał ją zamordować.

- Ojciec wie, że jesteś taka wyzwolona?

- Im mniej się dowie, tym dla niego lepiej - powiedziała wymijająco. - Muszę już iść.

W jego oczach dostrzegła pogardę.

- A ja myślałem, że jesteś inna, bardziej tradycyjna. Przynajmniej w tych sprawach - wycedził przez zęby.

Zrobiło jej się przykro. Spuściła wzrok na jego

koszulę.

- Moje prywatne sprawy nie powinny cię interesować, tak jak mnie twoje - powiedziała ostrym tonem. - Domyślam się, że ty i Edie też nie gracie w bingo, kiedy się spotykacie, a mimo to nie robię ci wymówek, że źle się prowadzisz.

- Jestem mężczyzną - obruszył się.

- Co z tego? Czy fakt, że nosisz spodnie, daje ci prawo do sypiania z kim popadnie? Skoro faceci chcą, żeby ich kobiety były cnotliwe, one mają prawo oczekiwać od nich tego samego.

Uniósł wysoko brwi.

- Chyba żartujesz! Widziałaś cnotliwego faceta?

- Otóż to. Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem. Muszę już iść.

- Skoro nie idziesz na randkę z tym rudzielcem, to dla kogo tak się wystroiłaś?

- Daj spokój! To tylko zwykła bluzka i spódnica.

- Nie wtedy, kiedy nosi je taka dziewczyna jak ty. -

Przyglądał się jej z uznaniem.

- Jestem gruba - wyrwało jej się.

- Poważnie? - Zapalił papierosa, cały czas patrząc jej w oczy. To natarczywe spojrzenie hipnotyzowało ją, nie pozwalając spuścić wzroku.

Serce biło jej tak mocno, że czuła ból w piersiach. Bezwiednie wbiła paznokcie w torebkę z taką siłą, że na miękkiej skórze powstały ślady.

C. C. zrobił krok w jej stronę. Stał tak blisko, że czuła ciepło bijące od jego ciała. Był od niej dużo wyższy, więc by spojrzeć mu w oczy, musiała unieść wysoko głowę. Nie była w stanie oderwać od niego oczu.

Pieszczotliwie przesunął palcem po jej policzku.

- Myślałem, że jesteś niewinna mała Pepi. - Jeszcze bardziej zniżył głos. - Jeśli tak nie jest, to radzę ci, żebyś się dobrze pilnowała.

Rozchyliła wargi. Była tak oszołomiona jego bliskością, że nie przeszkadzał jej zapach krów ani przypalanej bydlęcej skóry, który na stałe przylgnął do jego ubrania. Gdy patrzyła na jego pełne wargi,

obudziło się w niej nieznane dotąd pragnienie. Przyszło jej do głowy, że mogłaby zwabić go do sypialni i pójść z nim to łóżka. Nie byłoby w tym nic złego, ponieważ w świetle prawa są mężem i żoną, z czego on nie zdaje sobie sprawy. Mogłaby go uwieść. Ta pokusa była tak silna i słodka, że z wrażenia zabrakło jej tchu.

W samą porę pomyślała, co nastąpiłoby potem. Ta perspektywa była już znacznie mniej kusząca. Doświadczony C. C. szybko zorientowałby się, że ma do czynienia z dziewicą. Nawet jeśli nie od razu, to prędzej czy później prawda i tak wyszłaby na jaw. Na dodatek nie wie, że są małżeństwem. Sytuacja mocno by się skomplikowała. Nic z tego, pomyślała zrezygnowana, nie ma szansy nawet na takie pocieszenie. Nawet na jedną noc, którą mogłaby wspominać do końca życia. Musi trzymać się od niego z daleka, dopóki nie wymyśli, jak wyznać mu prawdę.

Cofnęła się.

- Muszę już jechać - powtórzyła z wymuszonym uśmiechem. - Zobaczymy się później.

Mruknął coś niewyraźnie i otworzywszy jej drzwi, z zalem patrzył, jak odchodzi. Zaczynała mu się podobać, co bardzo go denerwowało. Podobnie jak świadomość, że jej pożąda. Jego złość jeszcze wzrosła, kiedy teraz odkrył, że jest bardziej doświadczoną niż mu się wydawało. Nie chciał, by ktokolwiek ją dotykał, zwłaszcza rudy weterynarz!

Pepi opiekowała się nim od tak dawna że z czasem zaczął patrzeć na nią jak właściciel winnicy na swój najlepszy rocznik. Był święcie przekonany, że jest dziewicą. Dobrze, że wyprowadziła go z błędu. Świadomość tego faktu wszystko zmieniała. Lata temu obiecał sobie, że jej nie tknie. Skoro jednak poznała już reguły gry, on nie musi mieć żadnych skrupułów. To dziwne, pomyślał, bo zawsze się peszy, gdy na nią patrzę. Może mimo zapędów rudego weterynarza wcale nie jest taka doświadczona? C. C. zmrużył oczy. W kwestii doświadczenia Brandon nie dorasta mu do pięt. Czyli punkt dla niego. Zadowolony z tego odkrycia uśmiechnął się do siebie, zapalił papierosa i spokojnie



obserwował, jak Pepi wsiada do ojcowskiego lincolna.

Nieświadoma podstępного planu C. C. , Penelopa ostrożnie, by o nic nie zawadzić, wyjechała z podjazdu na drogę. Dłonie, które trzymała na kierownicy, wciąż lekko drżały z emocji wywołanych jego bliskością. C. C. po raz pierwszy, odkąd go znała, zachował się tak, jakby chciał ją poderwać. Być może ośmieliła go aluzja do jej łóżkowych doświadczeń. Nie miała ich wcale. Zachowała się tak, ponieważ poczuła się zagrożona jego spojrzeniami. Zaniepokoiła się, że C. C. skreśli ją z listy gatunków chronionych i zacznie na nią polować. Bzdura, ma przecież Edie. Nie w głowie mu taka świętoszka jak ona. No tak, ale przed chwilą sama dała mu do zrozumienia, że wcale nie jest taka święta. Co będzie, jeśli zacznie się do niej na poważnie dobierać? Wprawdzie kocha go bez pamięci, ale wolałaby, żeby sprawy nie zaszły za daleko.

Jeśli się okaże, że faktycznie są małżeństwem, bez problemu uzyska unieważnienie, powołując się na fakt, że małżeństwo nie zostało skonsumowane. Gdyby zaś

poszła z nim do łóżka musiałaby wystąpić o rozwód, co oznaczało znacznie dłuższą i bardziej skomplikowaną procedurę prawną. Za żadne skarby nie może więc ulec pokusie, choćby ta była nie wiadomo jak silna i słodka.

Kancelaria prawnicza znajdowała się w nowym centrum handlowym na przedmieściach El Paso. Penelopa zaparkowała przed wejściem do okazałego biurowca. Zanim wysiadła z auta, wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Nie miała wątpliwości, że ta rozmowa będzie przykra.

W gabinecie wręczyła prawnikowi akt ślubu. Ten przeczytał go z uwagą. Znał angielski i hiszpański, bez trudu więc rozumiał to, nad czym ona długo ślęczała ze słownikiem.

- Zapewniam panią, że wszystko jest w porządku - oznajmił, zwracając jej dokument. - Proszę przyjąć moje najlepsze życzenia - dodał z uśmiechem.

- On nie wie, że jesteśmy małżeństwem - jęknęła. Krótco przedstawiła mu okoliczności, w których za-

warli ślub. - Czy fakt, że w chwili składania przysięgi był pod wpływem alkoholu, nie ma żadnego znaczenia?

- Skoro był na tyle trzeźwy, by wyrazić zgodę oraz złożyć własnoręczny podpis na dokumencie, to w świetle prawa ten akt zawarcia małżeństwa jest wiążący.

- Wobec tego muszę ten ślub unieważnić.

- Nie będzie z tym żadnego problemu - zapewnił ją z uśmiechem. - Proszę przyjść do mnie z mężem, żeby podpisał...

- Mam mu o tym powiedzieć?!

- Obawiam się, że to konieczne - odparł. - Mimo że nie był świadom, że wstępuje w związek małżeński, to jednak musi wyrazić pisemną zgodę na jego unieważnienie.

Zdruzgotana ukryła twarz w dłoniach.

- Nie mogę tego zrobić! Nie mogę!

- Musi pani. Taka sytuacja może stać się przyczyną licznych komplikacji natury prawnej. Jeśli jest rozsądnym człowiekiem, na pewno to zrozumie.

- Nie liczyłabym na to - westchnęła. - Oczywiście

nie zmienia to faktu, że ma pan rację. Muszę mu o wszystkim powiedzieć. I na pewno to zrobię - obiecała, podając mu rękę na pożegnanie. Nie wspomniała tylko, kiedy to uczyni.

Idąc do samochodu, wyrzucała sobie, że nie wyznała C. C. prawdy, gdy się tego domagał. Po pierwsze chciała oszczędzić mu zażenowania, po drugie była przekonana, że nikomu nie stanie się żadna krzywda. Nie wspominając już o tym, że nie zdołała oprzeć się pokusie, by choć przez kilka dni być jego żoną. Teraz zrozumiała że zachowała się nieodpowiedzialnie. Problem w tym, że nie miała pomysłu, jak z tego wybrnąć.

Na początek postanowiła unikać C. C. Nie było to trudne, ponieważ wszyscy mężczyźni pracowali od rana do nocy przy spędzie bydła. Ona zaś cały wolny czas spędzała w towarzystwie Brandona, żałując po cichu, że nie darzy go takim uczuciem jak C. C. W towarzystwie weterynarza nigdy się nie nudziła. Doskonale się rozumieli i uzupełniali. Ale nic między nimi nie

iskrzyło.

- Wolałbym, żebyś nie spotkała się tak często z Brandonem - oznajmił ojciec, gdy zasiedli do pierwszej od wielu dni wspólnej kolacji. Spęd największych stad dobiegał końca i Ben nareszcie zjawił się w domu.

- Chyba jesteś zazdrosny o to, że piekę dla niego szarlotki - zażartowała.

Ojciec westchnął.

- Bardzo bym chciał, żebyś już wyszła za męża. I była tak szczęśliwa w małżeństwie jak ja i twoja matka. Brandon to porządny chłopak, ale zbyt uległy. Nie minie rok, jak będziesz wodziła go za nos. Ty masz silny charakter. Jak twoja matka. Potrzebujesz mężczyzny, który nie da się zdominować.

Tylko jeden mężczyzna spełniał te wymagania. Gdy o nim pomyślała na jej policzkach pojawił się rumieniec.

- Ten, o którym myślisz, jest już zajęty - powiedziała odwracając wzrok.

Ojciec długo się jej przyglądał.

- Pepi, masz już tyle lat, że powinnaś rozumieć, dlaczego mężczyzna spotyka się z taką kobietą jak Edie. Chłop to chłop. Ma swoje... potrzeby.

Aby ukryć zażenowanie, zaczęła bawić się widelcem.

- To jego prywatna sprawa. - Wzruszyła ramionami.  
- Nie mamy prawa wtrącać się do jego życia.

- Dziwne, że taka kobieta jak Edie zadaje się z brygadzystą. - Bacznie obserwował córkę. - Miastową rozwódka, do tego bogata i przyzwyczajona do luksusu - wyliczał. - Nie zastanawia cię, co ona w nim widzi?

- Jemu też nie brak ogłady. Potrafi się znaleźć w każdym towarzystwie. Pamiętasz, jak dwa lata temu pojechał z nami na konferencję hodowców bydła? - Pepi do dziś była pod wrażeniem. Podczas koktajli C. C. rozmawiał z biznesmenami jak równy z równymi, wymieniając z nimi uwagi na temat giełdy, cen akcji oraz rentowności różnych inwestycji. To wtedy ujrzała go w zupełnie nowym świetle.

- Tak, pamiętam - przyznał ojciec. - Zagadkowy

gość z tego naszego C. C. Przyszedł do nas dosłownie znikąd. Nadal nic nie wiem o jego przeszłości: on nie mówi, ja nie pytam. Czasem coś mu się wymknie. I bez tego widać, że pieniądze i władza to dla niego nie nowina. Nieraz, gdy rozmawiamy o interesach, czuję się przy nim, jakbym dopiero debiutował. Potrafi grać na giełdzie jak mało kto. Gdyby nie on, pewnie nie wyszedłbym na prostą. Do tego te wszystkie nowinki, do których mnie namówił, a które rzeczywiście usprawniają hodowlę! Implanty hormonalne, wszczepianie embrionów, sztuczne unasiennianie... Chociaż ostatnio wspólnie doszliśmy do wniosku, że przestaniemy szpikować zwierzęta hormonami. Organizacje konsumenckie bardzo negatywnie wypowiadają się na temat hormonów.

- C. C. ma w nosie wszelką krytykę - prychnęła.

- Prawda, jednak w tej sprawie byliśmy zgodni. Nie ma sensu upierać się przy hormonach, bo konsumenci nie chcą kupować takiej wołowiny.

Machnęła ręką.

- Nie znam się na tym na tyle, żeby z tobą polemizować. Ale się z tobą zgadzam - przyznała z uśmiechem. - Tato, umówiłam się na piątek z Brandonem. Pojedziemy potańczyć, dobrze?

Nie wyglądał za zadowolonego.

- Idź, ale pamiętaj, że w sobotę są moje urodziny i że ten dzień spędzasz ze mną.

- Nie bój się, nie zapomnę. Które to urodziny? Trzydzieste dziewiąte?

- Nie gadaj tyle, tylko pokrój ciasto - fuknął, wskazując talerz z szarlotką.

Przez resztę tygodnia starała się nie myśleć o C. C. Widywała go jednak, jak objeżdżał konno kolejne zagrody. Towarzyszył mu jeep, w którym siedzieli przedstawiciele innych gospodarstw. Objazd ten miał na celu wyłowienie sztuk należących do innych właścicieli. Wspólne przeglądanie stad było konieczne z racji rozległości terenów prywatnych na południu Teksasu.

Ben Mathews miał dwa ponad tysiące sztuk bydła. Gdy każdej wiosny i jesieni w tym ogromnym stadzie,



rozlokowanym na licznych pastwiskach, krowy zaczynały się cielić, trudno było odnaleźć wszystkie cieleta, zakolczykować je, wytatuować i zaszczepić. Była to ciężką brudną i niewdzięczna robota. Część ludzi rezygnowała po paru dniach, wybierając lżejszą pracę w fabrykach włókienniczych albo magazynach meblowych. Praca kowboja, która niewtajemniczony m wy daje się barwna i romantyczną w rzeczywistości jest zajęciem źle płatnym, męczącym i wyniszczającym. Łączy się z przebywaniem w smrodzie krowiego łajna, przypalonej sierści, skóry i pyłu oraz długimi godzinami w siodle. To także naprawianie urządzeń gospodarczych, pomp tłoczących wodę i opatrywanie zranionych lub chorych zwierząt. Praca na ranchu ojca Penelopy trwała cały rok.

Największą zaletą i dobrodziejstwem tej pracy jest wolność i bliski kontakt z naturą. Kowboj ma czas obserwować chmury na niebie i wsłuchiwać się w rytm otaczającej go przyrody. Żyje zapewne tak, jak człowiek żyć powinien: z dala od zaawansowanej

technologii i zamętu cywilizacji. Nie musi zrywać się na dźwięk budzika ani wypruwać sobie żył, by sprostać wizerunkowi człowieka sukcesu. Nie zarabia wielkich pieniędzy, codziennie ryzykuje zdrowie i życie, ale nagrodą za jego trud jest wolność, o jakiej inni mogą tylko pomarzyć. Jeśli sumiennie wykonuje swoją pracę, nie musi martwić się o przyszłość.

Penelopa doszła do wniosku, że nazwa tego zawodu i związane z nim obowiązki nie przystają do C. C. Bardziej pasował do niego elegancki garnitur niż brudne ubranie robocze. Z drugiej strony wspaniale prezentował się na koniu, dosiadając go tak lekko, jakby urodził się w siodle. Wiele razy obserwowała, jak ujeżdża konie, i musiała przyznać, że podpatrywanie go przy tym zajęciu było prawdziwą ucztą dla oczu. Nigdy nie łamał charakteru zwierzęcia. Wystarczyło jednak, że wskoczył mu na grzbiet, i od razu było wiadomo, kto jest panem. Trzymał się na koniu jak przyklejony. Z błyskiem w oku i w ogromnym skupieniu potrafił okiełznać wierzgające zwierzę i zmusić je do uznania

jego przewagi oraz do uległości.

Obraz ten nasunął jej niepokojące skojarzenie z zupełnie innym podbojem. Mimo braku seksualnego doświadczenia nie była aż tak nieświadoma, by nie wiedzieć, co mężczyźni i kobiety robią w łóżku. Ponieważ miłość fizyczną знаła tylko z teorii, nie potrafiła sobie wyobrazić towarzyszących jej doznań i wrażeń. Intrygowało ją, czy w takich sytuacjach C. C. ma tak samo błyszczące oczy i czy na widok przeżywającej rozkosz kobiety uśmiecha się tak samo dziko i władczo jak wtedy, gdy siłą zmusza do uległości młodego ogiera.

Zaczerwieniła się po uszy. Na szczęście nikogo nie było w pobliżu. Speszona pobiegła do swojego pokoju, by przygotować się do randki z Brandonem.

Wybrali się do restauracji w centrum El Paso, słynącej z gigantycznych steków. Drugą zaletą tego lokalu na czternastym piętrze była zapierająca dech panorama nocnego miasta.

- Uwielbiam ten widok. - Penelopa uśmiechnęła się

do Brandona. Usiedli przy wielkim oknie, przez które widać było szczyty gór. Miasto wzięło nazwę od przełęczy zwanej El Paso del Norte, czyli droga na północ, oddzielającej to pasmo od gór Sierra Juarez.

Jedną z licznych atrakcji tego miasta na pustyni była kolejka napowietrzna, która wywoziła turystów na szczyt Ranger, skąd można było podziwiać pustynię i góry, które razem zajmowały obszar siedmiu tysięcy mil kwadratowych. Prócz tego El Paso przyciągało zwiedzających muzeami, parkami, zabytkowymi budynkami dawnych misji oraz tysiącem innych atrakcji.

Penelopa kochała El Paso, podobnie jak całą pustynną krainę, w której się urodziła. Cieszyły ją kwitnące agawy, opuncje, monumentalne kaktusy, krzewy kreozotowe i cudowne zachody słońca chowającego się za szczyty gór. Jeszcze bliższe jej sercu były okolice Fortu Hancocka, w pobliżu którego znajdowało się ranczo jej ojca.

- Widok faktycznie ładny. - Głos Brandona wyrwał

ją z zamyślenia. - Ale ja wolę patrzeć na ciebie - dodał, spoglądając z aprobatą na jej amarantową sukienkę o prostym co prawda kroju, lecz elegancką. Podobała mu się również jej nowa fryzura, która podkreślała regularne rysy twarzy i duże brązowe oczy. Specjalnie na ten wieczór zrobiła mocniejszy niż zwykle makijaż i wyglądała naprawdę ślicznie. Jednak w opinii Brandona jej największym atutem była figura.

- Czego się państwo napiją? - zapytała kelnerka.

- Dla mnie kieliszek białego wina - powiedziała Penelopa.

- Dla mnie też.

Chwilę później Brandon oparł obie dłonie na białym obrusie.

- Dlaczego nie chcesz za mnie wyjść? - zapytał łagodnie. - Przeszkadza ci mój zawód?

Rozbawił ją tym przypuszczeniem.

- Nie żartuj! Przecież wiesz, że ja też kocham zwierzęta. Po prostu jeszcze nie dojrzałam do małżeństwa - odparła wymijająco. Jednocześnie przypomniła

sobie, że jest już mężatką. Jej dobry nastrój prysł. Nerwowo poprawiła się na krześle ogarnięta poczuciem winy, że siedzi tu z Brandonem, podczas gdy w świetle prawa jest żoną innego mężczyzny. Pocieszała się tym, że jej prawowity małżonek nie ma pojęcia, że jego stan cywilny uległ zmianie.

- Masz już dwadzieścia dwa lata - przypomniał jej Brandon. - Zanim się obejrzysz, będziesz miała już z górki.

- Nie bój się. Nie mam jeszcze pomysłu na życie. - Mówiła szczerą prawdę. Czasami żałowała, że po maturze nie poszła na studia. Miała to w planach, ale okazało się, że w domu czeka na nią mnóstwo obowiązków. - Lubię liczyć, robić różne kalkulacje - odezwała się zamyślona. - Może zapiszę się na kurs księgowości...

- Mogłabyś dla mnie pracować. Bardzo przydałaby mi się księgowa.

- Mojemu ojcu również. Jack Berry, nasz aktualny księgowy, jest beznadziejny. Jestem pewną że tata

natychmiast by mnie zatrudnił. Nie znosi poprawiać błędów Berry'ego.

- O rany! Ale kiecka!

Teatralny szept jej towarzysza bardzo ją zaskoczył. Weterynarz nigdy nie zwracał uwagi na kobiece stroje. Zaintrygowana powędrowała spojrzeniem za jego wzrokiem. Nagle poczuła, że brakuje jej powietrza.

Jej oczom ukazała się Edie. W czerwonej sukni z głębokim dekoltem w kształcie litery V i bez pleców. Tuż za nią stał wyraźnie znudzony C. C. Na jego twarzy widać było ślady zmęczenia po dwóch tygodniach wyczerpującej pracy. Penelopa wolałaby go nie widzieć.

Musiała jednak ściągnąć go wzrokiem, bo nie spodziewanie spojrzął w stronę ich stolika. Czym prędzej się odwróciła i uśmiechnęła do Brandona.

- Nie gap się na nią tak lubieżnie - powiedziała, robiąc słodką minę. - C. C. jest o nią strasznie zazdrosny.

- Dlaczego on tak groźnie na ciebie popatrzył? - zainteresował się Brandon - Miałaś siedzieć w domu?

O co mu chodzi?

- Myślę, że po prostu jest zmęczony - odparła wymijająco. Starła się odsunąć od siebie wspomnienie ostatniej rozmowy w cztery oczy z C. C. przed wizytą u prawnika. Wystarczyło jednak, że przypomniała sobie, jak do niej mówił i jak na nią patrzył, by natychmiast jej puls przyspieszył. Kochała go szczerze i gorąco, lecz jeśli jego zainteresowanie Edie nie jest chwilową fascynacją, nie ma co liczyć na wzajemność. Przez resztę wieczoru omijała go wzrokiem, nie mogła więc widzieć jego ponurej miny oraz skupienia, z jakim pochylał się nad talerzem.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Jeśli Penelopa łudziła się, że po kolacji C. C. i jego towarzyszka wyjdą z restauracji, czekała ją przykra niespodzianka. Zaraz po deserze C. C. wstał od stolika i ruszył w ich stronę, prowadząc za sobą nastroszoną Edie.

- Witajcie. - Brandon powitał ich z uśmiechem. - Jak tam, C. C. , odpocząłeś już po spędzie? Nie będę ukrywał, że mam dosyć tej roboty. Ale jak na złość jutro muszę przebadać dwa stada.

- Dobrze mieć wreszcie trochę wolnego - odparł C. C. , przeszywając Penelopę wzrokiem. - Nie widziałem cię przez dwa tygodnie - zwrócił się do niej. - Unikasz mnie?

Zaskoczył ją tym atakiem i jadowitym tonem głosu. Nie tylko ją. Edie i Brandon wymienili pytające spojrzenia.

- Wcale cię nie unikam - zaprzeczyła nie patrząc mu w oczy. Wspomnienie ich ostatniej rozmowy wciąż

było zbyt świeże.

- Do późnej nocy jeździłeś z ludźmi po pastwiskach, a mnie też nie brakowało zajęć. Pomagałam Wileyowi zorganizować kuchnię polową.

Ranczo Bena Mathewsa jako jedno z nielicznych nadal korzystało z tej formy żywienia robotników. Obszar, na którym znajdowały się pastwiska, był tak rozległy, że codzienne dowożenie dwudziestu czterech mężczyzn na obiad do baraku nie wchodziło w rachubę. Wiley gotował, a ona zajmowała się aprowizacją.

- Do tej pory przyjeżdżałaś popatrzeć, jak pracujemy. - C. C. nie ustępował.

Nie miała ochoty kontynuować tego tematu. Aby zyskać na czasie, bawiła się serwetką, kątem oka obserwując Edie.

- Utyłam - rzuciła w końcu. Przeniosła na niego gniewne spojrzenie. - Wystarczy ci? Trudno mi dosiąść konia. Zadowolony?

- Nie masz nadwagi - obruszył się C. C.

- Może trochę... - powiedziała Edie ze współ-

czuciem, biorąc go pod ramię. - My, kobiety, czujemy każdy zbędny kilogram, prawda, Penelopo? - W jej uśmiechu czaiła się drwina. - Zwłaszcza jeśli tłuszczuk odkłada nam się na biodrach.

Jakich biodrach? - chciała zapytać Pepi. Edie była chuda jak patyk. Jej komentarz uraził Penelopę do żywego. Po co w ogóle poruszyła temat tuszy? To wina C. C. Kiedy był blisko, zawsze wyskakiwała z jakimś idiotycznym tekstem i robiła z siebie głupią gęś.

- Uważam, że Pepi jest w sam raz. - Brandon uśmiechnął się do niej ciepło. - Taka mi się podoba i już!

- Jesteś bardzo miły.

- Dlaczego nie ma tu twojego ojca? - dopytywał się C. C. Nie mógł spokojnie patrzeć, jak Pepi wdzięczy się do weterynarza.

Spojrzała na niego tak, jakby postradał zmysły.

- Nie zabieram ojca na randki.

- Jutro są jego urodziny - wypomniał jej. To, że Pepi spotyka się z Hale'em, a jego unika sprawiało mu

przykrość. Domyślał się, że sam ją spłoszył, gdy podczas ostatniej rozmowy powiedział trochę za dużo. Podejrzanie, że sypia z tym rudym durniem, doprowadzało go do szewskiej pasji. Pepi w łóżku innego faceta! Swobodą z jaką dała mu do zrozumienia, że nie jest niewinna, sprawiła że podczas całego spędu był zły i rozdrażniony. Przekonany wcześniej o jej dziewictwie, setki razy śnił, że uwalnia ją od tego problemu i delikatnie wprowadza w świat miłości. Gdy nagle pozbawiła go wszelkich złudzeń, postanowił uprzykrzyć jej życie.

- Nie musisz mi przypominać o urodzinach taty - obruszyła się. - Jutro z rana zabieramy go z Brandonem na paradę z okazji Dnia Niepodległości Meksyku. Prawda? - zapytała wpatrując się w przyjaciela z napięciem. W rzeczywistości nigdzie się nie wybierali, jednak nie chciała się przyznać, że planowała upiec urodzinowy tort i przygotować uroczystą kolację. Nie będzie się tłumaczyć przed kimś, kto patrzy na nią jak na wroga publicznego numer jeden oraz wyrodną córkę.

- Tak, tak. - Na szczęście Brandon wykazał się refleksem.

Znowu ten ryży! C. C. ze złości zacisnął zęby. Najpierw popatrzył wyniośle na Pepi, potem rzucił Brandonowi pogardliwe spojrzenie.

- Ojciec będzie wam do zgonnie wdzięczny za takie urodziny.

- Na miłość boską, C. C. ! Co cię ugryzło?! - Penelopa nie wytrzymała. Czy C. C. chce sprowokować awanturę? Zauważyła, że i Edie jest zaniepokojona zachowaniem swojego towarzysza.

- C. C. jest zmęczony. Ma za sobą kilka tygodni morderczej harówki. - Brandon starał się rozładować atmosferę. - Wiem, bo sam też się urobiłem.

- Spęd to bardzo nerwowy okres - podsumowała Penelopa, po czym zwróciła się do Edie. - Co u ciebie? Fantastyczna suknia.

- Ta szmata?! - Blond piękność roześmiała się. - Chciałam zwrócić uwagę tego tu pana ale nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

- Tak myślisz? - C. C. się ocknął. Raz jeszcze spojrzał na Pepi, a potem objął przyjaciółkę i mocno przytulił. - Chodźmy stąd - mruknął, zaglądając jej w oczy. - Udowodnię ci, że nie masz racji.

- To brzmi obiecująco... - szepnęła Edie. - Bawcie się dobrze.

Penelopa wolała nie patrzeć za nimi. Ta kobieta wychodzi z jej mężem! Miała ochotę rzucić się na nią z pazurami. Poszli do swojego miłosnego gniazdka. Wyobraziła sobie, co będą tam robili. Zrozpaczona, mocno zacisnęła zęby.

- Biedactwo... - W czach Brandona malowało się współczucie. - Nareszcie zrozumiałem.

- Czuję się za niego odpowiedzialna - próbowała się bronić. - Jestem nadopiekuńcza. Muszę z tym skończyć. On nie jest dzieckiem, więc nie powinnam mu matkować. Wystarczy raz na rok.

Brandon nie był przekonany. Delikatnie położył rękę na jej dłoni.

- Jeśli kiedykolwiek zechcesz się wypłakać, służę

ramieniem - mówił łagodnie. - A jak już się odkochasz...

- Dziękuję.

- Wiesz, że nie mogę jechać z wami na paradę?

Pokiwała głową.

- Sama nie wiem, po co to powiedziałam. Byłam na niego zła. Zrobię ojcu tort, to wszystko.

- Z dużą chęcią pomógłbym mu go zjeść, ale do późnej nocy będę miał robotę przy stadzie starego Reynoldsa. Wątpię, żebym skończył przed północą.

- Zostawię ci kawałek. Dziękuję, że pomogłeś mi ocalić twarz.

- Nie ma sprawy. Nie rozumiem, dlaczego C. C. tak się ciebie czepiał. On nie robi publicznych awantur. O co mu chodziło z tymi urodzinami?

Nie mogła mu wyjawiać, że C. C. zachowuje się nieznośnie od dnia, gdy okłamała go, że nie jest dziewczicą.

- Podejrzewam, że nie posłużyła mu dwutygodniowa rozłaka z Edie - powiedziała ze smutkiem. Wolą

nie myśleć, w jaki sposób C. C. sobie to powetuje.

Czuła się podle.

- Gdybyś wiedział, jak wszystko się skomplikowało - westchnęła. - Wpakowałam się w straszne tarapaty, ale nawet nie mogę ci o tym opowiedzieć. Chodźmy już, dobrze? Rozbolała mnie głowa.

Brandon odwiózł ją do domu i nawet nie próbował pocałować na dobranoc. Pojawienie się C. C. zepsuło jej nastrój. Obiecała sobie przez jakiś czas o nim nie myśleć. Jednak wszystko potoczyło się całkiem inaczej.

Przez całą noc prawie nie zmrużyła oka. Wstała z tępych bólem głowy, który znacznie się nasilił, gdy zobaczyła C. C. Przyszedł do kuchni pogodny i odprężony, z miną najedzonego kocura który przed chwilą pożarł kanarka. Od razu domyśliła się, skąd ta nagła zmiana usposobienia. Jej przyczyną na pewno była słodka noc z Edie. Mimo że od dawna podejrzewała, że jego związek z efektowną blondynką nie jest platoniczny, uległa fali emocji. Powitała go spojrzeniem pełnym wrogości.



- Czego chcesz? - burknęła.

- Na początek może być kawa. A potem chciałbym zamienić parę słów z twoim ojcem, zanim razem z tym ryżym zabierzecie go do miasta.

Zeszłego wieczoru bezczelnie go okłamała. Teraz, gdy się tego domyślił, stała przed nim czerwona jak burak.

Przyglądał się jej z ukosa. Oparty niedbale o kuchenną szafkę, uniósł do góry rondo kapelusza i patrzył na nią wyczekująco.

- Zabieracie go na tę paradę czy nie zabieracie? - W jego głosie nie było już agresji, która tak bardzo zaszokowała ją w restauracji.

Pokręciła głową i spuściwszy oczy, wycierała w fartuch oproszone mąką ręce.

- Dlaczego powiedziałaś, że jedzicie do miasta?

- Bo się mnie czepiałeś - odparła ze złością. - Próbowałeś mi wmówić, że jestem wyrodną córką, która zaniedbuje własnego ojca.

Wolno przesunął wzrokiem po jej sylwetce. Tak

wymownie, że przeszły ją ciarki. Żaden mężczyzna jeszcze tak na nią nie patrzył. Czuła się tak, jakby C. C. dotknął jej nagich piersi. Wstrzymała oddech.

W oczach Penelopy wyczytał, że nie jest jej obojętny. Może i miała jakieś doświadczenie w miłości, ale nie potrafiła ukryć, że jego bliskość działa jej na zmysły. Zadowolony z tego odkrycia, uśmiechnął się do siebie.

- Wiem, że dbasz o ojca - powiedział pojednawczym tonem. - Ale nie podoba mi się, że tak często spotykasz się z tym weterynarzem.

- Brandon jest...

- To pajac! - rzucił już bez cienia uśmiechu. - Nieodpowiedzialny i niedojrzały. Nie dla takiej mądrej dziewczyny jak ty. Założę się, że ani razu cię nie zaspokoił.

Wiadomo, co miał na myśli. Niewiele brakowało, a wypuściłaby z rąk torbę mąki. Odwrócona do niego plecami i drżącymi dłońmi wykrawała sucharki, modląc się, żeby zostawił ją w spokoju.

- Lubię jego poczucie humoru - odezwała się po chwili.

Stanął za nią tak blisko, że wyraźnie czuła bijące od niego ciepło i zapach wody kolońskiej. Niespodziewanie dla samej siebie zapragnęła żeby jej dotknął. W napięciu czekała, by objął ją w talii, a potem przesunął ręce wyżej, ku jej pełnym piersiom, by zamknął je w dłoniach...

- Co robisz?

Zamrugła jakby wyrwał ją ze snu. Nie dotknął jej. Czuła jego oddech na karku, lecz on tylko zaglądał przez ramię. To wszystko. A ona marzyła, by go całować, dotykać, przytulić się do niego. Zacisnęła zęby, próbując przewyciężyć zamęt, jaki ogarnął jej ciało. Może C. C. jeszcze się nie zorientował, jakie robi na niej wrażenie? Niech tak zostanie.

- Sucharki. - Czy ten ochrypły głos naprawdę należy do niej?

- Będzie jajecznicą z szynką? Uwielbiam wiejską szynkę.

- Zaraz usmażę. Weź sobie kawę. Stoi na kuchni.

- Widzę.

Nie ruszył się z miejsca. Niepewną ręką przekładała ciasto na blachę. Dlaczego on ją tak dręczy? Wewnętrzne napięcie sprawiało, że miała ochotę krzyknąć.

Obróciła się w jego stronę i spojrzała mu w oczy. I już miała odpowiedź! Ich kpiący wyraz powiedział jej, że C. C. wie doskonale, jak bardzo na nią działa.

- Przeszkadzam ci? - mruknął, z premedytacją przenosząc wzrok na jej pełne wargi. - Chyba nie, skoro wystarcza ci Brandon.

- A tobie wystarcza Edie? - zrewanżowała się.

- Jak mnie najdzie ochotą satysfakcjonuje mnie wszystko, co ma cycki - odciął się zły, że Pepi nie chce się przyznać, że ją zauroczył.

- C.C.! - oburzyła się.

Nagle oparł ręce o blat stołu, zamykając ją nimi jak w klatce. Zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, że pociągam cię jako mężczyzna? Dlaczego?

- Przestań - szepnęła. - Przez tyle lat opiekuję się tobą, robię, co mogę, żeby ci pomóc, a ty tak mi odpłacasz za moją przyjaźń?

Obrzucił ją twardym spojrzeniem.

- Mówiłem ci setki razy, że nie potrzebuję niańki. Unikasz mnie i to mi się nie podoba. Chcę wiedzieć, dlaczego to robisz.

- Uważasz, że w ten sposób czegoś się ode mnie dowiesz? - zapytała drżącym głosem.

- To jest jedyny sposób. Stronisz ode mnie od naszej rozmowy na ganku. A właściwie już wcześniej. Od tamtej nocy w Juarez. Co ja ci wtedy zrobiłem, Pepi? Zacząłem się do ciebie dobierać?

- Nie!

- Więc co się stało?

Nie mogła mu powiedzieć prawdy. Wiedziała, że powinna, ale nie mogła się na to zdobyć.

- Powiedziałeś mi... - zaczęła ostrożnie, nie patrząc mu w oczy - że mogłabym na własnych plecach zanieść cię do samochodu. Nazwałeś mnie chłopczycą. ..

Nic z tego nie pamiętał. Wystarczyło jednak, że spojrzał w jej smutne oczy. Zrobiło mu się przykro.

- Byłem pijany - tłumaczył się. - Przecież wiesz, że wcale tak nie myślę. To nieprawda.

Roześmiała się gorzko.

- Podobno alkohol rozwiązuje ludziom języki i dopiero wtedy mają odwagę powiedzieć, co naprawdę myślą.

Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Powiedziałem ci coś jeszcze?

- To mi wystarczyło. Reszty wolałam nie słuchać.

- I dlatego jesteś na mnie obrażona? - mówił tak, jakby naprawdę się przejął. Tak zresztą było. Bolało go, że Pepi przed nim ucieka. Od dawna nic go tak mocno nie ubodło.

Zawahała się. Potem skinęła głową.

C. C. wolno pochylił się ku niej i delikatnie potarł policzkiem o jej policzek. Atmosfera w kuchni stała się nieznośnie duszna. Penelopa mogłaby przysiąc, że słyszy bicie własnego serca. A może to biło serce C. C.

? Policzek był ciepły i szorstki, pachniał wodą kolońską i papierosami. C. C. nie próbował jej pocałować, nawet jej nie objął. Po prostu przytulił twarz do jej twarzy. Czowała łaskotanie rzes i ciepły oddech, który rozkosznie rozgrzewał ciało, gdy oparłszy czoło o obojczyk, zaczął wolno odsuwać brodą brzeg bluzki, odsłaniając aksamitną skórę na jej piersiach...

- Pepi, gdzie jest gazeta? - Donośny głos ojca dobiegał z holu.

C. C. bez pośpiechu podniósł głowę i zmrużywszy oczy, spojrzał jej w twarz. Potem odsunął się, ale nie odrywał wzroku od dekoltu.

Odważyła się spojrzeć mu w oczy. Przez nieskończenie długą chwilę nie mogła się od nich oderwać. W końcu obróciła się na pięcie i sięgnęła po formę z sucharkami.

- Tu jesteś! Cześć, C. C. - Ojciec wszedł do kuchni.  
- Znalazłem już gazetę - oznajmił, machając nią w ich stronę.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! - Pepi

zmusiła się do radosnego uśmiechu. - Właśnie robię dla nas śniadanie.

- Widzę. A co z tortem?

- Będzie! Kokosowy, taki jak lubisz. A do tego pyszna kolacja - obiecała.

- C. C. , czuj się zaproszony. Wspaniałomyślnie podzielę się z tobą moim urodzinowym tortem - zachęcał Ben.

- Chętnie skorzystałbym z zaproszenia, ale mam już inne plany. Obiecałem Edie, że zabiorę ją na paradę, a potem na zakupy do Juarez.

- W takim razie życzę wam miłej zabawy. - Ben zaczynał wyczuwać, że coś wisi w powietrzu.

- A może byście pojechali z nami? Pepi, ty oczywiście też - rzucił C. C. niedbale. - Uczcimy twoje urodziny po meksykańskiej stronie.

- Świetny pomysł! - ucieszył się ojciec. - Już nie pamiętam, kiedy miałem wolny dzień. Ja trochę odpocznę, a Pepi będzie miała rozrywkę. A wieczorem przyjedziecie do nas na kolację. Pepi, jak ci się podoba



taki plan?

Wolałaby umrzeć. Zaraz zejdzie z tego świata. Dziękowała Bogu, że żaden z nich nie widzi wyrazu jej twarzy.

- Jasne, że mogą do nas przyjść - wycedziła przez zęby. - Będzie piękna impreza. - Co miała powiedzieć? Ojciec ma urodziny, powinien więc spędzić ten dzień tak, jak chce. Policzki wciąż jej pałały w miejscu, gdzie dotykał ich C. C. Jak po tym, co się przed chwilą stało, zniesie widok Edie uwieszanej na jego ramieniu? Gdy uświadomiła sobie, że będzie musiała patrzeć na to przez cały dzień, miała ochotę wybiec z krzykiem na podwórze.

- Jedziemy w czwórkę, bez weterynarza - zastrzegł się C. C. , siadając przy stole z kubkiem kawy.

- I tak by z nami nie pojechał. - Żeby wydobyć z siebie głos, musiała najpierw odkaszlnąć.

- Wydawało mi się, że lubisz Brandona. - Ben przyjrzał mu się badawczo.

- Lubię. Ale wkurza mnie, że się kręci koło Pepi -

wyznał szczerze. - Pepi zasługuje na kogoś lepszego - dodał, zerkając w jej stronę.

Ben zaśmiał się pod nosem. Powoli zaczynał rozumieć, skąd wzięła się ta gęsta atmosfera. Zaintrygowany, przyjrzał się córce. Nie mógł nie zauważyć jej zarumienionych policzków i drżenia rąk, gdy wsuwała blachę do piekarnika. Ciekawe, co tu się działo? - pomyślał. Lecz C. C. zagadnął go o sztuki przeznaczone do uboju, więc rozmowa szybko zeszła na inne tory.

Sucharki błyskawicznie zniknęły ze stołu. Jajecznica na wiejskiej szynce skończyła się jeszcze szybciej.

- Jesteście jak dwa odkurzacze! - Udawiała, że jest rozgniewana.

- Nic na to nie poradzimy, że jesteś najlepszą kucharką w okolicy - powiedział C. C. tonem niewiniątka.

- Dobra kucharka to większy skarb niż ślicznotka z okładki - powiedział Ben z przekonaniem. - Radzę ci, stary, ty się a nią ożeń, zanim spakuje manatki i będzie gotować dla innego.

- Tato! - krzyknęła przerażoną ponieważ przypomniała sobie o akcie ślubu w szufladzie.

C. C. ściągnął brwi. Pepi zachowywała się dziwnie. Pięć minut temu tuliła się do niego, a teraz peszyła się jak zakonnica. Nie chciało mu się wierzyć, że jedyną przyczyną jej zmiennych nastrojów były przykre słowa, które padły z jego ust w Juarez. Musi być coś jeszcze. Był przekonany, że tamtej nocy coś się między nimi wydarzyło. Ale co?

- Nie zamierzam się żenić ani z dobrą kucharką, ani z królową piękności - mruknął C. C.

- Nie chcesz mieć dzieci? - zdziwił się Ben.

Na widok bólu, jaki wywołało w oczach C. C. to niewinne pytanie, Penelopa o mało się nie rozpląkała. Znała ten fragment jego przeszłości.

- Tato, może jeszcze sucharka? - Pospiesznie podsunęła ojcu talerz.

Ben natychmiast zorientował się, że popełnił gafę.

- Gdzie jest miód? - zapytał, przerywając niezręczną ciszę. - Nie ma? No wiesz, Pepi, wyżarłaś mój

miód!

- Twoja była szarlotka! A ponieważ zjadłeś ją sam, a mnie nie zostawiłeś ani kawałka zapomnij o miodzie.

C. C. docenił, że Pepi stara się go chronić. Cały czas dyskretnie ją obserwował. Jest bardzo ładna. Taka pulchna. Wcale nie uważał, że jest gruba. Wręcz przeciwnie, ma taką figurę, jaką powinna mieć każda kobieta: ponętnie zaokrągloną. Lubił patrzeć na jej piegi i włosy, które lśniły w słońcu ciepłymi odcieniami miodu. Podobało mu się, jak mówi, jak pachnie. Czasem myślał sobie, że gdyby nie tragiczna przeszłość, której nie mógł wymazać z pamięci, któregoś dnia mógłby się z nią ożenić. Lecz po tym, przez co przeszedł, skreślił małżeństwo raz na zawsze. Ten rozdział życia uznał za zamknięty. I choć był zazdrosny o weterynarza, rozsądek podpowiadał mu, że Brandon jest dla niej bardziej odpowiednim partnerem.

Nie powinien był jej dotykać. Teraz musi szybko naprawić szkody, które wyrządził takim nieodpowiedzialnym zachowaniem. Doszedł do wniosku, że

powinien rozwiać złudzenia Pepi, wykorzystując do tego Edie. Będzie to dla Pepi bolesne, ale lepszy krótki ból niż wielkie rozczarowanie. Musi zrozumieć, że może liczyć tylko na jego przyjaźń. Wiedział, że nie będzie to łatwe także dla niego. Ta mała uderzyła mu do głowy jak mocny trunek. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego traci przy niej samokontrolę i skąd wzięła się ta nagła fascynacja jej osobą. Może to z powodu przemęczenia nadmiernym wysiłkiem. Ściągnął mocno brwi i zadumał się nad kubkiem zimnej kawy. Być może powinien pomyśleć o urlopie. Od trzech lat haruje od świtu do nocy i ani razu nie wziął wolnego dnia. Może już czas, żeby pojechał do domu, do Jacobsville, i sprawdził, jak jego trzech bracia zarządzają rodzinnym majątkiem. Przy okazji przekona się, czy jest gotów zmierzyć się z przeszłością.

- Ej, C. C. ! Pytam, o której chcecie jechać do miasta? - powtórzył Ben.

- Około wpół do dziesiątej. Nie chcemy spóźnić się na paradę.

- Na pewno chcesz, żebyśmy z wami jechali? - W głosie Pepi brzmiało wyraźne wahanie.

- Dziś są urodziny twojego ojca. - Wstał od stołu. - Edie i ja lubimy towarzystwo. Najczęściej jesteśmy sami, dlatego od czasu do czasu lubimy spotkać się z ludźmi. Zresztą zdążymy się sobą nacieszyć dziś wieczorem.

Ben roześmiał się domyślnie, Pepi zaś poczuła się tak, jakby C. C. uderzył ją w twarz. Dopiero co byli ze sobą tak blisko! Czy naprawdę musi przypominać jej w tak brutalny sposób, że należy do innej? Podniosła się i zaczęła sprzątać ze stołu.

C. C. wyszedł z kuchni, nie oglądając się za siebie. Nie chciał wyrządzić jej krzywdy. Nie powinien był jej zaczepiać.

Poszła na górę, żeby się przebrać. W pierwszej chwili miała ochotę włożyć barwną meksykańską sukienkę z haftami i koronką. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że skoro jedzie z nimi Edie, nie warto się starać. Cokolwiek by włożyła obok szycowej

blondynki będzie wyglądała jak słońca.

W odruchu buntu wyciągnęła z szafy workowate szare spodnie i obszerny T - shirt w kolorze khaki. Włosy związała w koński ogon. Przeglądając się w lustrze, stwierdziła że osiągnęła zamierzony efekt: w takich ciuchach i bez śladu makijażu wygląda okropnie. I o to jej chodzi. Niech C. C. Tremayne nie wyobraża sobie, że będzie się dla niego stroić.

Kiedy zeszła na dół, C. C. i ojciec wytrzeszczyli oczy.

- Co ci się stało? - zdumiał się C. C. Miał na sobie żółtą koszulę, jasne spodnie i kremowy kapelusz.

- Zawsze tak wyglądam - burknęła.

- Wczoraj wieczorem wyglądałaś zupełnie inaczej !

- powiedział z wyrzutem.

- Wczoraj wieczorem ubrałam się dla Brandona - odparła, patrząc mu w oczy. - Dla ciebie stroi się Edie.

C. C. odwrócił wzrok. Wiedział, że zasłużył na te słowa.

Ben zerknął ponuro na córkę.

- Mogłabyś dla mnie włożyć tę meksykańską sukienkę. W sam raz na fiestę. - Wzruszył ramionami i poszedł po kapelusz.

- Za ciasna - skłamała. - Wyglądam w niej jak hipopotam.

- Przestań gadać bzdury! - zdenerwował się C. C. - Skąd ci przyszło do głowy, że jesteś gruba? Przynajmniej na pierwszy rzut oka wiadomo, że jesteś kobietą, a nie zjawą.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła go zrozumieć. Od jakiegoś czasu był zupełnie nieprzewidywalny. Ciągłe zmienia mu się nastrój. Jakby się zakochał. Pewnie niebawem usłyszą o zaręczynach. A tak się zaklinał, że nie zamierza się żenić! Sięgnęła po torebkę.

Znudzona i zła Edie czekała na nich w aucie C. C.

- Nareszcie! - fuknęła. - Macie pojęcie, jak tu gorąco?

- Przepraszam. Szukałem kapelusza - usprawiedliwiał się Ben, sadowiąc się na tylnym siedzeniu obok



córki.

- To ja przepraszam - krygowała się Edie. - To nie był wyrzut. Bardzo się cieszymy, że jedziecie z nami. Ben, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

- Bardzo dziękuję. - Ben zerknął ukradkiem na posmutniałą twarz Pepi, która nie odrywała wzroku od szyby. Domyślał się, jak czuje się jego córka. Mężnie udawała że nie jest zakochana w C. C. , ale kiepsko jej to szło.

- Tak się cieszę, że zobaczymy tę paradę - szczebiotowała Edie, poprawiając makijaż w lusterku. - Pepi, pożyczyć ci szminkę?

- Dzięki, nie maluję się.

Edie wzruszyła ramionami.

Barwna parada z okazji Dnia Niepodległości jak zawsze przyciągnęła tłumy. Penelopa uwielbiała to święto z głośną muzyką, gigantycznymi balonami i karnawałową atmosferą. Dziś jednak nic nie było w stanie jej ucieszyć. By nie robić ojcu przykrości, starała się robić dobrą minę do złej gry. Zdarzały się jednak

takie chwilę, że widząc, jak C. C. przymila się do Edie, miała ochotę wyć z żalu. On zaś obejmował ją i co chwila całował namiętnie na oczach Pepi i całego El Paso.

Po jednej z takich manifestacji zde gustowana po-  
deszła do straganu, by kupić jakiś zabawny drobiazg dla  
ojca.

- Proszę, to dla ciebie. - Wręczyła mu kolorowy  
wiatraczek. - Prawdziwy prezent czeka w domu.  
Dostaniesz go razem z tortem.

- Już się cieszę. - Poklepał ją po ramieniu. - Przykro  
mi, że tak wyszło - powiedział, wskazując na Edie i C.  
C. - Nie powinienem był przyjmować ich zaproszenia.

- Nie mów tak. Masz urodziny. Tak będzie lepiej.  
Nareszcie wiem, co on czuje i do kogo. Marzenia to  
fajna sprawa, ale nie można budować na nich przy-  
szłości.

- Ostatnio bardzo się zmieniłaś - zauważył. - Czy  
stało się coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Owszem, ale najpierw muszę powiedzieć o tym

jemu - odparła zerkając w stronę C. C. - Powinnam była zrobić to już wcześniej, ale nie miałam odwagi. Na szczęście jeszcze nie jest za późno. Porozmawiam z nim wieczorem, po powrocie do domu, a potem... - zawahała się - będę potrzebowała męskiego ramienia, żeby się wypłakać.

- Masz kłopoty? - zaniepokoił się ojciec.

- Na pewno nie w takie, o jakich myślisz. -  
Roześmiała się. Przez chwilę w milczeniu obserwowała paradę. - Wszystko będzie dobrze - uspokoiła go. - To nic poważnego. Tylko taka drobna komplikacja.

Liczyła że C. C. tak właśnie potraktuje tę sprawę. Ostatecznie zdecydowała się wyznać mu prawdę. Nie ma wyjścia. Jego związek z Edie wygląda na poważny, nie mogła więc dopuścić, by przez jej głupią dumę został posądzony o bigamię. Dziś usłyszy od niej prawdę. A potem niech się dzieje, co chce.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Granicę z Meksykiem przekroczyli bez problemów. Strażnik wprawdzie zatrzymał ich samochód, ale Pepi doskonale wiedziała, że zrobił to tylko po to, by popatrzeć na Edie. To właśnie ją zapytał, dokąd jadą i w jakim celu. Ona zaś od razu wyczuła o co chodzi, i odrzucając kokieteryjnie włosy, odparła ze śmiechem, że wybierają się na zakupy. Mężczyzna w końcu pozwolił im odjechać, długo z tym jednak zwlekał i cały czas gapił się na atrakcyjną blondynkę. C. C. skwitował to zainteresowanie drwiącym uśmiechem. Wiedział zresztą, że jego przyjaciółka uwielbia skupiać na sobie męskie spojrzenia. Chyba cieszyło ją, że w jego obecności inni mężczyźni okazują jej uwielbienie, mogła mu bowiem pokazać, że bez trudu poderwie, kogo zechce.

Obserwując ich, Penelopa była przekonana, że C. C. przejrzał swoją przyjaciółkę na wylot. W stosunku do kobiet był cyniczny i często zachowywał się tak, jakby

były mu całkowicie obojętne.

W pewnej chwili spojrzała na jego twarz we wstecznym lusterku. Zauważyła drwiący uśmieszek na jego zmysłowych wargach. Gdy C. C. niespodziewanie przechwycił jej spojrzenie, poczuła się jak rażona błyskawicą. Z trudem odwróciła wzrok.

Podczas gdy C. C. koncentrował się na prowadzeniu, Edie zabawiała rozmową Bena. Jego córka z niedowierzaniem kręciła głową, widząc, że nawet jej ojciec ulega urokowi tej kobiety. Edie wychylona między siedzeniami opowiadała coś z ożywieniem, a on patrzył na nią z głupkowatym uśmiechem.

Miasto znajdowało się bardzo blisko granicy, więc wkrótce byli na miejscu. To, że nie pobłądzili, zawdzięczali doskonałej orientacji C. C. Poruszanie się po Ciudad Juarez było trudne nawet z mapą, a co dopiero bez niej.

Szybko wtopili się w tłum, chłonąc jego radosną atmosferę. Spacerowali wąskimi uliczkami, obstawio-

nymi mnóstwem straganów, na których sprzedawano przeróżne pamiątki. Edie tak długo męczyła C. C. , aż kupił jej potwornie drogi naszyjnik z turkusów. Penelopa nie miała tak wygórowanych oczekiwań. Gdyby C. C. wręczył jej kamyk podniesiony z ulicy, do końca życia trzymałaby go pod poduszką. Jej pragnienia były znacznie mniej wyrafinowane niż wymagania Edie: do szczęścia wystarczyłby jej sam C. C.

Szli uliczką w stronę monumentalnej katedry, obok której ulokował się butik z modną odzieżą. Edie rzuciła okiem na wystawę i z radością odkryła, że w sklepie można płacić kartą płatniczą jej banku.

- To nie potrwa długo, raptem kilka godzin - roześmiała się, unosząc się na palcach, by pocałować C. C. - Penelopo, idziesz ze mną? - zapytała, choć doskonale wiedziała, że Pepi nie interesuje się modą i nie ma karty kredytowej.

- Idź sama - odparła uśmiechając się do niej. - Wolę pozwiedzać.

- Dotrzymasz mi towarzystwa - ucieszył się Ben. -

C. C. jest myślami gdzieś bardzo daleko.

Rzeczywiście tak było. Kiedy Pepi powędrowała spojrzeniem za jego nieobecny wzrok, z przerażenia ją zamurowało. C. C. próbuje odtworzyć w myślach drogę, którą przebyli tamtej nocy, gdy wyciągnęła go z knajpy! Zauważyła, że najpierw spoglądał w stronę baru, a potem zaczął się przyglądać małej kaplicy. Tej samej, w której wzięli ślub!

- Proszę, proszę, kaplicą w której udzielają szybkich ślubów - mruknął Ben. - Co go tak zainteresowało? Dziwne, jak na faceta, który nie planuje żeniaczki.

Nie zdążyła mu odpowiedzieć. Kiedy spostrzegła że C. C. rusza w stronę budynku, zrobiło jej się słabo. Niewiele myśląc, pobiegła za nim. Nie mogła dopuścić, żeby tam wszedł. Już go dopadła już go miała zatrzymać, gdy na ulicy pojawili się ci sami młodzi mężczyźni, którzy zanieśli go do samochodu. Co oni tu robią? - pomyślała spanikowana. Żeby tylko nic nie powiedzieli, żeby go nie rozpoznali, modliła się w duchu.

Oni jednak pamiętali go bardzo dobrze, bo rozpromienili się na jego widok i zaczęli coś do niego mówić.

- *Felicitaciones!* - Śmiali się przyjaźnie. - *Como quiere usted vida conyugal, eh? Y alla esta su esposa! Hóla, señora, coma 'sta?*

- Co takiego?! - zdumiał się Ben.

- Co oni mówią? - denerwowała się Penelopa.

- Składają mu gratulacje z okazji ślubu - powiedział Ben, po czym zamilkł.

Mężczyźni porozmawiali jeszcze chwilę, po czym nagle zapadła martwa cisza. Zanim Pepi zdążyła przygotować się na najgorsze, rozjuszony C. C. stał nad nią, mierząc ją dzikim wzrokiem. Nic sobie nie robiąc z obecności jej ojca, chwycił ją za ramiona i zaczął potrząsać.

- Chcę wiedzieć, dlaczego ci ludzie składają mi gratulacje z okazji ożenku - zażądał. - Okłamałaś mnie! Tamtej nocy wzięliśmy ślub, tak? Pytam cię! Tak?

- Tak - szepnęła łamiącym się głosem. - C. C., ja



nie miałam pojęcia, że to jest prawdziwy ślub!

- Jesteś mężatką?! - wybuchnął Ben.

- Nie na długo! - C. C. odepchnął ją od siebie tak gwałtownie, jakby go parzyła. - Jaki nikczemny i podstępny sposób na złapanie męża! Nieźle to sobie wymyśliłaś! Nic prostszego, jak spoić faceta, a potem zaciągnąć do ołtarza i trzymać to w tajemnicy. Wiedziałaś, że na trzeźwo nigdy w życiu nie poślubiłbym takiej grubej brzyduli jak ty! Nie masz za grosz wdzięku ani urody, ubierasz się i zachowujesz jak chłop! Pewnie w łóżku sama mówisz tej ofermie Brandonowi, co ma robić!

- C. C. , proszę... - jęknęła.

Ludzie, zaciekawieni jego wrzaskiem, spoglądali w ich stronę.

- Idę po Edie. Wracamy do domu. - Dotarło do niego, że wzbudzają sensację. - Im szybciej zakończymy tę farsę unieważnieniem małżeństwa tym lepiej.

- Upiłaś go i wyszłaś za niego za mąż? - Ben był wstrząśnięty.

- Sam się upił - szepnęła zgnębiona. - Zagroził mi, że jeśli za niego nie wyjdę, zrobi burdę i wsadzą nas za kratki. Gdybym wiedziała, że ten ślub jest prawomocny, nigdy w życiu bym się nie zgodziła. Przestraszyłam się. Sam wiesz, jak działa meksykański wymiar sprawiedliwości. Bałam się, że będziemy gnili w areszcie całymi tygodniami albo jeszcze dłużej, dopóki nas nie wyciągniesz...

- To prawda. Co on miał na myśli, mówiąc, że sypiasz z Brandonem? - zapytał groźnie.

- Nie sypiam z nim. Kiedyś, na własną zgubę, dałam C. C. do zrozumienia, że tak jest. To miała być zasłona dymna... Co ja narobiłam?! Tato, nawet nie wiesz, jak mi przykro, że to się stało w dniu twoich urodzin. - Rozpłakała się. - Powinnam była o wszystkim ci powiedzieć, ale nie miałam odwagi. Łudziłam się, że sama załatwię unieważnienie małżeństwa ale prawnik powiedział mi, że potrzebna jest zgoda C. C. !

Ben przytulił ją i próbował pocieszyć, niezręcznie gładząc po plecach. Tak zastał ich rozgniewany C. C. ,

który wybiegł ze sklepu, ciągnąc za sobą nadąsaną Edie.

- Pepi, co się stało? - dopytywała się blondynka.

- Lepiej nie pytaj - odparł Ben. - Jedźmy już.

- Źle się czujesz? - Edie badawczo się jej przyglądała.

- Ma to, na co zasłużyła! - warknął C. C. - Idziemy do samochodu!

Edie nie odważyła się pytać o nic więcej. Przez całą drogę Pepi płakała, a Ben przyglądał się bezradnie jej łzom. C. C. nie odzywał się do nikogo. Rozdrażniony palił papierosa za papierosem, nie zważając na zaczepki Edie, która gadała niestrudzenie przez większą część podróży. W końcu zniechęciła się i ostentacyjnie włączyła radio.

Zamiast jechać prosto na ranczo, C. C. odwiózł najpierw Edie. Odprowadził ją wprawdzie do drzwi, ale tam zostawił bez słowa wyjaśnienia. Wrócił do samochodu i natychmiast ruszył. Po sposobie, w jaki prowadził, nie było widać, że jest zdenerwowany; całą drogę jechał spokojnie i równo. Pepi zdumiewało jego

opanowanie i żelazna samokontrola, której nie tracił nawet w chwilach największego wzburzenia. Ciekawe, czy kiedykolwiek zdarzyło mu się stracić panowanie nad sobą?

Gdy dotarli na miejsce, wysiadł z samochodu i poszedł do stajni. Pepi współczuła każdemu, kto teraz wejdzie mu w drogę. Rozwścieczony C. C. potrafił być bardzo nieprzyjemny. Domyślała się, że C. C. zamierza rzucić się w wir pracy, by wypocić złość. Potem wróci, żeby się z nią policzyć. Nie miała do niego pretensji, że zachowuje się w taki sposób. Sama była sobie winna. Gdyby go nie okłamała, wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Mam nadzieję, że nareszcie wszystkiego się dowiem - powiedział Ben, gdy parzyła im kawę.

Opowiedziała mu o corocznych alkoholowych ciągach C. C. i o przyczynie, dla której topił swoje smutki w mocnych trunkach. Wspomniała o tym, jak ostatnim razem próbowała doprowadzić go do porządku i jak potem pojechała za nim do Juarez. Wreszcie o tym, jak

to się stało, że wyszła za niego za mąż.

- Co gorsza, podejrzewam, że C. C. jest bogaty -  
oznajmiła. - I pewnie myśli, że wmanewrowałam go w  
to małżeństwo z pobudek czysto materialnych.

- Wie, że nie jesteś materialistką - zaprotestował  
Ben.

- Ale wie również, że nasze ranczo nie przynosi  
wielkich dochodów, a co za tym idzie, moja przyszłość  
jest bardzo niepewna. To nieprawda, ale sytuacja  
oglądana z boku może się wydawać właśnie taka. I  
chyba wie, że mi się podoba.

- Że ci się podoba czy że jesteś w nim po uszy  
zakochana?

- Nie, tego na szczęście nie wie. - Westchnąwszy,  
wsunęła rękę do kieszeni spodni. - Na szczęście to, co  
się stało, to jeszcze nie koniec świata. - Próbowała się  
pocieszyć. - Myślę, że bez problemu załatwimy  
unieważnienie małżeństwa. Znajdę pracę i sama opłacę  
wszystkie koszty sądowe. Może kiedyś C. C. mi  
wybaczy, choć teraz pewnie chętnie by mnie udusił.

Rozumiem go. Mam nadzieję, że nie pożali się Edie. Po co jeszcze ona ma się martwić?

- A o sobie nie pomyślałaś? - rozzłościł się Ben. - Widzę, jak cierpisz! Przez niego! Gdyby się nie urzynał...!

- Tato, spróbuj go zrozumieć. Musiał bardzo kochać swoją żonę, skoro do dziś nie potrafi pogodzić się z jej śmiercią. Zapomniałeś już, jak było, gdy umarła mama?

Ojciec ciężko westchnął.

- Rozumiem go. Twoja matka była całym moim światem. To była szczenięca miłość, a przeżyliśmy ze sobą dwadzieścia dwa lata. Wiedziałem, że żadna kobieta nie jest w stanie jej zastąpić, więc nawet nie próbowałem ożenić się drugi raz. Może C. C. ma ten sam problem?

- Może...

Pocałował ją w czoło.

- Postaraj się tym nie przejmować. Zobaczysz, wszystko się ułoży. C. C. uspokoi się i razem znajdziecie jakieś sensowne rozwiązanie. Mam

nadzieję. Czasy są ciężkie, więc nie mogę wywalić go z pracy. Wstyd przyznać, ale jest mi bardzo potrzebny.

- Czy myślałeś o sprzedaży udziałów w naszym majątku?

- O wspólniku? Owszem, myślałem. Wiele razy. Masz coś przeciwko temu?

- Ależ nie! Tak samo jak tobie zależy mi na tym, żeby nie stracić ziemi - zapewniła. - Rób, co uznasz za stosowne.

Ojciec rozejrzał się po obszernej, rustykalnej kuchni.

- Wobec tego rozpuszczę dyskretne wici. Widzę też, że trzeba odświeżyć twoją garderobę - powiedział, uśmiechając się figlarnie.

- Daj spokój. Wszystko mi jedno, co na siebie wkładam. W tej chwili jest mi to całkiem obojętne.

- Nie zapominaj, że jest jeszcze weterynarz - pocieszał ją, jak umiał. Widział, że córka cierpi.

- Tak... W środę wieczorem idziemy razem na kolację do Związku Hodowców. Brandon jest bardzo

sympatyczny.

- Tylko że ty go nie kochasz. Nie zadowolaj się okruchami, skoro stać cię na wielką ucztę.

- Potwór! - Roześmiała się. - Umiesz dobierać słówka.

- A ty umiesz gotować. Kiedy wreszcie zrobisz kolację? Umieram z głodu.

- Już się robi! - zawołała i nagle przez kuchenne okno dojrzała C. C. , który wyszedł z baraku w... garniturze! Energicznym krokiem ruszył w stronę domu. Taki wysoki, postawny, elegancki! Wpatrzona w niego, trzeci raz umyła ten sam talerz, czekając, aż zaskrzypią kuchenne drzwi, bo C. C. nigdy nie wchodził frontowym wejściem. Czuł się domownikiem i tak też był traktowany. Do teraz, bo po tym, co się wydarzyło, Penelopa uznała go za swojego największego wroga. Ciekawe, czy czuje do niej taką samą nienawiść, jak ona do niego? I po co mu ten garnitur?

Wszedł bez pukania wpuszczając do środka powiew chłodnego powietrza. Penelopę przeniknął



dreszcz.

- Zimno się robi. - Ben próbował rozładować atmosferę.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo. - C. C. trzymał w palcach zapalonego papierosa. Kiedy spojrzał na Pepi, natychmiast podniósł go do ust.

- Wyjeżdżam na kilka dni - oznajmił bez zbędnych wstępów. - Muszę załatwić parę spraw. Między innymi unieważnienie małżeństwa. Penelopo, oddaj mi dokument.

Nawet na niego nie spojrzała.

- Zaraz ci go przyniosę - powiedziała potulnie. Wytarła ręce w fartuch, wyszła z kuchni i pobiegła na górę.

Drżącymi rękami wyjęła z szuflady złożoną na czworo kartkę papieru. Jeszcze raz zerknęła na jej treść. Pełne imię i nazwisko mężczyzny zawierającego małżeństwo zapisano jako Connal Cade Tremayne. Connal. Zawsze nazywała go C. C. Do tamtej nocy w Juarez nie miała pojęcia, skąd wzięły się te inicjały.

Powtórzyła głośno jego pełne imię i nazwisko, żegnając się raz na zawsze ze swoimi marzeniami. Gdyby los okazał się dla niej łaskawszy... Gdyby ten dokument był świadectwem prawdziwej miłości...

Spojrzała na akt ostatni raz i złożywszy go, wyszła z pokoju.

C. C. czekał na nią u podnóża schodów. Sam. Wiedziała, że na nią patrzy. Bez słowa podała mu dokument, po czym szybko cofnęła dłoń. Nie chciała, by jej dotknął. Pewnie jej dotyk był mu teraz równie niemiły jak kontakt z trędowatym.

- Przepraszam - wyszeptała, wpatrzona w czubki swoich butów. - To było...

- Zadurzenie, które wymknęło się spod kontroli - dokończył. W jego głosie nie było cienia sympatii. - Nie spodziewałaś się takiego finału, co? Jesteś kłamliwą, podstępną krętaczką. Myślałaś, że trafiłaś na żyłę złota, co?

Żal chwycił ją za gardło, a w oczach zakręciły się łzy. Nie odpowiedziała. Minęła go i szybko wróciła do

kuchni.

C. C. czuł do siebie nienawiść. Do niej też. Był dla niej niesprawiedliwy, wiedział o tym. Zasłużyła na takie traktowanie. Nigdy by się po niej nie spodziewał tak nikczemnego postępu. Wykorzystała fakt, że był kompletnie pijany i nie wiedział, co robi. A miał o niej takie wysokie mniemanie! Na dodatek postawiła go w bardzo kłopotliwej sytuacji. Spotykał się z Edie, nie wiedząc o tym, że... jest człowiekiem żonatym! Co by było, gdyby któregoś dnia poszedł z Edie do pastora? Za jednym zamachem nieświadomie dopuściłby się zdrady małżeńskiej i bigamii!

- Ona już dostała nauczkę - odezwał się cicho Ben, stając obok niego. - Nie wyzywaj się na niej. Wbrew temu, co myślisz, nie zrobiła tego celowo.

- Powinna była o wszystkim mi powiedzieć!

- Zgadza się. Powinna. Ale nie wiedziała jak. Najpierw sądziła, że takie małżeństwo jest fikcją. Na jej obronę przemawia fakt, że sama skontaktowała się z prawnikiem, bo miała nadzieję, że uda jej się załatwić

unieważnienie. Ale okazało się, że jest potrzebny twój podpis.

- Wiedziałeś o tym?

Ben pokręcił głową.

- Podobnie jak ty, dowiedziałem się o tym dopiero dzisiaj. Widziałem, że coś ją gryzie. Domyślałem się, że ma kłopoty, ale nie miałem pojęcia jakie.

C. C. z wściekłością spojrział na dokument. Małżeństwo. Żona. Wciąż nie mógł zapomnieć Marshy i jej uporu, żeby z nim popłynąć na spływ pontonami po tej cholerniej górskiej rzece. Zawsze była nieustępliwa, zdecydowana na wszystko. Powinien był ją powstrzymać, zwłaszcza że nie czuła się dobrze: miała nudności, zawroty głowy. Gdyby wtedy domyślił się, że jego żona jest w ciąży! Podczas identyfikacji zwłok przeżył największy koszmar swojego życia.

Pogrążony w tragicznych wspomnieniach, jęknął głośno. To on ją zabił. Jego zamożność wynikała po części z połączenia z jej fortuną. Wspólnymi siłami stworzyli firmę, która zajmowała się transplantacją

embrionów bydlęcych. Po wypadku długo nie mógł dojść do siebie. Przekazał więc cały interes braciom, sam zaś wyruszył na poszukiwanie spokoju ducha.

Znalazł go na ranczu Bena Mathewsa. Z zapałem pomagał mu ratować gospodarstwo, do którego zaczynał już pukać syndyk. Polubił wesołe, nienarzucające się towarzystwo jego córki Penelopy. I nagle otrzymał od niej cios w plecy. Musi wyjechać, uciec jak najdalej od niej i od wspomnień, które w nim obudziła.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Ben. - A może nie powinienem pytać?

- Co masz na myśli?

- Pepi uważa, że jesteś człowiekiem zamożnym. - Ben wzruszył ramionami. - Gdy pielęgnowała cię kiedyś w chorobie, naopowiadałaś jej różnych rzeczy. Majaczyłaś. Zorientowała się, że obwiniasz się za śmierć żony i dlatego porzuciłaś swój dom. - C. C. słuchał go w milczeniu. - Bez względu na powody, które cię do nas sprowadziły, wiedz, że zawsze możesz

tu wrócić. Jestem ci bardzo wdzięczny za wszystko, co dla nas zrobiłeś.

C. C. miał wrażenie, że zamykają się przed nim drzwi. Ben rozmawiał z nim w taki sposób, jakby zamierzał się z nim pożegnać. Instyktownie spojrzął w stronę kuchni, lecz z miejsca, w którym stali, nie mógł dojrzeć Pepi. Kiedy uświadomił sobie, że może jej nigdy więcej nie zobaczy, przeraził się. Zupełnie nie rozumiał, co się z nim dzieje.

- Jeszcze nie wiem, co zrobię - przyznał. - Pewnie pojedę do domu zobaczyć się z rodziną. Muszę też spotkać się z prawnikiem w wiadomej sprawie - dodał, unosząc do góry rękę, w której trzymał dokument. Dziwne, że ta kartka papieru zaczynała mieć dla niego niezwykłą wartość: jak cenny skarb, a nie świadectwo niechcianego związku.

- Nie będę miał do ciebie żalu, jeśli do nas nie wrócisz - mówił Ben wyraźnie znużonym tonem. - Obaj wiemy, że prędzej czy później ranczo i tak pójdzie pod młotek. Dzięki tobie staliśmy się wypłacalni, ale sam

wiesz, że ceny bydła spadają, a ja powinienem zainwestować w nowe technologie. Poza tym robię się na to wszystko za stary.

Taki pesymizm nie pasował do Bena Mathewsa.

- Daj spokój - odparł C. C. - Masz dopiero pięćdziesiąt pięć lat!

- Zobaczymy, co powiesz, jak sam będziesz w tym wieku. - Ben podał mu rękę na pożegnanie. - Dzięki za pomoc. Doceniam, co dla mnie zrobiłeś, ale pora, żebyś zaczął myśleć o własnym życiu. Mam nadzieję, że uda ci się pokonać zmory przeszłości. Wiem coś o tym, bo też się z nimi zmagalem. Musiałem uporać się z problemem alkoholowym i straszną świadomością, że przez mój nałóg straciła życie matka Pepi. Wyszedłem z tego. Tobie też to się uda, zobaczysz!

- Moja żona była w ciąży.

- Domyślam się, że w tej całej tragedii to było dla ciebie najgorsze. Jesteś młody. Możesz jeszcze mieć dzieci.

- Nie chcę żadnych dzieci. Ani żony - warknął,

potrząsając aktem małżeństwa. - Zwłaszcza takiej, której sam nie wybierałem.

Pepi słyszała każde jego słowo. Łzy płynęły jej po policzkach. Do końca życia nie zapomni tego, co C. C. powiedział kilka godzin wcześniej: że jest grubą brzydulą. Jego wcześniejsze komplementy na temat jej kobiecości okazały się nic niewartą gadaniną. Była tak nieszczęśliwą że najchętniej zaszyłaby się w mysią dziurę.

Ben zorientował się, że Pepi jest mimowolnym świadkiem ich męskiej rozmowy. Chcąc jej oszczędzić dalszych przykrości, odprowadził C. C. do drzwi.

- Odpocznij - mówił przyjaźnie. - Przez dwa tygodnie harowałeś bez wytchnienia. Należy ci się porządny urlop.

C. C. nieco ochłonał. Jeszcze raz spojrzął na akt małżeństwa, po czym powiódł wzrokiem w stronę holu. Niepotrzebnie powiedział Pepi tyle przykrych rzeczy. Nie musiał być dla niej aż tak szorstki. Przez chwilę przypominał sobie swoje ostre słowa. Przecież to



jeszcze dziecko. Przyszło mu do głowy, że jej doświadczenie w „tych sprawach” mogło być niczym więcej jak tylko wytworem jej dziewczęcej wyobraźni. Sądząc po tym, jak reagowała, gdy za bardzo się do niej zbliżał, nadal musi być całkiem zielona. Czy i w tej kwestii go oszukała?

Nerwowo zacisnął szczęki. Bezpowrotnie stracił do niej zaufanie. Skoro raz go okłamała, bez oporu zrobi to znowu. Dlaczego mu to zrobiła?

- Jedź już. - Ben ponaglał go z obawy przed kolejną awanturą. - Sam się wszystkim zajmę, dopóki nie wrócisz. Albo dopóki nie znajdę nowego brygadzysty. Nie chcę wywierać na tobie żadnej presji.

C. C. zmarszczył czoło. Ciągle powracał myślą do czegoś, co usłyszał od Bena.

- Mówisz, że Pepi wie, że mam pieniądze?

- Owszem. Twierdzi też, że będziesz ją podejrzewał o chęć załapania się na twój majątek. - Potrząsnął głową. - Odsądzasz ją od czci i wiary, prawda?

C. C. przestąpił z nogi na nogę. Czy rzeczywiście?

- Skontaktuję się z tobą. Przykro mi, że rozstajemy się w takiej atmosferze. Bóg wie, że to nie twoja wina.

- Ani mojej córki - zauważył Ben. - Kiedy uznasz za stosowne wysłuchać racji drugiej strony, zapytaj Pepi, jak było naprawdę. Ale najpierw musisz ochłonać. I jedź ostrożnie.

C. C. wyjął z kieszeni niewielki pakunek.

- Trzymaj się, Ben. I jeszcze raz wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Szkoda, że nie za bardzo ci się udały.

- Ja niczego nie żałuję. Dostanę cały tort! Kokosowy!

C. C. uśmiechnął się.

- Do zobaczenia.

- Oby jak najprędzej - powiedział Ben półgłosem, po czym rozpakował prezent. Była to złota spinka do krawata z głową byka. Ben uśmiechnął się szeroko: C. C. bez pudła trafił w jego gust.

Wszedł do kuchni, bojąc się spotkania z córką. Ale Pepi jak gdyby nigdy nic przygotowywała kolację.

- Siadamy do stołu? - Lekko zaczerwienione oczy były jedynym świadectwem przykrości, jakie ją spotkały.

- Jasne! Jak się czujesz? - zapytał ostrożnie.

- Jak pies w studni. Ale już nie chcę o tym rozmawiać. Nigdy! Dobrze?

Skinał głową. Przez resztę wieczoru Penelopa zachowywała się tak, jakby nie wydarzyło się nic niezwykłego. Ben nie zdawał sobie sprawy, że choć na pozór córka zachowuje spokój, przeżywa największy koszmar swego życia. Była niemal pewna, że już nie kocha C. C. Człowiek tak okrutny jak on nie zasługuje na miłość. Zwłaszcza że sam był sprawcą kłopotów, w których się znaleźli. To on zmusił ją do ślubu, a teraz podnosi wrzawę, że zamierzała go usidlić! Wyjaśni mu to, kiedy wróci. C. C. może spać spokojnie, nie będzie mu się narzucała!

Po kolacji złożonej z ulubionych dań ojca Pepi wręczyła mu prezent: nową fajkę oraz specjalną zapalniczkę, a do tego wielki kawał kokosowego tortu.

Udawiała, że się cieszy, nie chcąc, by domyślił się prawdy. Zasłużył na to, by ostatnie godziny jego święta upłynęły w miłej atmosferze.

- Uważam, że powinnaś przemyśleć sobie jedną rzecz - powiedział, zanim poszli spać. - Facet złapany wbrew swojej woli nie podda się bez walki.

- Jak go nie złapałam! - oburzyła się.

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię - skarcił ją. - Mam na myśli człowieka, który musi walczyć ze swoimi emocjami. Podejrzewam, że nie jesteś mu obojętna, ale on nie chce przyjąć tego do wiadomości. Będzie się przed tym bronił. I dopóki się z tym nie pogodzi, nieźle zalezie ci za skórę.

Penelopa wołała nie robić sobie żadnych złudzeń. Nie przeżyłaby kolejnego zawodu.

- Tato, ja już go nie chcę - wyznała bez ogródek. - Najlepiej zrobię, wychodząc za Brandona. On przynajmniej na mnie nie wrzeszczy i nie obwinia mnie za to, czego nie zrobiłam. Może go nie kocham, ale na pewno bardzo go lubię. C. C. Tremayne od dziś dla

mnie nie istnieje.

- Nie wychodź za jednego mężczyznę, żeby zapomnieć o drugim - ostrzegł ją po ojcowsku. - Skrzywdzisz i Brandona i siebie.

Westchnęła.

- Może z czasem nauczę się go kochać. Mam nadzieję, że C. C. Tremayne już tu nie wróci.

- Nie daj Boże! Zbankrutujemy bez niego.

Machnęła ręką i poszła do siebie.

Nie mogła zasnąć. Może już nigdy nie zaśnie? Wystarczyło, że przymknęła oczy, a w jej głowie zaczynały dźwięczeć okrutne, raniące słowa C. C. Zmęczona bezsennością dała za wygraną i wstała z łóżka. Do świtu kręciła się po kuchni, myjąc i szorując co się dało, by choć na chwilę zapomnieć o C. C.

Gdy ojciec skończył śniadanie, Penelopa była już gotowa do kościoła. O nic ją nie pytał. Włożył niedzielny garnitur i razem pojechali do kaplicy metodystów w pobliskim miasteczku.

W drodze powrotnej Penelopa nadal była zamyś-

lona i smutna. Gdy zajechali pod dom, zastali na podjeździe samochód Brandona. Pepi wyskoczyła z auta i pobięła w jego stronę.

Ben obserwował tę scenę spod ściągniętych brwi. Czuł, że w powietrzu wisi nowa awantura, i bardzo był ciekaw, czym się to dla wszystkich skończy.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Opowieść Pepi wprawiała Brandona w coraz większe osłupienie.

- Jesteś mężatką? - jęknął weterynarz akurat w chwili, gdy Ben Mathews miał podać kawę.

- To nie jest tak, jak myślisz. - Pospiesznie przekazała mu szczegóły. - Małżeństwo jest legalne, ale tylko na papierze. Teraz muszę je jak najszybciej unieważnić.

- C. C. o tym wie?

- Ha! - mruknął Ben, stawiając na stoliku tacę z dzbankiem i filiżankami. - Jeśli chcecie mleka albo śmietanki, to sobie przynieście! - Westchnął i usiadł ciężko na kanapie.

- Jak na to zareagował?

- Lepiej nie pytaj. Wolę nie powtarzać, co powiedział, zwłaszcza w obecności damy - odparł Ben.

- Wściekł się. - Pepi miała fałdy spódnicy. - I trudno mu się dziwić. W końcu nadal nie wie, jak było

naprawdę. Byłam na niego taka złą że nawet nie próbowałam niczego mu tłumaczyć. W każdym razie oświadczył, że na trzeźwo nigdy nie ożeniłby się z kimś takim jak ja.

- Był w szoku. - Ben próbował tłumaczyć swojego pomocnika. - Każdy mężczyzna na jego miejscu zachowałby się podobnie. Człowiek potrzebuje czasu, żeby oswoić się z taką wiadomością.

- Jak długo czeka się na unieważnienie? - Brandon miał niewesołą minę.

- Tego dowiem się jutro od naszego prawnika - odparła. - Liczę, że da się to załatwić w miarę sprawnie. Zwłaszcza że C. C. bardzo by chciał jak najszybciej pozbyć się tego kłopotu. Martwię się tylko, że nie mam aktu - myślała głośno. - C. C. go zabrał.

- Dokąd pojechał?

- *Quien sabe?* Kto go wie? - Ben wzruszył ramionami.

- Najważniejsze, że jest to małżeństwo fikcyjne. - Brandon delikatnie położył rękę na jej dłoni. - Nawet



nie wiesz, jak mnie wystraszyłaś.

- Nie denerwuj się, nie jestem jego prawdziwą żoną  
- uspokajała go. - Jak wypijesz kawę, pojeździmy  
konno. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

- A ja wezmę się za rachunki - oznajmił Ben.

- Przecież jest niedziela!

- Wiem. Będę liczył i pokrzepiał się tortem. W ten  
sposób wilk będzie syty i owca cała. Poza tym -  
uśmiechnął się - już byliśmy w kościele.

Penelopa wzniosła ręce do nieba, po czym ruszyła  
do siebie przebrać się w dżinsy i T - shirt.

Brandon został u nich do późna. Ku jej zadowoleniu,  
ponieważ jego towarzystwo podnosiło ją na duchu.

W nocy znowu kiepsko spała. Nazajutrz wczesnym  
rankiem pojechała do kancelarii adwokata, który od lat  
prowadził sprawy ich rodziny.

Mecenas Hardy, energiczny sześćdziesięciolatek,  
był najlepszym przyjacielem Bena Mathewsa.

- Powiadasz, że nie masz przy sobie aktu małżeństwa?  
- mruknął, wysłuchawszy jej z uwagą. - Nie

szkodzi, sam pościagam wszystkie niezbędne papiery. Niech C. C. przyjdzie do mnie w piątek, żeby je podpisać. Póki co, głowa do góry. Takie rzeczy się zdarzają. Jednak na jego miejscu trzymałbym się z dala od alkoholu - stwierdził sucho.

- Przypilnuję, żeby już więcej nie zajrzał do kieliszka - obiecała.

Stało się, pomyślała, opuszczając kancelarię. Machina poszła w ruch. Nim się obejrzy, znów będzie przeciętną aż do bólu Pepi Mathews. Penelopa Tremayne zniknie bezpowrotnie. Szkoda. Gdyby mogła zatrzymać to nazwisko, gdyby C. C. poślubił ją z miłości, byłaby bezgranicznie szczęśliwa. Lecz on jej nie chce: w tej kwestii był bezlitośnie szczery. Wątpiła, czy kiedykolwiek zapomni, co jej wtedy powiedział.

W drodze do samochodu zatrzymała się przed tablicą ogłoszeń miejscowego biura pośrednictwa pracy. Chciała sprawdzić, czy są jakieś oferty dla kobiet ze średnią znajomością obsługi komputera. Los jej sprzyjał. Firma ubezpieczeniowa poszukiwała re-

repcjonistki. Penelopa weszła do biura by dowiedzieć się o warunki. Dostała tę pracę. Miała zacząć za tydzień, w następny poniedziałek, pod warunkiem że dotychczasowa recepcjonistka, której właśnie kończył się urlop macierzyński, nie zmieni decyzji i nie postanowi wrócić do pracy. Gdyby bowiem zdecydowała się wrócić, firma nie mogła jej nie przyjąć. Pepi wyszła z firmy z obietnicą, że jeśli sytuacja się zmieni i nowa pracownica nie będzie potrzebną zostanie o tym natychmiast powiadomiona.

Pocieszała się, że nawet jeśli ta praca nie wypali, znajdzie coś innego. Po tym, co się wydarzyło między nią a C. C. , i tak nie mogła zostać na ranczu. Codzienne spotkania z nim byłyby koszmarem, którego wolała sobie oszczędzić. Podejrzewała, że C. C. będzie jej dokuczał i naśmiewał się z ich niefortunnego małżeństwa. Domyślała się, że jej nienawidzi. W takiej sytuacji po prostu nie mogą żyć pod jednym dachem. Nie można go z kolei zwolnić, ponieważ jest bardzo potrzebny ojcu. Dlatego to ona zejdzie mu z drogi. Przeniesie się

do El Paso, znajdzie pracę i wynajmie jakiś niedrogi pokój. To jedyne sensowne rozwiązanie: ojciec będzie miał swego brygadzystę, a ona święty spokój. Poza tym w El Paso mieszka Brandon, który na pewno chętnie jej pomoże urządzić się w mieście. I będzie miała w nim bratnią duszę. Może kiedyś wyjdzie za niego? Jest dobrym człowiekiem i zależy mu na niej. Życie u jego boku będzie o niebo lepsze niż samotność.

Do środowego popołudnia C. C. nie wrócił. Wieczorem Pepi pojechała z Brandonem na spotkanie organizowane przez Związek Hodowców. Na tę okazję ubrała się w nową spódnicę z rudawego jedwabiu, wysoko sznurowane mokasyny i wzorzystą westernową bluzkę. Rozpuściła włosy i zrobiła staranny, ale niezbyt mocny makijaż. Wyglądała ślicznie, o czym mówiły jej nie tylko pełne zachwyty spojrzenia Brandona, lecz także innych mężczyzn.

Odzyskała humor. Rozmawiała uśmiechała się i śmiała z dowcipów, a gdy późnym wieczorem wracali do domu, była wesoła i odprężona.

Dobry nastrój prysł jak bańka mydlana, gdy Brandon, który odprowadził ją pod same drzwi, pochylił się, by pocałować ją na dobranoc. Nim jednak zdążył dotknąć jej warg, z mrocznego kąta werandy wynurzył się C. C.

- Cześć, C. C. - Brandon nerwowo przeczesał palcami włosy, zerkając na pobladłą Pepi. - Zadzwoń rano. Dobranoc!

Patrzyła za nim, jak zbiega ze schodów i idzie do samochodu. Chciała odwlec moment, gdy będzie musiała spojrzeć w oczy C. C. Kiedy do nich podchodził, zauważyła, że ma na sobie ciemny garnitur i jasnoszary kowbojski kapelusz. Mimo eleganckiego stroju wyglądał groźnie. Przez smugę dymu z jego papierosa obserwowała Brandona, który pomachał jej na pożegnanie i odjechał.

- Gdzie byłaś? - zapytał C. C. z wyrzutem.

- Na spotkaniu w Związku Hodowców - odparła spokojnie, na wszelki wypadek odsuwając się od niego na bezpieczną odległość. Bez słowa odwróciła się i

weszła do domu.

- Nie przywitasz się ze mną? - W jego głosie był niemiły sarkazm.

Nawet na niego nie spojrzała. Woląca nie widzieć wyrazu jego oczu. Już wchodziła na schody, gdy chwycił ją za rękę.

Zaskoczyła go jej reakcja: gdy chciał ją zatrzymać, wyszarpnęła się i odskoczyła do tyłu. Przywarła plecami do ściany. Spoglądała na niego zaleknionym i zarazem oskarżycielskim wzrokiem.

- Chyba się mnie nie boisz?!

- Jestem zmęczona. - Odwróciła wzrok. - Chcę się położyć. Mecenias Hardy prosi, żebyś przyszedł do niego w piątek podpisać dokumenty. Ponieważ to ja rozpocząłam całą procedurę, sama pokryję wszystkie koszty. Nie dołożysz do tego ani centa. Tata jest u siebie?

- Jest w baraku. Rozmawia z Jedem - odparł. - Nie życzę sobie, żebyś spotykała się z weterynarzem, dopóki jesteś moją żoną - oznajmił, marszcząc brwi.

Zawahała się, ale nie żądał od niej dużo. Nie miała siły ani ochoty wszczynać kolejnej awantury.

- Dobrze, C. C. - powiedziała głucho. - Miejmy nadzieję, że nie będziemy długo czekać na unieważnienie.

Zmrużył gniewnie oczy.

- Tak ci spieszno włożyć na palec pierścioneł od Brandona?

- C. C. , nie chcę się z tobą kłócić - powiedziała cicho, zmuszając się, by na niego spojrzeć. To wystarczyło, by serce zabiło jej szybciej, a kolana stały się jak z waty. - Znalazłam pracę - odezwała się po chwili milczenia. - Zaczynam w poniedziałek. Jeśli się w niej utrzymam, wynajmę pokój w El Paso. Jak widzisz, nie będę ci się kręciła pod nogami.

- Pepi! - Jego głos był nienaturalnie ochryply.

- Dobranoc, C. C.

Pobiegła prosto do swojego pokoju. Gdy zamykała za sobą drzwi, ręce jej drżały, a po policzkach płynęły łzy. A więc wrócił. Chyba tylko po to, żeby szukać

nowych awantur. To nie wróżyło dobrze na przyszłość.

Przebrała się w nocną koszulę, zmyła łzy i makijaż i położyła się do łóżka. Właśnie miała zgasić nocną lampkę, gdy nagle drzwi otworzyły się i stanął w nich C. C.

Znieruchomiała z ręką wyciągniętą w stronę włącznika. Uzmysłowała sobie, że cieniutka nocna koszula z zielonego batystu niewiele zasłania. Miała głęboki dekolt, który ledwie zakrywał piersi, za to ładnie eksponował ich pełny kształt. Opadające na ramiona włosy podkreślały jej zmysłową kobiecość. C. C. nie mógł tego nie zauważyć.

- Czego chcesz? - zapytała, nie kryjąc niechęci.

- Porozmawiać. - Opadł na krzesło przy łóżku. Jego twarz była porwana głębokimi bruzdami. Penelopa pomyślała, że jest nie mniej wyczerpany niż ona. Obserwowała jak C. C. powoli zdejmuje marynarkę, krawat, podwija rękawy koszuli i rozpina kołnierzyk. Podniosła wzrok na jego twarz. Nie chciała podziwiać jego muskulatury. Przecież nie jest w jego typie.



Odrzącił ją.

- Na temat unieważnienia naszego małżeństwa? - zapytała niepewnie. Usadowiła się wygodniej, starannie zakrywając piersi kołdrą. Ten gest nie umknął uwadze C. C.

Wpatrywał się w nią wygłodniałym wzrokiem. W ciągu minionych dni przemyślał sporo spraw. Początkowo skoncentrował się na własnej niewesołej sytuacji, a dopiero potem zaczął myśleć o niej. Uzmysłował sobie w końcu, jak wiele jej zawdzięcza. Od początku była jego najlepszym przyjacielem: lepszego chyba nie miał. Odpłacił jej za tę lojalność, raniąc jej uczucia i odrzucając ją. Czuł, że musi to naprawić. Jeśli nie jest za późno. Postanowił, że na początek opowie jej o swojej przeszłości. Jeśli Pepi go zrozumie, będzie mógł mieć nadzieję, że kiedyś zechce wybaczyć mu krzywdę, jaką jej wyrządził.

- Nie przyszedłem rozmawiać o unieważnieniu małżeństwa - odparł po chwili. - Chcę ci opowiedzieć o sobie. - Usiadł wygodniej na krześle. - Urodziłem się w

Jacobsville - zaczął, po czym zapalił papierosa. Sięgnął po popielniczkę na toaletce. Była w niej biżuteria Pepi. Wysypał drobiazgi na blat i postawił sobie popielniczkę na kolanach. - Mam trzech braci - podjął. - Dwóch starszych, jednego młodszego. Moja rodzina hoduje bydło rasy Santa Gertrudis. Nasi przodkowie kupili ziemię jeszcze od hiszpańskiego arystokraty. Nigdy nie brakowało nam pieniędzy. - Penelopa słuchała go z zapartym tchem. - Ożeniłem się parę lat temu. Czułem, że młodość mija, zaczynała doskwierać mi samotność. - Wzruszył ramionami. - Bardzo jej pragnąłem. Była w moim wieku i kochała ryzyko. Oboje uprawialiśmy niebezpieczne dyscypliny sportowe. - Głęboko zaciągnął się papierosem. W jego nieobecnych oczach widać było udrękę. - Nie odstępowała mnie na krok. W tamten weekend chciałem być sam. Chwilami czułem się przez nią stłamszony, bo musiała być przy mnie cały czas, w dzień i w nocy. Już parę tygodni po ślubie nie mogłem swobodnie rozmawiać z braćmi, bo natychmiast się zjawiała. Poniewczasie zorientowałem

się, że jest o mnie chorobliwie zazdrosna. Pewnego razu postanowiłem wziąć udział w spływie pontonowym rzeką Colorado. Nie powiedziałem jej o tym, pojechałem sam. Gdy jednak wraz z całą grupą dotarłem na brzeg, ona już tam na mnie czekała. Pokłóciliśmy się, ale to niczego nie zmieniło. Uparła się, że z nami popłynie. Na jednym z progów ponton wywrócił się do góry dnem, a ona wpadła do wody. Szukaliśmy jej przez godzinę, a jak ją wreszcie wyciągnęliśmy, było już za późno. - Zamilkł, a potem spojrzał jej prosto w oczy i powiedział: - Była wtedy w trzecim miesiącu ciąży.

- To straszne... To chyba było najgorsze.

Zaskoczyła go jej domyślność, choć nie powinien się temu dziwić. Dawno już zauważył, że Pepi potrafi dostrzec rzeczy dla innych niewidoczne.

- Tak, to było najgorsze. Nie wiem, czy ona była świadoma, że jest w ciąży. Może się tym nie przejmowała? Była bardzo niezależna. Sądzę, że po prostu nie nadawała się do małżeństwa. Gdyby za mnie nie wyszła, pewnie żyłaby do dziś.

- Aj a wierzę w przeznaczenie - szepnęła Penelopa - że to Bóg wybiera, kiedy i jak umrzemy.

- Może masz rację. Przez trzy lata nie mogłem dojść do siebie. Marsha była tak samo zamożna jak ja. Odziedziczyłem cały jej majątek. To był jeden z powodów, dla których się tu znalazłem. Praca u twojego ojca dawała mi szansę zacząć wszystko od zera. Chciałem uciec jak najdalej od pieniędzy i przekonać się, ile naprawdę jestem wart i czy potrafię utrzymać się z pracy własnych rąk. Urodziłem się bogaty, więc taka samodzielność stanowiła dla mnie ambitne wyzwanie.

- A dla nas wybawienie. - Westchnęła. - Wiele ci zawdzięczamy. Mimo że byłeś dla nas wielką zagadką, czuliśmy instynktownie, że do nas pasujesz.

- Ale wszystko zmieniało się, kiedy nadchodził wrzesień. - Zadumał się. - Nic na to nie poradzę, ale kiedy zbliża się rocznica wypadku, zaczyna mi odbijać. To dlatego, że tak bardzo pragnąłem tego dziecka. Uświadomiłem to sobie dopiero wtedy, gdy było już za późno.

Penelopa szukała słów pocieszenia.

- Jesteś jeszcze młody. Ożenisz się i będziesz miał dzieci.

Popatrzył na nią spod opuszczonych powiek.

- Ja się już ożeniłem. - Powoli cedził słowa. - Z tobą.

Poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Urażona odwróciła wzrok.

- Wiesz, że to nie potrwa długo - szepnęła. - Mecenas Hardy uważa, że to czysta formalność.

- Chcę wiedzieć, co się stało tamtej nocy - zażądał.

- Już ci mówiłam. Piłeś w barze w Juarez. Chciałam cię stamtąd zabrać. Mówiłeś mi różne obraźliwe rzeczy. A potem wpadłeś na pomysł, żebym za ciebie wyszła, bo od dawna cię niańczę. Zagroziłeś, że jeśli się nie zgodzę, sprowokujesz strzelaninę i oboje wylądujemy w więzieniu.

Zaskoczony uniósł brwi.

- Tak powiedziałem?

- Tak powiedziałeś - potwierdziła. - Nie

wiedziałam, co o tym myśleć. Krzyczałeś, byłeś agresywny. Przestraszyłam się, że mówisz poważnie. Wiadomo, że do meksykańskiego więzienia łatwo się dostać, ale dużo trudniej z niego wyjść. Bałam się, że będziemy tam gnili przez długie miesiące, a ojciec będzie stawał na głowie, żeby nas wypuścili.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?!

- Bo nie chciałeś słuchać! - zdenerwowała się. -  
Wolałeś mi zarzucić, że czyham na twoje pieniądze.

- Znam ten typ kobiet - zachnął się. - Dopóki się nie ożeniłem, tak mi się naprzykrzały, że musiałem się od nich opędzać.

- Ja ci się nie narzucałam! - zawołała urażona. -  
Opiekowałam się tobą, kiedy sytuacja tego wymagała, i wydawało mi się, że jesteśmy przyjaciółmi. I niczym więcej! - Skłamała, próbując ratować resztki własnej godności. - Nigdy nie myślałam, żeby wyjść za ciebie za mąż.

Analizował w myślach jej słowa. Nie uwierzył jej. Jeszcze zanim ją tak upokorzył, zorientował się, że nie

jest jej obojętny. Pocięszał się teraz, że jeśli w jej sercu został choć ślad uczucia, ma szansę rozniecić je na nowo. Pod warunkiem że będzie bardzo ostrożny i cierpliwy.

- Kiedyś ci powiedziałem, że nie zostało we mnie nic, co mógłbym dać. Tak rzeczywiście było. I to przez długi czas. Myślę, że konsekwencją poczucia winy był w moim przypadku uczuciowy paraliż. Nie dopuszczałem do siebie żadnych emocji.

- Tak, to mogę zrozumieć - powiedziała półgłosem.

- Ale z mojej strony nigdy nic ci nie groziło.

- Tak uważasz? - Uśmiechnął się blado. - Nie znam bardziej wrażliwej i opiekuńczej osoby niż ty. Zajmowałaś się mną... To dziwne, ale z czasem zaczęło mi to sprawiać ogromną przyjemność. Szarlotka na kiepski humor, gorąca zupa na przeziębienie, słodkie niespodzianki, które znajdowałem w sakwach podczas spędów bydła. Oj, Pepi, jestem od ciebie uzależniony. W pozytywnym tego słowa znaczeniu. Trudno uwierzyć, ale do niedawna nie zdawałem sobie sprawy,

jak bardzo.

- Nie musisz mnie pocieszać - burknęła, patrząc mu prosto w oczy. - To, co od ciebie usłyszałam, gdy podczas fiesty w Juarez powiedziałam ci o ślubie, to prawda. Wiem, że nie kłamałeś, że nigdy nie ożeniłbyś się z taką grubą brzydulą jak ja...

- Pepi!

- Taka jestem - powiedziała z mocą, nerwowo ściskając kołdrę. - Brzydka, gruba i prowincjonalna. Tata powiedział kiedyś, że ty jesteś taki szykowny, że mógłbyś szukać kandydatki wśród panien z najlepszych domów. Miał rację. Do ciebie pasuje Edie.

- Edie nie chce mieszkać na wsi i mieć gromadki dzieci - powiedział cicho.

Więc o to chodzi! Nie może mieć Edie, więc jest skłonny zadowolić się następną w kolejce kandydatką. Czyli Penelopą Mathews. Opuściła wzrok. Pragnęła go od tak dawną że przyjąłaby go na każdych warunkach. Nie potrafiła jednak zapomnieć, co o niej powiedział.

- Może Edie zmieni zdanie? - pocieszyła go.



- Jej zdanie nic mnie nie obchodzi. Nie zamierzam jej przekonywać - oznajmił. - Pepi, jesteśmy małżeństwem!

Zarumieniła się.

- To nie jest żadna przeszkoda. W piątek podpiszesz papiery i wkrótce będziemy mieli problem z głowy.

Uraziła go do żywego. Niecierpliwie poprawił się na krześle.

- Rozważ wszystkie za i przeciw - zaczął ostrożnie.  
- Twój ojciec jest wprawdzie wypłacalny, ale nadal z trudem wiąże koniec z końcem. Mogę postawić wasze ranczo na nogi. Tobie też mógłbym pomóc. Jestem bogaty.

- Mam gdzieś twoje pieniądze! - zawołała z ogniem w oczach. - Chcę mieć dach nad głową i talerz gorącej zupy, a pieniądze jako takie mało mnie obchodzą! Dobrze o tym wiesz!

C. C. głośno westchnął.

- Czyżby weterynarz? To z jego powodu chcesz jak najszybciej unieważnić małżeństwo?

Wzrok jej pociemniał.

- To ty domagałeś się jak najszybszego załatwienia tej sprawy!

- Owszem, ale się rozmyśliłem. - Wyciągnął się wygodniej na krześle i spoglądał na dłoń, w której niedbale trzymał papierosa. - Odpowiada mi, że jestem żonaty. Już nie będę musiał opędzać się od kandydatek na żonę.

Z oburzenia aż usiadła na łóżku.

- Słuchaj, C. C. Nie mam najmniejszego zamiaru poświęcać się, żeby chronić cię przed pójściem do ołtarza. To nie ja wpadłam na pomysł ślubu!

- Mogłaś mi powiedzieć, żebym się nie wygłupiał - stwierdził cynicznie. W jego oczach zapaliły się wesołe iskierki. - Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Już ci mówiłam! Nie chciałam zgnić przez ciebie w meksykańskim więzieniu.

- Skoro upiłem się do nieprzytomności, to znaczy, że nie byłem w stanie się awanturować, prawda? Poza tym nie miałem przy sobie broni.

Zirytowaną podciągnęła kolana pod brodę i ciasno otoczyła je ramionami.

- Na wszystko masz gotową odpowiedź.

- Nie zawsze. Ale się staram. - Bez pośpiechu zgasił papierosa. - Kiedyś dałaś mi do zrozumienia, że Brandon jest twoim kochankiem. Czy to prawda?

Spojrzała na niego podejrzliwie. Nie chciała by ją przejrzał. Niech myśli, że ona i Brandon są naprawdę blisko. Łatwiej będzie trzymać go na dystans, dopóki nie znajdzie sposobu, jak sobie poradzić z najnowszym kłopotem.

- Nie twoja sprawa.

- Moja. Ty też jesteś moja.

Ciarki przebiegły jej po plecach. Żeby tylko C. C. się nie zorientował!

- Nie jestem twoja. Nie zapominaj, że nasze małżeństwo to fikcja. Czysty przypadek. Więc to, co robię z Brandonem, w ogóle nie powinno cię obchodzić.

Wstał i podejrzenie leniwym gestem odstawił popielniczkę na nocny stolik.

- A jednak mnie obchodzi. - Stał przy stoliku, taksując ją wzrokiem. - Nie będziesz z nim więcej spała - oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Żadnych randek. Skończyło się, rozumiesz? Od dziś siedzisz w domu, bo tu jest twoje miejsce.

Otworzyła szeroko oczy.

- Co ty sobie wyobrażasz?! - zawołała wzburzona. - Jakim prawem mówisz mi, co mam robić?

- Jestem pani prawowitym małżonkiem, droga pani Tremayne - odparł spokojnie.

- Nie mów tak do mnie! Ja się tak nie nazywam!

- Czyżby? Wiesz, co ci powiem? Zapomnij o unieważnieniu małżeństwa. Niczego nie podpiszę.

- Musisz - szepnęła bezradnie.

- A to dlaczego?

- Bo tylko w ten sposób możesz się ode mnie uwolnić!

Zacisnął wargi i omiótł ją uważnym spojrzeniem.

- Jesteś pewna, że tego chcę? Od trzech lat towarzyszysz mi w dobrych i złych chwilach. Pepi, ty jesteś

prawdziwym skarbem. Nie oddam cię temu ryżemu konowałowi. Możesz mu to przekazać.

- Nie chcę być twoją żoną! - zawołała.

Uniósł brwi.

- Skąd wiesz? Przecież jeszcze ze mną nie spałaś.

Zaczerwieniła się. Z całych sił ściskając brzeg kołdry, z przerażeniem w oczach patrzyła, jak C. C. pochodzi jeszcze bliżej. Spojrzał na nią z góry, a potem pokręcił głową i głośno cmoknął.

- Oj, moja mała, jeśli będziesz się tak zachowywała, trudno nam będzie doczekać się potomstwa.

- Nie będę miała żadnych dzieci!

- W ten sposób nie da rady - potwierdził z uśmiechem. - Czy ty wiesz, skąd się biorą dzieci?

- Jasne. - Zawahała się. - Ze szpitala.

- To akurat dzieje się na samym końcu. To, co najważniejsze, odbywa się dużo wcześniej.

Jego wymowny uśmiech bardzo ją speszył.

- Nie chcę z tobą spać - oznajmiła.

- Nie będziemy spali - zapewnił ją.

- Wynoś się!

Nim zdążył zareagować, drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył Ben. Mocno niezadowolony wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

- Co znaczą te krzyki?

- Robię Pepi wykład na temat początków życia. - C. C. wzruszył ramionami. - Twierdzi, że dzieci bierze się ze szpitala. Ty jej to powiedziałaś?

Ben nie krył zakłopotania.

- Chyba nie... Ale co ty robisz w jej sypialni?

- Jesteśmy małżeństwem - przypomniał mu, wyjmując z kieszeni kopertę. - Oto nasz akt ślubu.

- Którego wcale nie chciałeś - odparł Ben. - Pewnie już wiesz, że zaczęliśmy załatwiać unieważnienie.

- Zmieniłem zdanie. Pepi dobrze gotuje, jest ładna, nie ma nałogów. Prawdę mówiąc, mogłem trafić dużo gorzej.

- A ja dużo lepiej! - wrzasnęła Penelopa. - Wynoś się stąd! Chcesz czy nie, ja i tak załatwię to unieważnienie. Idź do diabła!

C. C. rzucił Benowi rozbawione spojrzenie.

- Takich manier też ty ją uczyłeś? - zapytał. -  
Wstydzilibyś się!

- Uczennica przerosła mistrza - bronił się Ben. - O  
ile rozumiem, Pepi nie chce być twoją żoną.

- Chce, ale jeszcze o tym nie wie - uspokajał go C.  
C. - Trochę to potrwa, ale na pewno ją przekonam. Na  
razie - powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Bena -  
chciałbym z tobą porozmawiać o inwestycjach, do  
których powinniśmy się przymierzyć. Na ranchu oraz w  
domu.

- Nie słuchaj go! - denerwowała się Pepi. - Chce  
nas kupić!

- Nic podobnego - oburzył się C. C. - Staram się  
tylko przełamać twoje opory. Ojcu na pewno przyda się  
wspólnik, zwłaszcza jeśli jego partnerem zostanie  
własny zięć. Prawda, tato? - Wyszczrzył w uśmiechu  
wszystkie zęby.

- Prawda, synu! - potwierdził. - Że też ja sam o tym  
nie pomyślałem? - zadumał się. - Wreszcie będę miał

syna!

- Czy wy aby o czymś nie zapominacie? - wtrąciła się Penelopa.

- Nie. O czym? - zdziwił się C. C.

- O tym, że nie zamierzam być twoją prawdziwą żoną! Unieważnię to małżeństwo!

- Niech się tata nie martwi. - C. C. klepnął Bena w plecy. - Bez mojej zgody nic z tego nie będzie, a ja na to nigdy nie przystanę. Ta kobieta chyba ma serce z kamienia, skoro chce się pozbyć małżonka jeszcze przed miodowym miesiącem!

- Rzeczywiście, nie było podróży poślubnej - uprzytomnił sobie Ben.

- Niech C. C. sam sobie jedzie w podróż poślubną! Podobno jesień jest bardzo piękna w Kanadzie. Tam są niedźwiedzie grizzly...

- Nie pora myśleć teraz o podróży poślubnej - podchwycił C. C. - Trzeba zająć się ranczera Najpierw sprowadzimy firmę budowlaną, żeby fachowcy ocenili stan techniczny domu i zabudowań. Umówiłem się też z



moimi braćmi, że przyjadą tu pogadać z nami na temat wypożyczenia paru byków rozplodowych rasy Santa Gertrudis...

- C. C. , przestań! - Penelopa wciągnęła rękę w geście, który miał go uciszyć. - Nie zgadzam się!

- Co ty masz tu do gadania? - spytał z niewinną miną. - Przecież to twój ojciec i ja będziemy współnikami.

- Tato, nie możesz mu na to pozwolić! - Spojrzała na ojca błagalnie.

- Dlaczego? - zdziwił się Ben.

- Nie przejmuj się, Pepi jest trochę zdenerwowana.

- C. C. wziął go pod ramię i podprowadził do drzwi. - Odrobina miłości pomoże jej odzyskać równowagę.

- Tylko spróbuj, a rozwalę ci łeb łyżką do opon! - gorączkowała się.

Stojąc już w drzwiach, C. C. uśmiechnął się.

- Lubię kobiety z temperamentem - powiedział, zniżając głos.

- Idź już. Chcę spać.

- Niezła myśl. Jak się porządnie wyśpisz, od razu będziesz miała lepszy nastrój.

- Lepszy nastrój! - prychnęła, kiedy zamknął za sobą drzwi. - Najpierw mnie obraża, potem gdzieś znika, uprzednio zażądawszy natychmiastowego unieważnienia małżeństwa, a teraz chce razem z ojcem prowadzić gospodarstwo. Chyba do śmierci nie zrozumie mężczyzn!

Nakryła głowę poduszką. Lecz choć bardzo starała się zasnąć, sen nie przychodził. Usnęła dopiero nad ranem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

To, że C. C. je z nimi śniadanie, nie było niczym nadzwyczajnym, chociaż ostatnio zdarzało mu się to bardzo rzadko. Penelopa nie była więc zaskoczona, ujrzawszy go w kuchni z ojcem. Zdumiało ją natomiast śniadanie, które już na nią czekało.

- Nie spodziewaliśmy się tego, prawda? - zapytał C. C. cierpkim tonem. Omiótł ją spojrzeniem od stóp do głów. Miała na sobie dzinsy, białą koszulę i żółty pulowerek. - Uważamy, że faceci są beznadziejni?

Rozejrzała się po kuchni, udając, że szuka do kogo C. C. zwraca się w ten sposób.

- Nie udawaj, że nie wiesz, do kogo mówię. Siadaj i jedz, zanim wszystko wystygnie.

Wybrała miejsce obok ojca, z daleka od C. C. Zaniepokój ona przyglądała się im obu, nie rozumiejąc, o co chodzi: C. C. miał na sobie zwykłe robocze ubranie, jej ojciec zaś wizytowy garnitur.

- Szukujesz się na własny pogrzeb czy gdzieś się

wybierasz? - zagadnęła ojca.

- Jadę do banku spłacić nasz dług hipoteczny - odparł.

- Skąd masz pieniądze?

- Porozmawiamy o tym później - wtrącił się C. C.

- Najpierw zjedz śniadanie.

- Tato, pytam cię: czym chcesz spłacić nasz dług? - powtórzyła, patrząc ojcu w oczy. Dostrzegła w nich poczucie winy. Natychmiast więc przeniosła wzrok na zadowolonego z siebie C. C. , który rozparł się na krześle i obserwował ją z miną zwycięzcy. - To twoja sprawa. - Oskarżycielsko wskazała palcem na jego szeroki tors opięty dzinsową koszulą. - Przyznaj się! Dałeś ojcu pieniądze na spłatę długu?

- Co w tym złego? Ben jest moim teściem - wyjaśnił swobodnym tonem, niewiele sobie robiąc z jej wzburzenia. - I na dodatek współnikiem. Jutro podpisujemy umowę. Ben jedzie do miasta między innymi po to, żeby przygotować dokumenty.

- Jedziesz razem z ojcem? - zapytała nieufnie.

- Nie. Muszę tu zostać. Mamy dostawę bydła, więc ktoś musi podpisać faktury i dopilnować rozładunku.

- Nowe bydło? - Szeroko otworzyła oczy. - Jakie znowu bydło?

- Jałówki - poinformował ją. - Przyjmiemy też dwa rasowe byki Santa Gertrudis. Jutro przyjeżdżają moi bracia.

- Czy oni są podobni do ciebie? - Przypomniała sobie, że poprzedniego dnia napomknął coś o braciach, ale nie pamiętała, ilu ich jest.

- Mam trzech braci - przypomniał jej.

- Wielki Boże! Wszyscy żonaci?

- Tylko jeden. Najmłodszy. Starsi są kawalerami. Ale nie rób sobie żadnych nadziei. Ty już masz męża.

- Dopóki nie podpiszesz wniosku o anulowanie. - Uśmiechnęła się słodko.

- Prędeż mi kaktus na dłoni wyrośnie.

- Odłóżcie te kłótnie na potem - upomniał Ben. - Chcę zjeść śniadanie w spokoju.

- Ojciec ma rację - zgodził się C. C. - Spróbuj sosu.

Złożyła broń. Wciąż nadaśana, wzięła łyżkę pikantnego sosu z pomidorów i dodała do jajecznicy. Smakował rewelacyjnie, tak samo zresztą jak dobrze przysmażony bekon. A grzanki w niczym nie ustępowały tym, które piekła sama.

Zaintrygowana, zerknęła podejrzliwie na C. C. Wiedziała że większość mężczyzn potrafi coś ugotować, zwłaszcza w obliczu śmierci głodowej. Jednak takiego sosu i jaj na bekonie nie powstydziliby się zawodowy kucharz.

- Sam to zrobiłeś? - zapytała, nie kryjąc powątpiewania.

- Kto powiedział, że to ja? - C. C. zrobił minę niewiniątka.

- Śniadanie przygotowała Consuela - przyznał Ben.

- Pomyśleliśmy sobie, że po wrażeniach ostatniej nocy będziesz miała ochotę dłużej pospać.

- Wrażenia... - prychnęła. - Najpierw C. C. chce jak najszybciej unieważnić ślub, a potem mówi, że absolutnie się na to nie zgadza.

- Powiedzmy, że w ostatniej chwili doznałem olśnienia. - C. C. uśmiechnął się do niej znad talerza z jajecznicą. Przeniósł wzrok na jej wargi, by po chwili spojrzeć jej prosto w oczy. - Po prostu wiem, co dobre - powiedział, uśmiechając się przekornie.

Jej głupie serce zabiło mocniej. Natomiast rozsądek podpowiadał, że C. C. postępuje z nią nie fair.

- Jestem ci potrzebna do odstraszania twoich ewentualnych narzeczonych? - zapytała zdławionym głosem.

- Tak, ponieważ zamierzam otworzyć w tych stronach filię rodzinnego biznesu - odparł bez wahania. - W tamtej części Teksasu wszyscy znają Tremayne'ów, a niebawem dowiedzą się o nich także okolice El Paso. Natychmiast zaczną mnie oblegać wszystkie panny na wydaniu. Taka śliczna i słodka żoneczka przyda mi się do odstraszania tych bab.

- Nie jestem śliczna! I na pewno nie jestem słodka!  
- Z impetem odłożyła widelec. - Jeszcze niedawno twierdziłeś, że jestem grubą brzydulą!

- Powiedziałem mnóstwo rzeczy, których teraz żałuję - przyznał. - Mam nadzieję, że nie będziesz mi ich wypominała przy byle awanturze przez następnych dwadzieścia lat.

Mężnie patrzyła mu w oczy, ostatecznie jednak musiała się poddać. Spuściła wzrok. Takim zimnym stanowczym spojrzeniem C. C. potrafił spacyfikować nawet najbardziej rozwścieczonych mężczyzn.

- Mówiłeś, że nie chcesz się żenić - przypomniała mu.

- Owszem. Ale cóż, *fait accompli*.

- Co takiego?

- Coś w rodzaju „stało się” - wyjaśnił. - Widzę, że nie znasz francuskiego. A ja znam. Nauczę cię. To bardzo seksowny język. Jak hiszpański.

Upiła łyk kawy.

- Nie mam talentu do języków.

- Znajomość paru słów na pewno ci nie zaszkodzi. A ja nauczę cię tych najbardziej potrzebnych.

Pojeła aluzję. Instynktownie spojrzała na jego war-



gi. Od dawna pragnęła poczuć, jak smakują pocałunki C. C. On jednak nie pocałował jej ani razu, oczywiście nie licząc niewinnych całusów pod jemiolą na Boże Narodzenie. To już nie wystarczało: marzyła, by wziął ją w ramiona i całował naprawdę: gorąco i namiętnie. Niestety, będąc grubą brzydulą nie ma szans budzić w mężczyznach wielkich namiętności. Od namiętności jest Edie.

Edie. Kiedy pomyślała o rywalce, zrobiło jej się nieswojo. Rozumiała, dlaczego C. C. wybrał właśnie ją. Ciekawe, czy zamierza kontynuować tę znajomość? Wprawdzie ich ślub okazał się jak najbardziej prawomocny, ale gdyby spróbowała wtrącić się w jego prywatne sprawy, na pewno powiedziałby jej, żeby pilnowała własnego nosa. Miał do tego prawo, ponieważ jest jego żoną tylko na papierze.

Powoli odłożyła widelec. Jedzenie przestało jej smakować. Ze smutkiem pomyślała, że gdyby C. C. kochał ją naprawdę, ich małżeństwo byłoby dowodem miłości, a nie wynikiem pijackiego wybryku.

- Co ci się stało? - zaniepokoił się ojciec. - Masz minę, jakby nadchodził koniec świata.

- Nie mogłam spać.

- Marzyłaś o mnie? - uśmiechnął się C. C.

- Nieprawda!

- Możesz się złościć, ale szybko się przekonasz, że ze mną nie wygrasz - rzekł półgłosem, wstając od stołu.

- Pamiętaj o tym. - Spojrzał na nią z góry.

Nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Wciąż ją zaskakiwał swoim zachowaniem. Do tego te dziwne spojrzenia... Zdezorientowana powiodła za nim bezradnym wzrokiem.

- Przestałaś cokolwiek rozumieć, tak, maleńka? - powiedział łagodnie. - Nie martw się, niedługo wszystko zrozumiesz. Ben, zobaczymy się później. - Dopił kawę, sięgnął po kapelusz i swoim zwyczajem nasunął go głęboko na czoło. - Pepi, pojedziesz ze mną na rampę popatrzeć na rozładunek?

To było pierwsze zaproszenie, jakie od niego otrzymała. W dodatku zostało powiedziane tak, jakby

naprawdę miał ochotę na jej towarzystwo. Zawahała się, nagle niepewna, jak zareagować.

- Rób, co chcesz. - Westchnął, biorąc jej przedłużające się milczenie za odmowę. - Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać.

Kiedy wyszedł, wymienili z ojcem zdziwione spojrzenia.

- Rozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytała.

- Ani trochę. - Kręcił głową. - Wiem to samo co ty: C. C. zrobił nagle zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Nie powiem, żebym się z tego powodu martwił. Ta ziemia należy do rodziny Mathewsów od czasów wojny secesyjnej. Byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdyby z powodu mojej nieudolności przeszła w obce ręce.

Wiedziała, ile znaczy dla ojca to ranczo. Miała wyrzuty sumienia, że bezustannie kłóci się z C. C. , który mógł stać się ich prawdziwym wybawcą. Problem w tym, że był również źródłem jej największych kłopotów.

- Co o tym wszystkim myślisz? - zapytał ojciec.

Gładziła palcem brzeg filiżanki.

- Wydaje mi się, że C. C. chce wykorzystać tę beznadziejną sytuację. Albo uważa że unieważnienie małżeństwa uwłacza ego męskiej dumie. A może jest tak, jak mówi: ślub ze mną odpowiada mu, bo chroni go przed zakusami innych kobiet, które pewnie rzucą się na niego, jak tylko po okolicy rozjedzie się wieść o jego majątku. Szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym myśleć. Jego zachowanie wydaje mi się podejrzane. Jest zbyt grzeczny, zbyt układny jak na kogoś, kto na wiadomość o swoim ślubie dostał ataku furii.

- Nie było go tu przez parę dni - zauważył ojciec. -  
Może w tym czasie wszystko przemyślał?

Przypomniała sobie nieoczekiwaną spowiedź C. C. , to, co powiedział o sobie i nieżyjącej żonie. Wspominał, że chciałby mieć dzieci, ale Edie nie jest zainteresowana zakładaniem rodziny. Być może uznał, że ona bardziej pasuje do roli potulnej żony i matki, która będzie siedziała w domu, prała i gotowała,

podczas gdy on będzie żył tak, jak lubi. A gdy znudzi mu się życie u jej boku, bez zbędnych sentymentów porzuci ją i pójdzie swoją drogą.

Nie miała cienia wątpliwości, że C. C. jej nie kocha. Dał jej to odczuć w sposób nie pozostawiający złudzeń. Niewykluczone, że po prostu chce pójść z nią do łóżka, ale nawet tego nie może być w stu procentach pewna, ponieważ C. C. nigdy nie okazywał, co naprawdę czuje. Może więc prowadzi jakąś grę? Wymyślił sposób, żeby się na niej zemścić?

- Znowu to robisz - zauważył ojciec. - Znowu o tym rozmyślasz. Mówiłem ci już, żebyś przestała się zadrećzać. Czas pokaże, co z tego wszystkiego wyniknie.

Chciała mu powiedzieć, że nie potrafi, ale dała za wygraną.

- Tato, znalazłam pracę - oznajmiła.

- Co takiego?!

- Idę do pracy. Co prawda jeszcze nie wiem, czy na pewno ją dostanę, ale mam szansę. Jeśli mnie zatrudnią,

będę recepcjonistką w firmie ubezpieczeniowej w El Paso - powiedziała. Widząc jego zaniepokojenie, zapytała: - Jesteś zły, że chcę pójść do pracy?

- Masz co robić tutaj, w domu - mruknął. - Kto będzie piekł dla mnie szarlotki i torty? Kto się mną zajmie?

Zaskoczona uniosła brwi.

- Tato, przecież prędzej czy później muszę odejść z domu.

- Nie musiałabyś, gdybyś posłuchała mojego zięcia i nie majstrowała przy waszym małżeństwie - rzekł dobitnie. - C. C. to doskonała partia. Bogaty, przystojny, mądry...

- ...uparty, autokratyczny, nieprzewidywalny... - wyliczyła jednym tchem.

- ...i najważniejsze, że lubi dzieci - zakończył. - Ja też bardzo lubię dzieci. Żałuję, że twoja mama i ja nie mieliśmy was więcej. Marzy mi się gromadka wnuków.

- To marzenie nietrudno spełnić. Jak tylko uwolnię się od C. C. , wyjdę za Brandona i damy ci te twoje

wnuki. Wszystkie rude jak wiewiórki. - Uśmiechnęła się szeroko.

- Nie życzę sobie żadnych rudzielców! - zaproponował energicznie.

- To masz pecha - stwierdziła, odsuwając talerz. - Bo nie zamierzam spędzać życia w roli tarczy, która osłoni biednego C. C. przed atakami pazernych bab.

- Nie przyszło ci do głowy, że są inne powody, dla których C. C. nie chce się z tobą rozstać? - zapytał. - Dużo bardziej osobiste niż te, które wymienił.

Spojrzała na niego pytająco.

- Myślisz o tym, co stało się z jego żoną i dzieckiem?

Przytaknął.

- Rozumiem, jak jest mu ciężko z tym żyć. Na własnej skórze odczułem, czym jest nieustające poczucie winy. Długo zadreślałem się z powodu wypadku, w którym zginęła twoja matka. Uważałem, że jestem winny jej śmierci. Gdybym wtedy nie pił, pewnie do dziś byłaby z nami. W końcu zrozumiałem, że nie

można żyć przeszłością. Żeby iść dalej, trzeba sobie wybaczyć własne błędy. Może C. C. jest w trakcie dochodzenia do tego wniosku? Kto wie, może stara się zacząć wszystko od nowa?

- Zapewne masz rację, ale dla mnie to za mało. - W jej głosie brzmiała nuta znużenia. - Nie będę lekarstwem dla jego zbolełej duszy. Chcę być kochana, szanowana, potrzebna.

- Przecież wiesz, że jesteś mu potrzebna. Miałaś już okazję o tym się przekonać.

- Jasne - zadrwiła. - Dobra, pocziwa Pepi tylko czeka żeby wyciągać go z kłopotów, przypominać mu, żeby wziął płaszcz przeciwdeszczowy, i całe dnie spędzać przy garach. Tato, jemu nie tego potrzeba. On musi spotkać kobietę, którą pokocha. Edie jest dla niego dużo lepszą partnerką niż ja. Ich coś łączy. A ja? Nawet mnie nigdy nie pocałował - przyznała, rumieniąc się.

- To go poproś, żeby to zrobił. - W oczach Bena zapalił się figlarny błysk. - Dla spróbowania. Lepiej nie kupować kota w worku.



Zaczerwieniła się jeszcze bardziej i spuściła wzrok.

- Nie chcę, żeby mnie całował - szepnęła. - Nie chcę go znać.

- To błąd. Spróbuj, może ci się spodoba - zachęcał ją z uśmiechem. - Nie jesteś już dzieckiem, a żyjesz jak zakonnica. Znasz tylko nieśmiałe zaloty naszego drogiego weterynarza.

- Powiedziałeś o tym C. C. ?!

- Nie musiałem, sam się zorientowałem - odparł. - Z niejednego pieca chleb jadł, więc widzi, z kim ma do czynienia. Ślepy by się domyślił, że w tych sprawach jesteś zielona jak trawa na wiosnę. Za często się czerwienisz.

- Od dziś zacznę chodzić w masce. Nienawidzę mężczyzn - powiedziała nadąsana.

- Nie denerwuj się. Obaj życzymy ci jak najlepiej.

- A przy okazji C. C. wyciągnie nas z długów?

- Nie powiem nie. - Ojciec próbował ją udobruchać, gładząc delikatnie po ręce. - Ta ziemia jest naszym dziedzictwem i mamy obowiązek przekazać ją

następnym pokoleniom. Moja droga, to miejsce to kawał historii. W tym domu kwaterował jeden ze słynnych generałów wojny secesyjnej; kiedy indziej na ranczo napadli Komancze i zabili jednego z kowbojów; stąd kawaleria wyruszyła na Paso del Norte. Chciałbym, żeby twoje dzieci odziedziczyły tę ziemię.

Dotknęła jego spracowanej dłoni.

- Tato, ja to wszystko rozumiem. Sam mówiłeś, że małżeństwo to nie bułka z masłem. Nawet wtedy, gdy małżonkowie bardzo się kochają. A co dopiero, gdy nie ma między nimi miłości...

- Przecież ty go kochasz! - Po raz pierwszy nazwał rzecz po imieniu. - Widzę, jak na niego patrzysz, jak śmieją ci się oczy, gdy wchodzi do pokoju. On tego nie dostrzega, bo nie patrzy. Ale to, że nie chce anulować małżeństwa, pozwala ci mieć nadzieję, że nie jesteś mu obojętna. Mam rację?

- I co z tego, że nie chce unieważnienia? - Wzruszyła ramionami. - Zadowolili się każdą kobietą.

- Nieprawda - odparł, po czym wyciągnął z kieszeni

zegarek z dewizką i sprawdził czas. - Robi się późno, więc nie mogę ci teraz wytłumaczyć, jak bardzo się mylisz. Nie wrócę na lunch, ale C. C. wspominał, że wpadnie do domu coś zjeść.

- Już ja mu coś zaserwuję...

- No, no, moja panno. Tak się traktuje człowieka, który wyciąga z długów twojego steranego życia ojca?

Skrzywiła się.

- Niech ci będzie. Spróbuję być miła. Tylko nie myśl, że zrezygnuję z pracy, o której ci mówiłam - rzuciła przez ramię, zbierając ze stołu naczynia. - Jeśli mnie zatrudnią, nikt mnie nie zatrzyma.

Ojciec machnął ręką i ruszył do drzwi.

Zajęła się codziennymi obowiązkami. Zaproszenie C. C. , by obejrzała wyładunek jałówek, nie dawało jej spokoju. Zbyt nie nalegał, przypomniała sobie. Na dodatek cała ta akcja na pewno już dobiega końca. Mimo to ostatecznie zdecydowała się tam pojechać.

Jechała konno wyboistymi ścieżkami w stronę

miejsca, do którego przyjeżdżały ciężarówki z bydłem. Po drodze rozmyślała o różnicach między tymi terenami, położonymi w urodzajnej dolinie, a oddalonymi zaledwie o kilka mil od pustynnych obszarów otaczających El Paso. Pustynia: urzekająca surowym pięknem i tajemnicza. Na tym nagim ugorze można było spotkać oazy bujnego życia w najróżniejszych kształtach i kolorach. Kolczaste opuncje bywały wyjątkowo złośliwe, lecz kwitły najpiękniej ze wszystkich pustynnych roślin. Kiedy przychodziły deszcze, pustynia rozkwitała tysiącem jaskrawych barw. Nawet niezniszczalny jadłoszyn wypuszczał cudne pąki. Wokół zaczynało nagle roić się od zwierząt, i to całkiem innych niż grzechotniki i jaszczurki.

Natomiast ziemia należąca do Bena, na terenie okręgu Hudspeth niedaleko Fortu Hancocka na południowy wschód od El Paso, była krainą zieleni. Dzięki bliskości rzeki Rio Grande dolina miała bardzo urodzajne gleby porośnięte bujną trawą i doskonale nadawała się do wypasania bydła. W drugiej połowie

XIX wieku wojsko amerykańskie zbudowało nad rzeką liczne forty, które miały strzec granicy z Meksykiem. Jeden z nich nosił imię generała Winfielda Scotta Hancocka. Penelopa zwiedzała go wiele razy podczas wycieczek z rodzicami, którzy bardzo interesowali się historią. Dzięki ich pasji poznała dzieje swojej małej ojczyzny: wiedziała kto i dlaczego wywołał wojnę solną, potrafiła odnaleźć gorące źródła, z których w dawnych czasach korzystali Indianie.

W dzieciństwie chętnie przebywała w tych historycznych miejscach. Wyobrażała sobie wtedy indiańskich wojowników przemierzających okolicę na małych zwinnych koniach, dzięki którym zaskarbili sobie miano najlepszej lekkiej kawalerii świata. Przed oczyma przesuwały jej się obrazy kowbojów pędzących wielkie stada bydła oraz złowrogie twarze legendarnych meksykańskich bandytów, takich jak Pancho Villa. Bujna wyobraźnia pomagała jej łagodzić smutek wynikający z faktu bycia jedynym dzieckiem w rodzinie.

Ciekawe, czy C. C. lubi historię? Nigdy z nim o tym nie rozmawiała. Pochłonięta wspomnieniami, dotarła do niewielkiej rzeki, zwanej potocznie Mathews Creek, dopływu Rio Grande. Brzegi rzeki, wylewającej rokrocznie podczas wiosennych deszczy, dawały schronienie licznym gatunkom zwierząt, między innymi widłorogom i jeleniom. Ben Mathews pozwalał czasem organizować polowania, ale wyłącznie myśliwym, których dobrze znał. Wcześniej wytrzebiono tu większość drapieżników, zaburzając tym samym proces selekcji naturalnej, więc teraz człowiek musiał wziąć ten obowiązek na siebie. W przeciwnym razie szybko rozmnażające się dzikie zwierzęta trawożerne pustoszyły pastwiska, odbierając pożywienie zwierzętom hodowlanym.

Z niewielkiego wzniesienia dojrzała ogromne ciężarówki, z których wyprowadzano młode krowy. Gdy po chwili dostrzegła C. C. , który siedząc na ogrodzeniu pastwiska, nadzorował akcję, serce skoczyło jej do gardła. On zaś chyba wyczuł jej obecność, bo spojrzał

za siebie. Powitał ją szerokim uśmiechem.

Zeskoczył na ziemię i ruszył w jej stronę: wysoki, smukły i bardzo niebezpieczny. Pomyślała że na całym świecie nie ma drugiego takiego mężczyzny. Czyjej się to podoba czy nie, C. C. był ucieleśnieniem jej marzeń.

- Zdecydowałaś się przyjechać - ucieszył się. -  
Zeskakuj z konia.

Obróciła się w siodle i zsunęła na ziemię krok od niego.

- Dużo ich - zauważyła, gdy już przywiązali jej klaczkę do ogrodzenia.

- Żeby utrzymać się w tym biznesie, trzeba mieć wielkie stada. Dotyczy to zwłaszcza takich hodowców jak twój ojciec i ja czyli tych, którzy nie chodzą na skróty.

- Na jakie skróty?

- Nie stosują hormonów i nie szprycują zwierząt witaminami.

- W biuletynie ojca czytałam, że niektóre kraje nie chcą importować bydła hodowanego na hormonach.

- Studiujesz fachową literaturę - powiedział z uznaniem. - Konsumenci coraz bardziej dbają o swoje zdrowie i chcą wiedzieć, co wkładają do garnka. Nie podoba im się nawet to, że ziarno zawarte w paszy jest z pestycydami.

- Żeby nie wspomnieć o wypalaniu znaków.

- Niestety, inne metody się nie sprawdziły. Jest to jedyny skuteczny sposób zabezpieczenia się przed złodziejami.

- Złodzieje bydła w dwudziestym pierwszym wieku! - parsknęła.

- To nie żarty! Kradzione bydło to bardzo opłacalny interes. Różnica polega na tym, że rabusie jeżdżą teraz tirami, a nie jak kiedyś na końskim grzbiecie. Trzeba się przed nimi zabezpieczać wszelkimi sposobami - mruknął. - Kurczę. Jesteśmy atakowani ze wszystkich stron. Ale dopóki nie ma jedzenia w pigułkach i ludzie wolą krwiste befsztyki, nie obejdzie się bez kompromisów.

- Mimo to zawsze będę przeciwna tak drastycznym



metodom, jak wypalanie znaków. Nie wolno dręczyć zwierząt. Ani z ciekawości, ani do celów laboratoryjnych, na przykład po to, żeby testować na nich nowe kosmetyki.

- Ach, to twoje miękkie serce! - Roześmiał się. - Ty nawet kury objęłabyś ochroną. Podejrzewam, że sto lat temu skazałabyś się przez to na śmierć głodową. Zauważ, że gdyby nie testowano nowych leków na zwierzętach, do dziś niemowlęta marłyby jak muchy, podobnie jak dorośli na ospę i inne paskudztwa.

- Możliwe - przyznała niechętnie. - Czy możemy porozmawiać o czymś przyjemniejszym? Opowiedz mi o swoich braciach. Czy są do ciebie podobni?

Spojrzeniem pełnym podziwu dla jej urody i ponętnych kształtów omiótł ją od stóp do głów.

- Evan jest najstarszy - zaczął po chwili. - My dwaj jesteśmy do siebie najbardziej podobni, tylko że on jest bardziej powściągliwy. Najmniejsza różnica wieku dzieli mnie i Hardena, ale on jako jedyny z nas ma niebieskie oczy. Najmłodszy, Donald, niedawno się

ożenił. Jego żoną Jo Ann, jest bardzo sympatyczna.

- A rodzice? Żyją?

- Ojciec zmarł, kiedy byliśmy mali. Mama żyje i ma się dobrze. - Zaczepił palce o szeroki skórzany pas i spojrzał jej w oczy. - Ma na imię Theodora. Jeśli urodzi nam się córka, chciałbym, żeby odziedziczyła po niej imię - oznajmił, przenosząc wzrok na jej usta. - To niezwykła kobieta. Dzielna, zaradna i kochająca. Spodobasz się jej, Penelopo Mathews Tremayne.

Zaczerwieniła się. Jak zawsze wtedy, gdy C. C. był blisko, ogarnęła ją dziwna nerwowość. Próbowwała się odsunąć, ale przejrzał jej zamiar i przysunął się jeszcze bliżej. Jego uśmiech powiedział jej, że dobrze wie, co się z nią dzieje.

- Jeszcze trochę i nie będę się nazywała Tremayne.

- Skoro mówię, że będziesz, to znaczy, że będziesz - powiedział cicho. - Małżeństwo to poważna sprawa. Jeśli nie chciałaś za mnie wychodzić, trzeba było wybić mi z głowy wizytę w kaplicy.

Musiła przyznać mu rację. Bez słowa wsunęła ręce

do kieszeni, żeby ukryć przed nim ich drżenie. Unikając jego spojrzenia skupiła wzrok na niebieskiej koszuli, pod którą dostrzegła cień owłosienia na jego piersi. Raz czy dwa widziała go z nagim torsem, ale tylko z daleka. Mimo woli zaczęła myśleć o tym, jak wygląda z bliską i zaczerwieniła się po same uszy.

- Co się z tobą dzieje? - Uśmiechnął się leniwie. - Mam zdjąć koszulę? - zapytał przeciągle.

Zatrzepotała powiekami. Zawstydzona czym prędzej odwróciła wzrok w stronę ciężarówek. Serce biło jej jak oszalałe, z emocji aż zaschło w gardle. Zebrała się w sobie, by jak najszybciej odzyskać równowagę.

- Podoba mi się... ten kolor - wyjąkała.

- Dobra, dobra. Rozbierałaś mnie wzrokiem! - Roześmiał się, sięgając po papierosa. - Nie ma w tym nic złego. Jesteśmy mężem i żoną. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś mnie dotykała.

Spłoszona chciała się cofnąć, ale on chwycił pasmo jej włosów i nie pozwolił jej się odsunąć.

- Nie uciekaj ode mnie - powiedział. Jego spokojny,

niski głos przebił się przez otaczający ich rejwach: ryk przerażonych krów, krzyki robotników, klaksony tirów. Jedna z ciężarówek zaparkowała tak, że zasłaniała ich przed spojrzeniami ciekawskich. - Pora, żebyś zaakceptowała wszystkie aspekty sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy - oznajmił.

- Ta sytuacja zmieni się w dniu, w którym podpiszesz zgodę na unieważnienie naszego małżeństwa - wykrztusiła, z trudem dobierając słowa.

Nie spuszczał z niej oczu, wsunął rękę w jej włosy i przysunął jej twarz do swojej twarzy. Nigdy dotąd nie widziała w jego oczach takiego blasku.

- Swój związek anulują ludzie, którzy nie potrafią rozwiązywać problemów. Ale ty i ja do nich nie należymy. My damy szansę naszemu małżeństwu. Zaczniemy nad tym pracować tu i teraz.

- Ale my...!

Bez uprzedzenia zamknął jej usta pocałunkiem. Nie cofnął się nawet wtedy, gdy zaczęła się wyrywać. Cisnął papierosa w piach i mocno otoczył ją ramionami.

Każdym nerwem czuła bliskość jego silnego ciała. Bijące od niego ciepło osłabiło w niej chęć ucieczki. Idąc za głosem instynktu, chwyciła go za ramiona. Pod palcami czuła napięte mięśnie. Dopiero po chwili odkryła rozkosz pocałunku. Najpierw czuła tylko ciepło jego warg, potem ich delikatne ruchy, początkowo bardzo łagodne, potem coraz bardziej niecierpliwe.

Całowała się z Brandonem, z innymi chłopcami. Jednak tamte pocałunki były niczym w porównaniu z tym, co przeżywała teraz.

Kiedy C. C. przygarnął ją do siebie jeszcze mocniej, drgnęła, wstrząśnięta intymną bliskością męskiego ciała. On zaś pieścił jej wargi, coraz bardziej zapamiętując się w pocałunku.

- Zobaczą nas... - wyrwało się jej.

Obrócił ją, by mogła przekonać się, że nikt ich nie widzi.

- Zapomnij o nich, maleńka. - Lekko musnął ją wargami. - Obejmij mnie - szepnął.

Posłusznie zrobiła, o co prosił.

- A teraz proszę mnie pocałować, pani Tremayne. -  
Delikatnie zmusił ją, by rozchyliła wargi.

Straciła głowę. Tuliła się do niego, szukając gorą-  
czkowo jego warg, które były to miękkie i delikatne, to  
znów twarde i namiętne. Kiedy przycisnął ją do siebie z  
całych sił, nogi się pod nią ugięły.

Nagle odsunął ją.

- Nie tu i nie teraz - wycedził przez zaciśnięte zęby,  
po czym odetchnął głęboko. Nie spuszczał z niej  
wzroku, oceniając jej reakcję. - Tak, teraz wiem, że  
mnie pragniesz - powiedział ochryple. - To dobry znak.

Piekły ją wargi, a w ustach miała jego smak.  
Chciała zapytać, po czym to poznał, ale zanim zdążyła  
coś powiedzieć, chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę  
zagrody.

- Te tutaj, to herefordy - powiedział, jak gdyby nic  
się nie wydarzyło. - Rasa Santa Gertrudis powstaje z  
krzyżówki dwóch innych ras - dodał i po chwili  
wygłosił wykład na temat krzyżowania gatunków.

Niby słuchała go z uwagą, cały czas jednak

wspominała ten pierwszy, wymarzony pocałunek. Czowała, że jej ciało nadal płonie. On z kolei uśmiechał się do niej w taki sposób, że ze szczęścia zapierało jej dech w piersiach. Dotarło do niej, że przed chwilą stało się coś bardzo ważnego: przekroczyli pewną barierę i od tego czasu ich układ wszedł w nową fazę. Myślała o tym z radosnym podnieceniem, ciekawa, co będzie dalej.

Radość nie opuszczała jej ani przez chwilę, gdy pożegnawszy z się z nim, wracała do domu. Oddałaby wszystko, by dowiedzieć się, co przyszłość im przyniesie.

Obserwując z daleka jego zgrabną sylwetkę, próbowała wyobrazić sobie, jak będzie wyglądać ich dziecko. Speszona takimi myślami niechętnie oderwała od niego wzrok. Tę ciekawość zaspokoi później, gdy i jeśli dojdą do porozumienia.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Sprawy mocno się skomplikowały już nazajutrz, gdy z samego rana na ranczo przyjechał Brandon. Od początku był wyraźnie spięty i widać było, że nie do końca pojmuje, o co w tym wszystkim chodzi: z jednej strony Pepi zapewniała go, że jej małżeństwo jest nieporozumieniem, z drugiej zaś siedzący naprzeciw niego C. C. rzucał mu groźne spojrzenia pod którymi poczuł się jak cielę przypalane żelazem do znakowania.

- Pomyślałem... że moglibyśmy pójść jutro do kina. Oczywiście... pod warunkiem, że C. C. nie ma nic przeciwko temu - wyjąkał.

Pepi nie widziała C. C. od poprzedniego dnia. Wystarczyło jednak, że zjawił się Brandon, by jej małżonek wyrósł jak spod ziemi. Nieproszony rozsiadł się z nimi w salonie, najwyraźniej w roli przyzwoitki. Pepi bardzo się denerwowała widząc, jak rozparty w fotelu z arogancką miną pali papierosa i mierzy jej przyjaciela wrogim spojrzeniem.



- Pepi jest moją żoną - przypomniał Brandonowi. - Według mnie mężatki nie powinny spotykać się z innymi mężczyznami. Ot, takie moje dziwactwo - dodał, przeszywając rywala wzrokiem.

Zdumiony Brandon szeroko otworzył oczy.

- Myślałem... to znaczy, Pepi mówiła, że... - Spojrzał na nią, oczekując, że go poprze. - Że to nieporozumienie...

- Na początku rzeczywiście tak było - przyznał C. C. - Teraz jednak sprawy wyglądają inaczej. Oboje z Pepi próbujemy dojść do porozumienia. Prawda, Penelopo?

Zerknęła na niego niepewnie. Od chwili, gdy ją wczoraj pocałował, przestała być sobą. Czowała się zagubiona. C. C. zapędził ją do narożnika a ona nie miała żadnego pomysłu, jak się stamtąd wydostać.

- C. C. , posłuchaj... - zaczęła.

Uśmiechnął się do niej leniwie.

- Nie C. C. , tylko Connal. Zapomniałaś, kochanie? Od czasu do czasu biedaczka miewa kłopoty z pamięcią

- zwrócił się do Brandona.

- Nieprawda! - oburzyła się. - Nigdy niczego nie zapominam.

- Czyżby? Odniosłem wrażenie, że przed chwilą zapomniałaś, że jesteśmy małżeństwem - zauważył z niewinną miną. - Kiedy własna żona nie pamięta o takich rzeczach, człowiek zaczyna się martwić.

Penelopa aż zatrzęsała się z wściekłości. Natomiast Brandon wiercił się w fotelu z miną człowieka, który przestał cokolwiek rozumieć.

- Skoro już tu jestem, może pójde zbadać te dwie jałówki zarażone pasożytami - zwrócił się w końcu do C. C. , zmieniając temat. - W jakim stanie są cielaki z biegunką?

- Wyjdą z tego. Ale nie zaszkodzi ich obejrzeć - odparł C. C. - Ostatnio mamy sporo takich przypadków. Nie podoba mi się to.

- Trzeba sprawdzić pojniki. Być może przyczyną biegunki jest woda skażona chemikaliami - podsunął Brandon.

- Też mi to przyszło do głowy. Wyślę ludzi, żeby posprawdzali cysterny z wodą. Niewykluczone, że coś się do nich przedostaje.

- Ciesz się, że nie wypasacie bydła u podnóża gór Guadalupe, tam, gdzie są złoża soli - mruknął Brandon.

- No tak, inni mają gorzej. - C. C. podniósł się z fotela. - Odprowadzę cię. Spodziewam się wizyty, więc plan dnia mam bardzo napięty. Poproszę któregoś z chłopaków, żeby zaprowadził się do chorych cieląt.

Pepi nie spodobał się wyraz jego twarzy. Na wszelki wypadek poderwała się z miejsca.

- Idę z wami - oznajmiła, stając obok Brandona.

C. C. uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

Poszli do stodoły po robotnika, którego C. C. wyznaczył Brandonowi do pomocy. C. C. zamienił z nimi jeszcze parę słów, po czym wrócił do Pepi. Bez słowa wziął ją za rękę i poprowadził na tyły baraku, gdzie zawsze parkował swój samochód.

- Dokąd jedziemy? - zdziwiła się.

- Na lotnisko, po moich braci. Zapomniałaś?

- Nie uprzedziłeś mnie, że mam z tobą jechać. Nie jestem odpowiednio ubrana - tłumaczyła się.

- Mnie się podobasz. - Uciął dyskusję, patrząc z aprobatą na jej długą dzinsową spódnicę, mokasyny i pulower. - Lubię, jak masz rozpuszczone włosy.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zapytała chłodno. - Z rozpuszczonymi włosami czy z końskim ogonem, zawsze jestem tak samo gruba.

C. C. sapnął głośno. Potem mocno chwycił ją za ramię i obrócił ku sobie.

- Żałuję tego, co niepotrzebnie powiedziałem. - Patrzył jej prosto w oczy. - Uwierz mi, że podobasz mi się taka, jaka jesteś. Nagadałem ci głupstw, bo chciałem sprawić ci przykrość. Wcale tak o tobie nie myślę. Gdy dowiedziałem się o ślubie, byłem w szoku. Wściekłem się, bo byłem pewien, że mnie wrobiłaś. Nie miałem pojęcia w jakich okolicznościach go braliśmy. Wiem, że długo nie będziesz mogła zapomnieć tego, co wtedy ode mnie usłyszałaś. Mam nadzieję, że z czasem te rany się zabliznią.

Przesunęła wzrokiem po jego zmysłowych wargach, a potem znów popatrzyła mu w oczy.

- Byliśmy kiedyś przyjaciółmi - powiedziała cicho.

- Chciałabym, żeby znowu tak było...

- Naprawdę? - Przysunął się bliżej. - Obawiam się, że po tym, co się stało wczoraj, żadne z nas już nie zadowolili się przyjaźnią. - Popatrzył na nią łakomie. - Pragnę cię, Pepi.

Na jej twarzy odmalowało się niezdecydowanie.

- Pragniesz także Edie - rzuciła.

- W taki sam sposób, w jaki ty chciałaś być z Brandonem? - zapytał zaczepnie. - Narzeczony, który poddaje się bez walki. - Skrzywił się pogardliwie. - Na jego miejscu walczyłbym o ciebie jak lew, a on co? Wziął ogon pod siebie i dał nogę.

- Już to widzę, jak się o mnie bijesz!

- Powiedz mi, czy naprawdę tak bardzo lubisz tego konowała? - Wierzchem dłoni przesunął po jej obojczyku i dalej, powoli, po materiale bluzki. Przez cały czas nie spuszczał z niej wzroku, obserwując, jak się

rumieni i oddycha z coraz większym trudem.

- C. C. .. - Nie bronila się, mimo że w jej głosie slychać bylo wahanie.

- Nie bój się - uspokajal ją łagodnie. - Jestem twoim meżem.

Nie mogła zebrać myśli. Czula ciepło jego ręki, która z wolna wędrowala w stronę jej piersi. Gładzil ją delikatnie, cierpliwie, aż poczuła, że ogarniają ogień. Oddech jej się rwał. Płonęła pożądaniami. Z rozkoszy aż zachłysnęła się powietrzem, a potem zadrzała na całym cieie i cicho westchnęła.

- Skłamałaś - powiedział szorstko C. C. - Nie spałaś z weterynarzem. Ani z innym meżczyzną.

Nie próbowała zaprzeczać. Nie była w stanie poruszyć się ani wydobyć z siebie głosu. C. C. najwyraźniej rzucił na nią jakiś urok. Przyjemność, którą jej dał, była tak zniewalająca, że aż kręciło się jej w głowie.

Rozejrzał się dokoła. Bardzo pragnął przedłużyć tę lekcję kochania. Niestety, wszędzie kręcili się kowboje.

W każdej chwili ktoś mógł ich zobaczyć. Na dodatek za pół godziny przyjadą jego bracia. Był tak sfrustrowany, że miał ochotę czymś cisnąć.

- Na razie musi ci to wystarczyć - szepnął ochrypłym głosem. Przyciągnął ją do siebie. - Co za ból... - jęknął.

Nie zrozumiała o czym mówi.

Znowu zaczął ją całować. Jednocześnie pieścił jej piersi. Wyczuwał wargami jej westchnienia, które brzmiały jak skarga. Ona jednak się nie skarżyła wręcz przeciwnie, i on dobrze o tym wiedział.

- Rozchył usta - wyszeptał, przygryzając lekko jej dolną wargę.

Objęła go mocno i zaczęła na niego napierać, przytulając pierś do jego zręcznej dłoni. On jednak cofnął rękę. Nim się zorientowała położył dłonie na jej biodrach i gwałtownie przycisnął je do swoich bioder.

Pocałunki stłumiły jej okrzyk. C. C. jakby wcale tego nie słyszał. Przyciskając ją do siebie, kołysał jej biodrami. Chciał, by poczuła, jak bardzo jest pod-

niecony. Naraz jednym zdecydowanym ruchem odsunął ją od siebie.

- Nie! - Powstrzymał ją, gdy za wszelką cenę próbowała wrócić w jego ramiona. - Chodź! - Pociągnął ją w stronę samochodu.

Trzymał ją bardzo mocno za ramię, ale nawet tego nie czuła. W środku była cała rozedrgana. Więc to tak wygląda miłość fizyczna! Była pewna, że kiedy ludzie kochają się naprawdę, kiedy spotykają się ich nagie ciała, doznania są jeszcze wspanialsze. Westchnęła, próbując wyobrazić sobie, jak to będzie, gdy C. C. zacznie ją dotykać.

- Kobieta doświadczona - zadrwił, spoglądając na nią z góry. - Dlaczego mnie okłamałaś?

- Myślałam, że jakoś się na ciebie uodpornię.

- Faktycznie, nawet wyglądasz na uodpornioną! - parsknął, patrząc na jej rozchylone i nabrzmiące wargi.

- Nie śmieć się ze mnie - szepnęła. - Nic na to nie poradzę, że tak na mnie działasz.

Otworzył przed nią drzwi samochodu.



- Wcale się z ciebie nie śmieję - zapewnił ją. - Jeśli chcesz wiedzieć, bardzo mnie kręci, kiedy tak spontanicznie na mnie reagujesz.

Przyjrzała mu się ukradkiem. Intrygował ją i jednocześnie trochę przerażał. Wydawał się jej bardzo dorosły i nieskończenie bardziej doświadczony.

- Czy to... co teraz robiłeś... - zająknęła się, choć starała się panować nad głosem. - Czy tak samo jest w łóżku?

Na ułamek sekundy serce mu stanęło, po czym zaczęło walić jak szalone. W żyłach tętniła rozgrzana krew.

- Przyjdź do mnie dziś w nocy - szepnął, zaglądając jej głęboko w oczy. - Dowiesz się, jak to jest...

Zamarła.

- Chcesz, żebym z tobą spała?

Skinął głową.

- Oprócz mnie w baraku nie ma teraz nikogo. Poza tym, jesteś moją żoną. - Czuł to słowo każdym nerwem.

- W tym, że mąż i żona śpią razem, nie ma nic

zdrożnego - przekonywał, widząc jej wahanie. - Pora, żebyśmy skonsumowali nasz związek. Czy wiesz, że bez tego w świetle prawa nie jesteśmy małżeństwem?

- Nie, nie wiedziałam - bąknęła. Pomyślała że C. C. zapomniał, że jej nie kocha. Ona musi o tym pamiętać, choć wymagało to od niej nie lada wysiłku. Wystarczyło, że spojrzał na nią tak jak teraz, by zapomniała o całym świecie.

- Boisz się? - zapytał.

- Tak, trochę...

- Będę bardzo delikatny. - Sięgnął po jej dłoń i położył na swoim sercu.

- To boli.

- Możliwe, ale nie będziesz na to zwracała uwagi - zapewnił.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Przed chwilą pewnie niechcący zrobiłem ci sińce na biodrach - uprzedził - bo trochę za mocno cię przytrzymałem. Mimo że byłem taki natarczywy, potem bardzo chciałaś wrócić w moje ramiona. Nie uciekałaś

ode mnie.

- Więc na tym to polega... - powiedziała w zamyśleniu. Rzeczywiście, już zdążyła zapomnieć, jak boleśnie jego silne dłonie wbijały się w jej ciało.

- Gorączka pożądania sprawia, że nie myśli się o bólu - tłumaczył. - Kiedy będziesz ze mną, tak cię rozpale, że będzie ci wszystko jedno, co z tobą robię.

- Co będzie z tobą i Edie? - szepnęła smutno.

Ujął w dłonie jej twarz i czule pocałował w czoło.

- Edie była przyjemną, ale zupełnie niewinną rozrywką - mówił, przytulając policzek do jej policzka.

- Nie spałem z nią - szepnął jej wprost do ucha.

- Jak to? Ale na pewno chciałeś.

Odsunął się, by spojrzeć jej w oczy.

- Pepi, to nie jest tak, jak myślisz... - Westchnął przeciągle. - Nie wiem, może to z powodu poczucia winy nie miałem ochoty na intymne związki. Ani na seks. Po śmierci Marshy te sprawy przestały mnie interesować. Do wczoraj.

- Pragnąłeś mnie?... - Nie posiadała się ze zdu-

mienia.

- Jeszcze jak! I nadal pragnę, z każdą chwilą bardziej - wyznał, tuląc ją do siebie. - Czy chcesz mieć ze mną dzieci?

Pierwszy raz w życiu ktoś zadał jej takie pytanie. Z wrażenia zrobiło jej się gorąco.

- Już? Teraz? - zapytała niepewnie.

- Jeśli nie chcesz zajść w ciążę, będę musiał się zabezpieczyć.

- Ja... - Spuściła oczy. - Ja nie wiem.

To wszystko działo się tak szybko! Zbyt szybko. Czowała się osaczona.

- Nie rób takiej przerażonej miny - poprosił łagodnie. - Nie musisz, jeśli nie chcesz. Nie ma pośpiechu. Przed nami całe życie. Jeśli najpierw chcesz mnie lepiej poznać, nie ma sprawy. Nie będę cię ponaglał.

- C. C. ... - Uśmiechnęła się promiennie. - Jesteś bardzo sympatyczny.

- Próbuję ci to przekazać, ale chyba za mało się

przykładam, żeby ci to udowodnić. Pepi, zapamiętaj, że mam na imię Connal.

- Connal. - Nieśmiało wyciągnęła dłoń, lecz on błyskawicznie chwycił jej palce, po czym delikatnie zaczął prowadzić je po swoich brwiach, po prostym nosie i zmysłowych wargach.

- Nie będziemy się spieszyć - obiecał. - Nic na siłę.

- Dziękuję.

Wsiedli do samochodu.

- Connal... - Penelopa pierwszy raz zwróciła się do niego po imieniu. Zerknął w jej stronę. - Czy... - Zawahała się. - Czy ty bardzo chcesz mieć dzieci?

Zmarszczył czoło. Zadała mu to pytanie w taki sposób, jakby podejrzewała, że chce z nią być tylko po to, by mu je urodziła. Nie miał pojęcia jakich słów użyć, by wyprowadzić ją z błędu. Kiedyś powiedziała mu, że go nie kocha, ale niewątpliwie pociąga ją jako mężczyzna. Bóg mu świadkiem, że pytając o dzieci, nie chciał jej do siebie zrazić.

- Tak, kiedyś chciałbym je mieć - przyznał. - A ty?

- Ja też - wyszeptała. - Bardzo.

Westchnął. Nie pozostawało mu nic innego, jak mieć nadzieję, że pewnego dnia zapragnie zostać matką jego dzieci i że zrobi to z miłości. Wiedział, że będzie to wymagało od niego ogromnej cierpliwości. Uczucia nie rodzą się z dnia na dzień. Pokiwał głową, po czym skoncentrował się na prowadzeniu samochodu.

Na lotnisku panował tłok. Gdy przedzierali się przez tłum podróżnych, Pepi cały czas trzymała się kurczowo jego ramienia.

- Chyba przyszło tu dziś całe miasto - mruknął, odsuwając się, by przepuścić kolejną falę ludzi. Gdy się przetoczyła na moment zostali sami w korytarzu. Wtedy roześmiał się i przyciągnął ją do siebie. Jego każdemu ruchowi towarzyszył brzęk ostróg.

- Już dawno nie słyszałam tego dźwięku - powiedziała.

- Zapomniałem je rano zdjąć. Dawniej były takie duże, że Meksykanie musieli je zdejmować, żeby móc chodzić. Aż dziw, że ich konie to przeżyły.

- Sam zakładasz ostrogi do ujeżdżania - wspomniała mu.

- Tak, ale one mają inny kształt. Nie kaleczą. Koń myśli, że coś go łaskocze, dlatego rzuca się i wierzga.

Penelopa czuła, że jej ręka wręcz ginie w jego dużej dłoni. W przypadku innego mężczyzny czułaby się skrepowana, ale gdy trzymał ją C. C. , wydało się jej to całkiem naturalne. Zerknęła w dół na jego stopy. Były duże, ale takie być musiały, ponieważ C. C. był postawnym mężczyzną.

- Wcale nie mam wielkich stóp. - Najwyraźniej czytał w jej myślach.

- Czy ja coś mówię?

- Nie musisz. O, są moi braciszku! - zawołał, dostrzegłszy kogoś w tłumie. - Evan! Harden! Tutaj!

Dwaj mężczyźni ruszyli w ich stronę. Obaj byli bardzo podobni do C. C. , lecz w odróżnieniu od niego nie byli w roboczych ubraniach. Ten wyższy miał na sobie perłowoszary garnitur z kamizelką i szary kapelusz. Był potężny jak zapaśnik. Miał ciemne oczy i

włosy tak jak C. C. , za to twarz jeszcze bardziej ogorzałą. Drugi, odrobinę niższy, szedł ku nim w czarnych spodniach, białej koszuli rozpiętej pod szyją i sportowej marynarce. Czarny kapelusz zawadiacko zsunął na jedno oko. On również był brunetem. Gdy podszedł bliżej, Pepi zauważyła, że ma niebieskie oczy. Był dużo szczuplejszy od brata, lecz mimo drobniejszej budowy ciała sprawiał wrażenie bardzo silnego.

C. C. wyszedł im naprzeciw, po czym podprowadził ich do miejsca, gdzie czekała mocno speszona Pepi.

- Chłopaki, oto moja żona Penelopa. - Otoczył ją ramieniem. W jego geście, z pozoru swobodnym i naturalnym, było coś zaborczego.

- Wyglądasz dokładnie tak, jak C. C. nam cię opisywał. - Harden podał jej dłoń. Jego chłodne oczy dokonały błyskawicznej oceny, lecz Pepi nie mogła z nich wyczytać, jak wypadła. - Twój ojciec jest ranczerem?

- Tak. Wychowałam się wśród koni i krów. -



Uśmiechnęła się nerwowo. - Hodujemy herefordy -  
dodała. - Obawiam się, że nasze stado nie zrobi  
większego wrażenia na hodowcach rasowych santa  
gertsów.

- Bez przesady - mruknął Harden. - Nie jesteśmy  
snobami - stwierdził. Wsunął ręce głęboko w kieszenie  
marynarki i patrząc na C. C. , dodał: - Może zresztą  
jesteśmy, ale tylko na punkcie Czerwonego.

- Chodzi o buhaja, od którego zaczęła się nasza  
hodowla - wyjaśnił Evan, podając Pepi dłoń wielkości  
bochna chleba. Uścisnął jej rękę delikatnie, lecz  
stanowczo, i patrząc prosto w oczy, zapytał: - Czy mi  
się wydaje, czy jesteś przestraszona? Nie bój się,  
jesteśmy oswojeni i nie gryziemy.

Roześmiała się po raz pierwszy, odkąd ich poznała.  
Twarz jej pojaśniała. Evan zachował kamienną twarz,  
za to śmiały mu się oczy. Pepi odetchnęła swobodniej.

- Mów za siebie - zastrzegł Harden. - Prędzej pójde  
żywcem do grobu, niż dam się oswoić.

- Harden postanowił być starym kawalerem - wy-

jaśnił Evan.

- I kto to mówi?! - zawołał Harden.

- Nie moja wina, że kobiety nie potrafią docenić mojej wybitnej urody i wdzięku. - Najstarszy z czterech braci wzruszył ramionami. - Poza tym tak lecą na ciebie, że mnie po drodze tratują.

Roześmiała się, słuchając tej słownej potyczki. Z ulgą stwierdziła, że są zupełnie inni, niż myślała.

- Przestańcie - mitygował ich C. C. - Chodźmy, dokończycie sprzeczkę na ranczu.

- Co za pech, że porwałeś Penelopę, zanim miała okazję nas poznać - stwierdził nagle Evan. - Wierz mi - zwrócił się do niej - że jestem o wiele lepszą partią niż C. C. Wciąż mam własne wszystkie zęby.

- To prawda - zgodził się Harden. - Ale tylko dlatego, że Connalowi dwa wybiłeś.

- Za to ja tobie trzy - pochwalił się C. C.

- Stare dzieje. - Evan pokiwał głową. - Od tego czasu bardzo spowaźnieliśmy.

- Nie zauważyłam, żeby C. C. był uosobieniem

powagi - wyznała. - Kiedy w końcu dotarło do niego, że wzięliśmy ślub, tak się wściekł, że bałam się o swoją skórę.

- Dobrze mu tak za to, że się spił - orzekł Evan. - Gdyby nasza matka zobaczyła go w takim stanie, jak nic wygarbowałyby mu skórę.

- Mów dalej. Pepi jest jeszcze za mało wystraszona.  
- C. C. roześmiał się. - Widzę, bracie, że nadal jesteś wojującym abstynentem.

- Nie wiesz, że on w niczym nie zna umiaru? - mruknął Harden. - Założę się, że Justin i Shelby Ballengerowie już nigdy go do siebie nie zaproszą. Na ostatnim przyjęciu zerwał się od stołu i odniósł do kuchni kieliszek, ponieważ kelner z rozpędu nalał mu wina - opowiadał.

C. C. szczerze się roześmiał.

- O ile dobrze pamiętam, Justina nigdy nie ciągnęło do kieliszka. W każdym razie nie tak jak Calhouna.

- Calhoun zachowuje się teraz tak samo jak nasz Evan - zauważył Harden. - Unika alkoholu jak diabeł

święconej wody. Twierdzi, że nie chce dawać dzieciom złego przykładu.

- Alkohol to największa plaga ludzkości - oznajmił Evan, gdy dochodzili do samochodu.

- Mój ojciec będzie tobą zachwycony. - Pepi uśmiechnęła się.

Rzeczywiście tak się stało. Ben Mathews polubił starszego z braci od razu, nie mając jeszcze pojęcia o jego niechęci do alkoholu. Natomiast wobec Hardena wyraźnie utrzymywał dystans. Pepi również nie czuła się swobodnie w towarzystwie błękitnookiego Tremayne'a, który wprawdzie poruszał się i mówił leniwie, lecz wyczuwało się w nim głęboko skrywane mroczne emocje.

Podczas gdy mężczyźni zajęci byli rozmową o interesach, przygotowała dla nich szybki lunch. Wizyta nie trwała długo: dwie godziny później Evan i Harden pożegnali się. Chcieli zdążyć na popołudniowy samolot do Jacobsville. Tym razem Pepi nie towarzyszyła im na lotnisko, bo tuż przed ich wyjściem zadzwonili do niej

przyszli pracodawcy, gestem pokazała więc C. C. , by jechali bez niej.

Niestety okazało się, że recepcjonistka postanowiła wrócić do pracy. Mężczyzna, z którym rozmawiała, bardzo ją przeproszał i obiecał, że na pewno skontaktują się z nią, jak tylko będą mieli jakąś nową ofertę. Ta wiadomość mocno ją rozczarowała, szybko jednak pocieszyła się porzekadłem, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- Dostaniemy od nich wspaniałego buhaja. Jego ojcem jest Checker - oznajmił ojciec. Nie posiadał się ze szczęścia. - Pamiętasz, kiedyś czytaliśmy o nim w biuletynie hodowców. Podobno ostatnio jest najlepszym bykiem rozplodowym.

- Potomstwo Checkera na pewno kosztuje mnóstwo pieniędzy - stwierdziła. - Domyślam się, że to C. C. jest sponsorem tego przedsięwzięcia.

- Oczywiście, przecież jest moim wspólnikiem! - przypomniał jej. - Wszystkim nam zależy, żeby ranczo zaczęło przynosić dochody.

- Jasne. Jak ci się podobają jego bracia?

- Evan bardzo! Od razu widać, że facet ma łeb na karku i potrafi liczyć.

- A Harden?

- Nie wiem - przyznał Ben, wygodnie sadowiąc się w fotelu. - Myślę, że jest to człowiek, który zawsze osiąga swoje cele, ale powiem ci szczerze, że wolałbym nie mieć w nim wroga. Niby jest sympatyczny i uprzejmy, ale czuję, że gdzieś w środku jest w nim coś mrocznego.

- Tak... jakiś wewnętrzny ból i gniew. - Zamyśliła się.

- Otóż to. Mam nadzieję, że w interesach częściej będziemy kontaktowali się Evanem. On jest podobny do C. C.

- On wygląda jak dwóch C. C. razem wziętych. - Roześmiała się. - Ciekawe, jaki jest ich trzeci brat. Ten, który niedawno się ożenił.

- Z tego, co mówili, sędzę, że jest podobny do Evana i C. C. - odparł Ben. - Coś mi się zdaje, że ten

niebieskooki Harden nie przepada za braćmi.

- Te jego błękitne oczy to pewnie spadek po jakimś przodku. Pamiętasz ciocię Mattie? Tę, której rodzice byli brunetami, a ona urodziła się blondynką?

- To się zdarza.

- Z mojej pracy nici - oznajmiła po chwili. - Bardzo im przykro, ale nie jestem potrzebna.

- I dobrze! - ucieszył się Ben. - Jeśli chcesz, możesz prowadzić administrację rancza. Connal mówi, że absolutnie nie wolno nam mieć takiego bałaganu w rachunkach jak teraz i że będziemy mieli sporo korespondencji. Myślałem, żeby kogoś zatrudnić, ale przecież ty możesz poprowadzić nasze biuro. Najlepiej, żeby wszystko zostało w rodzinie.

- Chyba bym umiała - powiedziała ostrożnie. - Lubię rachunki i komputer.

- Porozmawiaj o tym z Connalem, jak wróci.

Posprzątała po lunchu i upiekła szarlotkę. Właśnie wyjmowała ją z piekarnika, gdy do kuchni wszedł C. C.

- Wystartowali bez problemów? - zapytała.

- Punktualnie co do minuty. - Podeszedł do szafki, na której postawiła gorące ciasto. - To na kolację? - domyślił się, zerkając łakomie na szarlotkę.

- Owszem. Twoi bracia bardzo mi się spodobali - powiedziała nieśmiało.

- Ty im też. Zwłaszcza Evanowi.

- Może dlatego, że łatwiej z nim się dogadać. Harden... - zawahała się - jest jakiś... inny.

- Nawet bardziej niż myślisz - powiedział cicho. Przysunął się do niej i chwycił pasmo jej włosów, owinał je sobie wokół palca. - Pójdziemy dziś do kina i na kolację?

- Muszę przygotować kolację tacie.

- Możemy wziąć go ze sobą. - Uśmiechnął się.

- Na randkę?! - Uniosła brwi. - Jak go znam, byłby zachwycony. Na szczęście gra dzisiaj w warcaby z panem Dillem. Zostawię mu coś w piekarniku. Chyba się nie obrazi.

- Jeszcze się zastanów. - Westchnął. - Pepi, co ty na to, żebyśmy zamieszkali razem? - zapytał, marszcząc



czoło.

- Ale ojciec...

- Poradzi sobie. Consuela może prowadzić mu dom. Będziemy jej za to płacić. Pomyślałem, że moglibyśmy wprowadzić się do domu, który twój ojciec wynajmował Dobbsom. Jest niewielki, ale dla nas dwojga w sam raz.

Poczuła się zagubiona. Nie spodziewała się, że sprawy nabiorą takiego tempa.

- Mielibyśmy być razem w dzień i w nocy? -  
upewniła się.

- Zwłaszcza w nocy - potwierdził. - Miejsce żony jest przy mężu.

- Ale ty nie chciałeś mieć żony. Mówiłeś to...

- ...setki razy. Wiem, mój błąd - kajał się. - Postaraj się zrozumieć, że zmieniłem zdanie. Że przestałem traktować małżeństwo jak dopust boży.

- Spróbuję. Trudno mi jednak zapomnieć, że wzięliśmy ślub wbrew twojej woli.

- To prawda - zgodził się. - Ale wtedy nie chciałem

się żenić ani z tobą, ani z żadną inną kobietą. Chyba o tym wiedziałaś.

- Byłeś w tej kwestii bardzo szczery - wypomniała mu. - Szkoda, że nasze małżeństwo zostało zawarte w tak nietypowych okolicznościach. Boję się, że nigdy nie pozbędę się przeświadczenia, że zostałeś wmanewrowany w związek, którego wcale nie chciałeś.

- Ty też - odparł. - Ale wspólnymi siłami możemy to zmienić. Unieważnienie byłoby hańbą dla wszystkich, zwłaszcza dla twojego ojca. Teraz, gdy jesteśmy współnikami, małżeństwo z prawdziwego zdarzenia jest najlepszym sposobem przypieczętowania tej współpracy.

- Jesteś pewny, że tego chcesz? - zapytała z niepokojem.

- Oczywiście!

Podejrzewała, że C. C. mówi tak, żeby poczuła się mniej skrepowana. Unieważnienie małżeństwa na pewno godziłoby w jego męską dumę. Ludzie mogliby sobie pomyśleć, że nie sprawdził się jako mężczyzna. Z

drugiej strony, może rzeczywiście chce wykorzystać ją do odstraszenia ewentualnych kandydatek do jego ręki?

- Czy możesz dać mi trochę czasu do namysłu? - poprosiła.

Przyjrzał jej się uważnie. Do tej pory był przekonany, że jego akcja podczas rozładunku jałówek działała cuda i jeszcze chwila, a Pepi mu ulegnie. Tymczasem okazało się, że wciąż nie zaskarbił sobie jej zaufania. Być może za dużo o tym myślała i w rezultacie obleciał ją strach. Nie wolno mu jej ponaglać.

- Zgoda - powiedział po chwili. - Chcesz więcej czasu, będziesz go mieć. Co nie zmienia faktu, że musimy częściej być razem. Nawet jeśli nie zamieszkamy ze sobą, przy ludziach będziemy zachowywali się jak przykładne małżeństwo.

- Nie mam nic przeciwko temu. - Zaraz jednak pomyślała o Edie. Czy Connal poinformował ją, że się ożenił? Oraz czy ich znajomość rzeczywiście była tak niewinna, jak twierdził?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Connal zabrał ją do tej samej eleganckiej restauracji, w której była w Brandonem w dniu urodzin ojca. Tym razem włożyła prostą szarą dżersejową sukienkę, a na ramiona zarzuciła kolorowy szal. Włosy zostawiła rozpuszczone. Connal twierdził, że wygląda prześlicznie. Nawet jeśli kłamał, Penelopa i tak była szczęśliwą że idzie z nim na prawdziwą randkę i że on, prowadząc ją do stolika spogląda na nią z nieskrywaną dumą.

C. C. prezentował się bardzo elegancko w ciemnym garniturze i białej jedwabnej koszuli, która podkreślała jego śniadą karnację. Wpatrywała się w niego jak w obraz. Gdyby ktoś ją zapytał, bez wahania powiedziałaby, że na świecie nie ma przystojniejszego mężczyzny.

Odsunął dla niej krzesło, po czym zajął miejsce na wprost. Uśmiechała się do niego do chwili, gdy kątem oka zarejestrowała jakiś ruch przy sąsiednim stoliku.

Edie. Siedziała sama i nie spuszczała oczu z Conrada.

- Pójdę z nią porozmawiać. - Ściągnął brwi. - Zaraz wracam.

Uśmiechnął się do Edie i ruszył w jej stronę, ona zaś natychmiast się rozpromieniła. Jak zawsze piękna i efektowną miała na sobie czarną sukienkę z dekoltem niemal do pępka. Pepi wołała nie myśleć, jak wypada w porównaniu z tą blond pięknnością.

Nie mogła oderwać od nich oczu. Idealnie do siebie pasowali! Poczowała się winną że C. C. wpakował się w niechciane małżeństwo. Wprawdzie twierdził, że zrobi wszystko, by dać ich związkowi szansę, jednak prawda była taka, że Edie byłaby dla niego lepszą towarzyszką życia. A ona, cóż... Jest zwyczajną dziewczyną z prowincji, bez żadnej ogłady. Nawet nie potrafi ubrać się odpowiednio do sytuacji. Niewątpliwie wkrótce okaże się, że dla mężczyzny z wyższych sfer jest jednym wielkim rozczarowaniem.

Nagle spostrzegła, że Edie zmienia się na twarzy. Najpierw znikł jej promienny uśmiech, potem w oczach

pojawiła się z trudem skrywana złość. Przez chwilę wpatrywała się w Pepi z taką miną jakby ujrzała ducha. Potem odwróciła się do Connala i powiedziała do niego parę słów. Kiedy usłyszała jego odpowiedź, straciła panowanie nad sobą. Ramiona zaczęły jej drżeć i po chwili rozplakała się jak dziecko.

C. C. pomógł jej wstać, objął ją i wyprowadził z sali.

Pepi domyśliła się, że dopiero teraz przyznał się, że jest żonaty. Ciekawe, czy powiedział, że nie planował tego małżeństwa? I czy odwiezie Edie do domu, czy tylko każe przywołać dla niej taksówkę?

Po dziesięciu minutach zaczęła się denerwować. Więc jednak pojechał z nią do domu. Będzie ją pocieszał. Może posunie się jeszcze dalej? Nawet jeśli to prawda, że nigdy nie byli kochankami, ich znajomość była bardzo bliska. A może ją okłamał, mówiąc, że nie sypiał z Edie?

Gdy kolejny raz podszedł do niej kelner, zamówiła zupę dnia i sałatkę szefa kuchni. To było wszystko, na

co miała ochotę.

C. C. wrócił, gdy kończyła jeść. Z nieodgadnionego wyrazu jego twarzy nie dało się wiele wyczytać.

- Jak ona się czuje? - spytała cicho, gdy usiadł.

- Średnio, ale jej przejdzie. Powinienem był powiedzieć jej o wszystkim w innym czasie i miejscu, ale Bóg mi świadkiem, że nie spodziewałem się takiej reakcji.

- Spotykaliście się od bardzo dawna - zauważyła, spuszczać wzrok. - Nic dziwnego, że miała wobec ciebie pewne plany.

Nienawidził scen. Od razu przypominała mu się Marsha, która po wypiciu kilku koktajli robiła wszystko, by go skompromitować. Co prawda nigdy jej się to nie udało, ale jej wybryki doprowadzały go do szału.

- Kobiety zawsze czegoś oczekują - mruknął. - Tylko nie każda ma szczęście dorwać pijanego faceta i zaciągnąć go do ołtarza.

Zamknęła oczy. Nie powinna pozwalać, żeby się odgrywał na niej w taki sposób. Właśnie dał dowód, że

mimo dobrych chęci i fizycznego pociągu, do końca życia będzie miał do niej żal, że podpisując akt ślubu, nie wiedział, co robi.

- Nie nazwałabym tego szczęśliwym wydarzeniem - odparła, nie patrząc mu w oczy.

- Dziękuję. I nawzajem - rzucił szorstko. Zamówił sałatkę i stek, a potem pił kawę. Spoglądał na Pepi sponad filiżanki. Zdawał sobie sprawę, że to nie jej wina. Wściekł się na Edie za scenę, jaką mu zrobiła. Rozzłościło go też to, że Pepi tak potulnie znosi jego zły humor. Szukał awantury, ale ona nie podejmowała wyzwania. Jeśli już na początku da się zdominować, małżeństwo będzie dla niej koszmarem.

- Nic mi nie powiesz? - zapytał zaczepnie.

Zacisnęła palce na szklance z wodą.

- Co chciałbyś usłyszeć? - Spojrzała na niego z niechęcią, podnosząc szklankę do warg. - A może zamiast słów wolisz coś bardziej konkretnego?

Oczy mu załśniły.

- No dalej! Rzucaj!



Rozejrzała się po pięknie udekorowanej sali i postanowiła tego nie robić. Znając swoje szczęście, trafiłaby w jakiś bezcenny antyk i do końca życia musiałaby go spłacać. Spokojnie odstawiła szklanę.

- Nie moja wina, że się wtedy spiłeś. To ty groziłeś, że wystrzelasz całe Juarez - powiedziała lodowatym tonem.

- Wiedziałaś, że nie mam przy sobie broni.

- Nie wiedziałam! Ojciec mówił mi, że nosisz przy sobie berettę i masz na nią pozwolenie. Skąd mogłam wiedzieć, że akurat wtedy jej nie wzięłeś? Miałam cię przeszukać?!

- Broń Boże - powiedział, udając przerażenie. - Musiałabyś dotknąć faceta!

- Przestań! - Zaczerwieniła się.

- Przyznaj się, jesteś całkiem zielona - nacierał. - Nie umiesz się całować, nie masz pojęcia, co robić z facetem w łóżku. A gdybyś tak miała włożyć mu rękę w spodnie...

- Zamknij się! - Rozejrzała się nerwowo. - Chcesz,

żeby ktoś cię usłyszał?

- Niech sobie słyszy. Jesteśmy małżeństwem. -  
Zmrużył oczy. - Dopóki śmierć nas nie rozłączy - dodał  
drwiąco.

- To akurat da się załatwić. - Uśmiechnęła się  
słodko. - Mogę ci do łóżka załatwić paru  
grzechoczących kompanów.

- Przerobiłem to pierwszej nocy na waszym ranczu.  
Jeden z robotników zgotował mi takie powitanie -  
mówił, rozbawiony jej zszokowaną miną.

- Włożył ci do łóżka żywego grzechotnika?

- Owszem. Na szczęście wcześniej wyrwał mu zęby  
jadowe, ale i tak dostarczył mi niezapomnianych  
przeżyć.

- Co zrobiłeś?

- Nie słyszałaś wystrzału?

- Zastrześliś go?

- Dostał prosto w łeb. Kula przeszła przez materac,  
pryczę i podłogę baraku.

- Biedny wąż. - Zasmuciła się.

- Czy to przypadkiem nie ty w lecie wskoczyłaś na maskę ciężarówki, bo wąż wypełził z trawy tuż obok twojego buta?

- Nie twierdzę, że lubię grzechotniki - sprostowała - ale uważam, że nie powinno się ich zabijać bez powodu. Co ten bezzębny biedak mógł ci zrobić?

- Skąd miałem wiedzieć, że nie ma zębów?

- To prawda.

Kelner podał zamówione danie, więc rozmowa urwała się w naturalny sposób. C. C. jadł w milczeniu, cały czas jednak obserwował Pepi. Zauważył, że często spogląda przez okno na widoczne w oddali górskie szczyty. Była smutna. C. C. poczuł wyrzuty sumienia, że potraktował ją tak bezpardonowo.

- Czy Edie była bardzo zła? - zapytała, żeby przerwać milczenie.

C. C. wypił łyk kawy.

- Zła to za mało powiedziane. Kiedy usłyszała jak to się stało, miała bardzo dużo do powiedzenia.

- I pewnie poradziła ci, jak najszybciej uzyskać

unieważnienie? - zapytała ze smutkiem.

- Powiedziałem jej, że to nie wchodzi w grę.

- Dlaczego? Przecież my... - urwała przestraszona. -  
Chyba nie powiedziałeś jej, że my...?

- Dlaczego? - Wzruszył ramionami. - Dla mnie słowa przysięgi małżeńskiej są święte, bez względu na okoliczności, w jakich zostały wypowiedziane. Co oznaczają że dopóki jesteś mają żonę, nie będę miał żadnych innych kobiet. A jeśli chodzi o to, czegośmy dotąd nie zrobili, to prędzej czy później znajdziesz się w moim łóżku. Chcesz tego tak samo jak ja. Kto wie, czy nie bardziej. Pamiętam, co się ze mną działo, zanim przeżyłem swój pierwszy raz. Pragnąłem Marshy tak bardzo, że nie mogłem w nocy spać.

Pepi też nie mogła ale wołała, żeby o tym nie wiedział.

- A ona? - zapytała wpatrując się w obrus. -  
Kochała cię?

- Tak, za moje pieniądze. To samo widziały we mnie inne kobiety, które próbowały zająć jej miejsce.

Edie jest jedną z nich - odparł cynicznie, czym bardzo ją zszokował. Mówił jak człowiek, który przejrzał kobiety na wylot i ma o nich mało pochlebne zdanie.

- Edie znała twoją przeszłość?

- Owszem, okazało się, że mamy wspólnych znajomych. Widzisz więc sama, że w jej przypadku nie była to miłość aż po grób. Odpowiadało jej moje towarzystwo i kolacje w dobrych lokalach. Na pewno znajdzie się ktoś, kto pomoże jej otrzeć łzy. W tych stronach nie brakuje bogatych kawalerów do wzięcia.

- Ty naprawdę jesteś taki cyniczny?

- Niestety - przyznał. - Nawet Marsha wyszła za mnie z uwagi na to, co mam, a nie na to, kim jestem. Kiedyś wyznała mi, że nie mogłaby być z mężczyzną, który żyje z gołej pensji. Była piękna, zakochałem się w niej. A potem, jeszcze na długo przed wypadkiem, żałowałem, że się z nią ożeniłem.

Czy ją spotka to samo? Czy kiedyś C. C. zacznie żałować swojej decyzji? Niewykluczone, że tak, skoro już teraz nie jest zachwycony okolicznościami, w jakich

zostali małżeństwem.

- Po wypadku pewnie bardzo ci jej brakowało.

- Brakowało. Ale dużo bardziej niż jej śmierć przeżyłem śmierć naszego dziecka. Gdybym wiedział, że jest w ciąży, nigdy w życiu nie pozwoliłbym jej z nami popłynąć. W naszej grupie były wtedy jeszcze dwie kobiety. Marsha ubzduriała sobie, że na pewno będę z nimi romansował.

Penelopa przyjrzała mu się uważnie.

- Nie zdawała sobie sprawy, że jesteś człowiekiem, który poważnie traktuje przysięgę małżeńską?

Spojrzał jej twardo w oczy.

- Skoro za takiego mnie uważasz, to dlaczego patrzyłaś na mnie z takim wyrzutem, gdy wróciłem po odwiezieniu Edie?

Zarumieniła się.

- Jest zasadnicza różnica między przysięgą złożoną dobrowolnie i świadomie, a składaną pod wpływem *tequili* - odparła z powagą. - Nie ożeniłeś się ze mną z wyboru. - By zyskać na czasie, zaczęła bawić się

misternie haftowaną serwetką. - C. C. , to się nie uda -  
oznajmiła ze smutkiem.

- Właśnie że się uda! - powiedział z przekonaniem.  
- Jeszcze nie zdążyłem przywyknąć do nowej sytuacji.  
Do niedawna byłaś dla mnie nastoletnią chłopczycą,  
córką szefa.

Pewnie nadal tak się zachowuję, pomyślała. Nie  
potrafiła udawać kobiety doświadczonej, bo taką po  
prostu nie była.

- Zapomniałeś dodać, że byłam twoją niańką. -  
Uśmiechnęła się. - Wtedy, w Juarez, powiedziałeś, że  
skoro ciągle się tobą opiekuję, mogę równie dobrze  
robić to jako twoja żona.

- Zawsze mi pomagałaś - zniżył głos. - Nie  
myślałem o tobie jak o kobiecie, która mogłaby mnie  
pociągać fizycznie. Odkryłem to wtedy, w kuchni, kiedy  
twój ojciec nam przeszkodził - wyznał.

Uciekła spojrzeniem w bok. Ona też pamiętała ten  
poranek. C. C. nawet jej wtedy nie pocałował, ale dla  
niej to krótkie intymne zbliżenie było jak najpiękniejsza

pieszczota.

- Gdyby to rozwijało się w sposób naturalny, na pewno nie zareagowałbym tak gwałtownie na wiadomość o ślubie.

- Dobrze wiesz, że wtedy nic by się między nami nie wydarzyło - odparła matowym głosem. - Nigdy byś się mną nie zainteresował. Myślę, że gdyby nie ten niefortunny wypad do Juarez, prędzej czy później ożeniłbyś się z Edie.

- Zapomniałaś już, co ci o niej mówiłem - zirytował się.

- Ona cię kocha - szepnęła. - Możesz mówić, co chcesz, ale nie jestem ślepa i widzę, że jej naprawdę na tobie zależy. Żadna kobieta nie jest tylko i wyłącznie materialistką, a gruby portfel nie jest twoim jedynym atutem.

Zaciekawiony uniósł brwi.

- Tak uważasz? Wymień te moje inne atuty.

- Jesteś dobry - oznajmiła, ignorując ironię w jego głosie. - I odważny. Nie szukasz awantur, ale gdy ktoś



cię zaczepi, nie schodzisz mu z drogi. Jesteś sprawiedliwy i masz otwarty umysł. I dobre serce.

Przyglądał jej się dłuższy czas, głęboko poruszony jej słowami.

- Myślałem, że chcesz anulować nasze małżeństwo, bo jestem ci całkiem obojętny.

- Przypominam ci po raz nie wiem który, że to ty pierwszy zażądałeś unieważnienia. Do dziś nie rozumiem, dlaczego nagle zmieniłeś zdanie.

- To zasługa Evana - wyznał po chwili. - Uświadomił mi, że boję się zaangażować w stały związek. - Zrobił pauzę, by zapalić papierosa. Przez moment bawił się zapalniczką. - Chyba miał rację. Myślę, że podświadomie obawiałem się, że spotkam następną Marszę. Zaborczą i zazdrosną. Kobieta, która będzie chciała śledzić mój każdy krok. Poza tym przerażało mnie, że tragedia mogłaby się powtórzyć. Dopiero Evan przekonał mnie, że powinienem z tobą zostać, pod warunkiem że masz dość odwagi, by zaakceptować mnie takim, jaki jestem. - Zniżył głos. - Kiedy

opowiedziałem mu o tobie, stwierdził, że jesteś kobietą, jakiej potrzebuję. Chyba miał rację. Można o tobie powiedzieć wszystko, z wyjątkiem tego, że jesteś zaborcza.

Miała ochotę roześmiać mu się w twarz. Oczywiście, że była zaborcza. Kochała go. Lecz było dla niej jasne, że on nie potrzebuje kobiety, która będzie okazywała mu swoje przywiązanie. C. C. szukał niezobowiązującego układu, który pozwoli mu zachować całkowitą uczuciową niezależność. Nie mogła zgodzić się na takie warunki.

- Obawiam się, że ta sytuacja mnie przerasta - powiedziała ostrożnie. - Poza tym nie wierzę, że kiedykolwiek pogodzisz się faktem, że nasze małżeństwo jest dziełem przypadku. Wypomniałeś mi to po raz kolejny nie dalej niż pięć minut temu.

- A ty mi nie wypominasz tego, co powiedziałem przed wyjazdem do Jacobsville? - odparował.

- Wypominam - przyznała uczciwie. - Bardzo się różnimy, C. C. I to pod wieloma względami. Wątpię,

żebym kiedykolwiek poczuła się dobrze w środowisku ludzi zamożnych i przywykła do ich stylu życia. Przykro mi, ale nie jestem kobietą z wyższych sfer.

W okamgnieniu zmienił się na twarzy.

- Chcesz powiedzieć, że nie możesz mnie przyjąć takim, jaki jestem?

- Chcę powiedzieć, że na pewno mogłabym żyć z brygadzystą mojego ojca, czyli człowiekiem, który zarabia na siebie pracą własnych rąk - odparła. - Nie jestem stworzona do życia w wielkim świecie. Lubię sprzątać, gotować, dbać o dom, o dzieci. Natomiast nie widzę siebie na balach i przyjęciach wydawanych przez twoich bogatych krewnych i przyjaciół. Nawet gdybyś próbował mnie zmienić, wiem, że pozostanę zwykłą wiejską dziewczyną.

Urażony, uniósł brodę i spojrzał jej w oczy.

- Czy wyglądam na takiego lwa salonowego?

- Skąd mam wiedzieć, przecież prawie cię nie znam. Ukrywasz się przed światem od trzech lat. To, co teraz robisz, na pewno w niczym nie przypomina

twojego dawnego życia. Nie mam pojęcia, jak ono wyglądało.

- Chcesz się dowiedzieć? - podchwycił. - Możemy pojechać na kilka dni do Jacobsville. Poznasz moją rodzinę.

Nie odpowiedziała od razu. Wprawdzie Harden niezbyt przypadł jej do gustu, ale Evan był bardzo sympatyczny.

- Jaka jest twoja matka? - zapytała.

Uśmiechnął się ciepło.

- Bardzo podobna do Evana. Ironiczna, zaradna, bezpośrednia. Spodobasz się jej.

- Nie spodobałam się Hardenowi.

- Harden nie lubi kobiet - wyjaśnił łagodnym tonem. - Choć wygląda jak anioł i potrafi być czarujący, jest zaprzysięgłym wrogiem płci pięknej.

- To znaczy, że to nie chodziło o mnie. - Odetchnęła z ulgą.

- Na pewno. Najbardziej nienawidzi naszej matki - dodał. - To dlatego nie mieszka w naszym rodzinnym

domu, tylko wynajmuje mieszkanie w Huston, gdzie mamy biura. Matka nie dałaby sobie rady z tak wielkim domem, więc pomaga jej Evan.

Chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej o jego najbliższych, wołała jednak nie pytać, rozumiejąc, że to nie pora na poznawanie rodzinnych sekretów.

- W Jacobsville będziemy spać w jednym pokoju, prawda? - zapytała z obawą.

Spojrzał jej w oczy.

- Tak.

- Aha... - Bawiła się widelcem. Czowała, jak na myśl o spaniu w tym samym pokoju, co C. C. , od stóp do głów przenikają przyjemne ciepło.

- Wycofujesz się? - Prowokował ją.

Spojrzała mu w oczy i zawahała się. Niepewność trwała ledwie sekundę. Postanowiła się poddać. Kocha go. Skoro on chce dać szansę ich małżeństwu, pora zrobić ten pierwszy krok. C. C. zdecydowanie nie chce unieważnienia. Ona również.

- Nie - powiedziała cicho, ale stanowczo. - Nie

wycofuję się.

Zamurowało go.

- Odważna decyzja - powiedział nieswoim głosem.
- Domyślasz się, że nie skończy się na spaniu pod jedną kołdrą?

Przygryzła wargę.

- To podobno nieuniknione. - Westchnęła. - Bez tego nie ma małżeństwa.

Przytaknął.

- Nie interesuje mnie białe małżeństwo - zaznaczył i dodał z naciskiem: - Chcę mieć dzieci.

Spojrzała na swoje dłonie grzecznie oparte o brzeg stolika.

- Wiem... - szepnęła - ale trochę się tego boję. Dziewczyny w moim wieku mają już spore doświadczenie.

- Nawet się nie domyślasz, jak wiele dla mnie znaczy to, że moja żona jest dziewicą. - Mówił do niej łagodnym tonem. - Pepi, twoja niewinność mnie podnieca. Nie mogę się doczekać naszej pierwszej

wspólnej nocy.

Czuła to samo, wołała jednak do tego się nie przyznawać.

- Na kiedy zaplanowałeś wizytę u twojej matki? - zapytała unikając jego wzroku.

- Na jutro. Matka zażyczyła sobie cię poznać. A ja chcę jej pokazać, że drugi raz nie popełnię takiego samego błędu.

- Nie miałeś na nic wpływu. C. C. , nawet nie wiesz, jak mi głupio, że przeze mnie wpakowaliśmy się w tę kabałę - jęknęła. - Wtedy, w Juarez, straciłam głowę. Edie albo inna kobieta taka jak ona na pewno wiedziałyby, co zrobić.

- Edie albo inna podobna do niej spryciara, widząc, w jakim jestem stanie, zdążyłaby jeszcze spisać intercyzę albo warunki rozvodu. Zaręczam, że żadna z nich nie miałaby z tego powodu wyrzutów sumienia.

- Czy jesteś absolutnie pewien, że nie chcesz przeprowadzić unieważnienia? - zapytała nieśmiało. - Potem mógłbyś wybierać...

- Ciągłe ten ryży konował, tak? - Zdenerwował się nie na żarty. - Mów prawdę! - Pochylił się w jej stronę.

- O co ci chodzi? - Przestraszył ją tak niespodziewanym atakiem.

- Wiesz aż za dobrze. - Jego oczy ciskały błyskawice. - Brandon kocha się w tobie. Ty też go kochasz? Czy to z jego powodu upierasz się przy unieważnieniu małżeństwa? Chcesz się ode mnie uwolnić i jak najszybciej wyjść za niego za mąż?

- Brandon mi się oświadczył... - zaczęła, ale C. C. nie dał jej dokończyć. - ...lecz ty wolałaś odgrywać siostrę miłosierdzia i pojechałaś za mną do Juarez?! Nie wyobrażaj sobie, że tak łatwo się ode mnie uwolnisz. Jesteśmy małżeństwem. I będziemy małżeństwem. Powiedz temu cholernemu weterynarzowi, żeby przestał się koło ciebie kręcić!

Zmierzyła go surowym wzrokiem.

- Nie mów tak! - oburzyła się. - Ja również traktuję poważnie małżeńską przysięgę, mimo że złożyłam ją w nietypowych okolicznościach.



- Udowodnij to.

- Jak mam to udowodnić?

- Wiesz, gdzie mnie szukać - odparł z ironicznym uśmiechem.

Rozgniewana, odwróciła wzrok. Już raz proponował jej, żeby do niego przyszła. Poprosiła żeby dał jej czas, a on obiecał, że to zrobi. Tymczasem teraz znowu naciska. Na dodatek jego natarczywość sprawiła że zaczęła traktować jego propozycję jak coś niemoralnego, tym bardziej że nadal nie uważała się za jego żonę.

- Nadal się boisz? - szydził. - Nie obawiaj się o swój honor. Ale jutro w Jacobsville pójdiesz ze mną do łóżka. Obiecałaś.

- Pamiętam - odparła z przymusem. Starannie złożyła serwetkę i wsunęła ją pod nakrycie. - Chodźmy już, dobrze?

Wstał i odsunął jej krzesło.

- Będziesz się stawiać na każdym kroku, tak? - Spojrzał na nią z wyrazem zakłopotania w oczach. - Nigdy nie wybaczysz mi tego, jak zareagowałem na

wiadomość o małżeństwie.

- Nie zaskoczyłeś mnie wtedy - odparła z godnością. - Zawsze wiedziałam, że nie jestem w twoim typie. Ostrzegałeś mnie. Pamiętasz? Siedziałeś skacowany w baraku, a ja przyszedłam zrobić ci kawę. Powiedziałeś wtedy, że nie masz niczego, co mógłbyś mi dać, i radziłeś, żebym się w tobie nie zakochała. Nie chciałeś, żebym miała złamane serce. Nie martw się, C. C. , nie grozi mi to. - Była to prawda, ponieważ już wcześniej złamała je jego obojętność.

Westchnął ciężko. Pojął, że zatrzasnął przed sobą wszystkie drzwi i, co gorsze, nie miał kluczą by je otworzyć. Wiedział jedno: jeśli straci Pepi, jego życie przestanie mieć sens.

Zapłacił rachunek i poszli do samochodu. Po drodze nie zamienili słowa. C. C. jechał szosą wzdłuż Rio Grandę. Po pewnym czasie skręcił w boczną drogę, która prowadziła to rancza. Dookoła jak okiem sięgnąć ciągnęła się opustoszała o tej porze wiejska okolica.

Penelopa milczała, mimo iż przeszkadzało jej to

niezdrowe napięcie. Domyślała się, że pod chłodną pozą C. C. , który spokojnie palił papierosa, drzemie niebezpieczny wulkan. Wyczuwała, że z wściekłości dosłownie gotuje się w środku. Podejrzewała nawet, że jest zły, bo przeżywa rozstanie z Edie. Nie potraktowała poważniej jego uwag na temat Brandona. C. C. znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie była zakochana w weterynarzu. Zresztą, gdyby rzeczywiście był zazdrosny, znaczyłoby to, że naprawdę mu na niej zależy. A tak nie było. Sam jej to powiedział.

Z cichym westchnieniem oparła się o miękki zagłówek. Marzyła, by ten niemiły wieczór jak najszybciej dobiegł końca. Chciała być w już domu.

C. C. niespodziewanie zjechał do niewielkiego zagajnika i bez słowa wyjaśnienia wyłączył silnik. Zaskoczona, rzuciła mu pytające spojrzenie. W bladym świetle księżycy jego oczy lśniły niebezpiecznym blaskiem.

- Boisz się?

- Nie... - szepnęła.

Odpiął najpierw jeden pas, potem drugi i wprawnym ruchem posadził ją sobie na kolanach. Przygarnął jej głowę do swojego ramienia.

- Kłamczucha - powiedział półgłosem, wpatrując się w jej twarz. - Umierasz ze strachu. Przysięgam, że nie ma się czego bać - uspokajał ją. - Miłość fizyczna to wspaniałe przeżycie, które polega na dawaniu drugiej osobie wszystkiego, co w nas najlepsze. To bardzo intymny dowód wzajemnego szacunku i pragnienia.

Jeszcze nigdy nie mówił do niej tak łagodnie. Kojący ton jego głosu skutecznie tłumił jej obawy. Po chwili zebrała się na odwagę i z ręką na jego ramieniu spojrzała mu w oczy. Tak długo marzyła o tym, żeby wziął ją w ramiona, dokładnie tak, jak teraz. Żeby jej pragnął i chciał być tylko z nią. Od tego czasu wydarzyło się między nimi tak wiele dziwnych rzeczy, że wszystko, co działo się w tej chwili, wydawało jej się całkiem nierealne.

- Naprawdę mnie pragniesz? - zapytała nienaturalnie cienkim głosem.

- Ty głuptasie - mruknął, a potem uniósł ją tak, by brzuchem dotykała jego bioder. Poruszył nimi, by poczuła, co się z nim dzieje. Wstrzymała oddech. Sekundę później spróbowała mu się wyrwać. - Teraz już mi wierzysz? - zapytał cicho, nie zwalniając uścisku. - Chcesz się dowiedzieć, ile lat minęło, odkąd kobieta była w stanie podniecić mnie tak szybko?

Zacisnęła palce na rękawach jego marynarki, ale już się nie odsuwała. Zdradziło ją jej własne ciało, odpowiadając natychmiast na jego zaproszenie. Kazało jej jeszcze mocniej przyłgnąć do niego.

- Pepi... - jęknął.

Zadrzał. Patrząc mu prosto w oczy, wolno poruszyła biodrami, dokładnie tak samo, jak przed chwilą robił to C. C. Zorientowała się, że sprawia mu tym przyjemność.

- Lubisz tak?

- Bardzo! Rób tak. Jeszcze mocniej - szepnął z wargami tuż przy jej wargach.

Posłusznie rozchyliła usta przed jego niecierpliwym

językiem. Kiedy poczuła jego dłoń na swoich udach, instynktownie wyprostowała się i rozchyliła nogi, tak by mógł pieścić najintymniejsze zakątki jej ciała. Drżała coraz mocniej. Nie miała siły protestować. Upajała się jego pieszczotami i tym, co się z nią dzieje.

Cofnął rękę i zaczął rozsuwać zamek jej sukienki.

- Nie bój się - mówił cicho, sięgając do haftek biustonosza. - Chcę oglądać twoje piersi. Chcę ich dotknąć.

Spojrzała mu ufnie w oczy i pozwoliła, by zsunął z jej ramion sukienkę i biustonosz.

Długo napawał się jej pięknem, wpatrując się w nią rozpalonym wzrokiem. Nie ruszał się, nie mówił ani słowa. Po chwili udzieliło jej się jego napięcie. Jej ciało samo zaczęło zachęcać go, by nie poprzestawał na samych spojrzeniach.

- To za mało, prawda, maleńka? - domyślił się i pochylił nad nią. - Pachniesz gardeniami - szepnął, dotykając wargami jej piersi. Za każdym razem, gdy delikatnie muskał jej gładkie ciało, przechodził ją silny

dreszcz. Zachęcony taką reakcją, kreślił językiem coraz mniejsze kółka. Przestraszona tym, co się z nią dzieje, mocno zacisnęła palce na jego ramionach i niecierpliwie czekała na kolejny dreszcz.

- C. C. .. - jęknęła kiedy przyjemność stała się trudna do zniesienia - Proszę... już nie mogę! To aż boli...

Całował jej skórę, aż zaczęła go błagać, żeby nie przestawał.

- Skarbie... - Z jego ust wyrwał się zduszony szept. C. C. zaczął delikatnie ssać jej nabrzmiałą pierś. Nowa pieśczoła wprawiła ją w taką ekstazę, że aż krzyknęła. Półprzytomna i drżąca z rozkoszy, wczepiła palce w jego włosy. - O Boże... - westchnął, zszokowany jej głodem miłości.

Skoro Pepi traci głowę, ledwie on jej dotknie, to co będzie, gdy zaczną się kochać naprawdę? Wyobrażenia podsuwała mu sugestywne wizje jej długich zgrabnych nóg oplecionych ciasno wokół jego bioder.

- Connal - szepnęła rwącym się głosem, obsypując

pocałunkami jego czoło i przymknięte powieki. -  
Proszę, zróbmy to teraz...

- Nie mogę - wykrztusił, z trudem łapiąc oddech. -  
Nie tutaj.

- Nikt nas tu nie zobaczy...

- Wolę nie ryzykować - westchnął ciężko, przy-  
garniając ją do siebie. - W każdej chwili ktoś może  
nadjechać, na przykład policyjny patrol - mówił,  
pieszcząc wargami jej ucho. - Nie chcę, żeby inni faceci  
zobaczyli cię naga. Jesteś tylko moja. Poza tym nie  
chcę, żeby nasz pierwszy raz odbył się na przednim  
siedzeniu samochodu.

Przytuliła się do niego mocniej.

- Powiedz, czy kiedy będziemy kochali się do  
końca będę czuła to samo, co teraz?

- Tak, ale sto razy mocniej. - Gładził jej plecy. -  
Czy weterynarz widział cię naga?

- Nie. Tylko ty.

Spoglądał na jej piersi, ciesząc oczy ich urodą.

- Jeszcze trochę tej zabawy i wezmę cię tak jak



teraz, na siedząco - mruknął. - Wracajmy do domu.

Poczuła, jak oblewają fala gorąca.

- Można to robić w samochodzie? Na siedząco? - zainteresowała się, pokonując zażenowanie.

- Oczywiście. - Widać było, że pomysł przypadł mu go gustu. - Ale nie tutaj. Jesteśmy legalnym małżeństwem, więc nie musimy kochać się jak małolaty. Czekał, pomożę ci się ubrać - powiedział i choć z trudem zachowywał kontrolę nad własnym ciałem, pomógł jej włożyć biustonosz i zasunąć zamek w sukience. Po tym, co się przed chwilą stało, nabrał otuchy. Jeśli odpowiada jej jako mężczyzną ich małżeństwo ma szansę przetrwać.

- Wcale nie chciałam, żebyśmy przestali - poskarżyła się.

- Ja też, ale nic nam się nie stanie, jeśli poczekamy jeszcze trochę - powiedział stanowczo. - Warto, żebyśmy trochę się poznali, spędzili razem więcej czasu, zanim na oślep rzucimy się w wir pożądania. Odwiedzimy moją rodzinę, trochę razem popracujemy,

potem będzie czas na miłość.

Zaskoczył ją taką deklaracją. To znaczy, że trochę mu na niej zależy!

- Odpowiada mi to - skostatowała po namyśle.

- Mnie także. - Zaczekał, aż zapnie pas. Przez całą drogę do domu trzymał ją za rękę.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następnego dnia rano wyruszyli do Jacobsville. Ben Mathews pomachał im na pożegnanie, zręcząc, że sam nie wie, jak sobie poradzi z nadmiarem swobody i ogromną szarlotką, którą Pepi upiekła dla niego bladym świtem.

Sporo czasu zajęło jej spakowanie walizki. Ponieważ nie miała pojęcia, jakie stroje powinna zabrać, postanowiła wziąć te najlepsze. Miała cichą nadzieję, że się nie wygłupi. Wśród jej garderoby nie było ani jednej drogiej, markowej rzeczy, obawiała się więc, że tam, dokąd jada, będzie wyglądała jak uboga krewna. Denerwowała się bardzo, ale ani słowem nie wspomniała C. C. o swoich obawach. On zresztą wcale nie palił się do rozmowy. Prowadził samochód w skupieniu, przez cały czas zamyślony i dziwnie nieobecny.

- Żałujesz? - zapytała z wahaniem, nie mogąc dłużej znieść męczącej niepewności. - Tego, że zabierasz mnie do swojej matki.

- Dlaczego miałbym żałować? - zdziwił się.

Patrzyła na pastwiska ciągnące się aż po horyzont.

- A co będzie, jeśli zrobię coś niestosownego? - powiedziała po chwili. - Nie mam pojęcia o wielkopańskich manierach. Nie wiem, co z czym, do czego i tak dalej. Pół nocy denerwowałam się, co będzie, jeśli niechcący stłukę filiżankę z chińskiej porcelany albo wyleję kawę na bezcenny dywan - przyznała się zgnębiona.

Sięgnął po jej dłoń i, by dodać otuchy, splótł palce z jej zimnymi, drżącymi palcami.

- Posłuchaj, moja matka spędziła całe życie na ranczu, więc podchodzi do życia tak samo praktycznie jak twój ojciec. Przede wszystkim nie ma tak pięknej i wytwornej rezydencji, jak te pokazywane w kolorowych pismach. Jeśli rozlejesz kawę na dywan, zaprowadzi cię do kuchni i pokaże, gdzie jest gąbka i płyn do usuwania plam. Jeśli chodzi o zachowanie przy stole, to nie musisz się o to martwić: kiedy jemy w rodzinnym gronie, nie przywiązujemy do tego większej wagi.

Jedynym problemem może być Harden, który na pewno nie będzie bawił się w żadne uprzejmości, nie licząc więc, że będzie zabawiał cię rozmową.

- Dlaczego Harden jest taki zgorzkniały? - zainteresowała się. - Ktoś go skrzywdził?

Spojrzał na nią z ukosa.

- Prędzej czy później i tak się o tym dowiesz - zaczął z wahaniem. - Lepiej, żebym sam ci to powiedział. Mniej więcej rok po urodzeniu Evana rodzice zdecydowali się na separację. Kiedy już nie byli razem, matka związała się innym mężczyzną. Romans nie trwał długo, bo ten człowiek zginął w Wietnamie. Po jakimś czasie matka wróciła do ojca, który cały czas ją o to prosił. Była w ciąży. Kiedy urodził się Harden, ojciec go adoptował. Niestety, Jacobsville to małe miasto, ludzie wiedzą tam o sobie wszystko. Harden szybko i w okrutny sposób został poinformowany, że nie jest rodzonym synem naszego ojca.

- Teraz rozumiem, dlaczego nienawidzi matki...

- Nie potrafi jej wybaczyć, że będąc wciąż żoną

ojca, wdała się w romans z kim innym. Nie pomaga nawet to, że nasza matka jest powszechnie szanowana i lubiana i cieszy się opinią dobrego ducha całej społeczności. Harden zarzuca jej, że przez nią wytykają go palcami i traktują jak wyrzutka. Sam zresztą tak o sobie mówi.

- I nie ma dla niego znaczenia, że wasz ojciec uznał go za syna?

Pokręcił głową.

- Najmniejszego - powiedział z wyrozumiałym uśmiechem. - Harden ma najbardziej konserwatywne poglądy z nas wszystkich. Jest bardzo staroświecki i kieruje się w życiu surowym kodeksem neandertalczyka. Założę się, że wciąż jest prawiczkiem i w życiu nie tknął żadnej kobiety.

Otworzyła oczy ze zdziwienia. Taki przystojny i doskonale ułożony Harden jest cnotliwy? C. C. chyba żartuje.

- Głupi dowcip. Obiecałeś, że nie będziesz się nabijał z mojego dziewictwa.

- Ja się wcale nie nabijam - bronił się. - Mówię poważnie. Harden jest bardzo religijny, angażuje się w życie kościoła, śpiewa w chórze. Kiedyś poważnie myślał o tym, żeby zostać pastorem.

- Ile on ma lat?

- Trzydzieści jeden.

- O rok starszy od ciebie?

- Zgadza się. Kiedy matka zdecydowała się wrócić do domu, rodzice szybko doszli do porozumienia. Widocznie uznali, że najlepiej godzić się w łóżku. O ile wiem, byli ze sobą całkiem szczęśliwi, ale podejrzewam, że matka nigdy nie zapomniała o kochanku. Najlepszy dowód, że chociaż Harden jest do niej wrogo nastawiony, ona kocha go bardziej niż nas.

- Nie jest łatwo wybaczyć - powiedziała zamyślona.

- Poza tym nie każdy jest do tego zdolny. Współczuję twojej matce. - Westchnęła.

- Nieszuszenie. Zrozumiesz to, jak ją poznasz. Mateńka ma bardzo silny charakter! Tak samo zresztą jak ty.

Oparła się wygodnie o siedzenie i spojrzała na niego kątem oka. Nie mogła uwierzyć, że ten wspaniały mężczyzna naprawdę do niej należy. Gdy mu się tak przyglądała, w jej głowie odżyły gorące wspomnienia ubiegłego wieczoru. Przypomniała sobie, jak ją pieścił i całował jej piersi. To wystarczyło, by poczuła jak w dole jej brzucha budzi się żar.

Kiedy zwolnili przed skrzyżowaniem, C. C. zerknął w jej stronę. I to wystarczyło, by natychmiast stracił spokój ducha.

- Wspominasz? - zapytał zmienionym głosem.

- Mhm...

Zauważyła, że zaczął ciężiej oddychać: brązowa sportowa koszula falowała rytmicznie na jego szerokiej piersi, gdy wciągał głęboko powietrze. Zamiast patrzeć na drogę, przylgnął spojrzeniem do jej pełnych piersi, kusząco zarysowanych pod dopasowaną górą jasnozielonej sukienki.

- Pamiętam, jak smakują twoje jedwabiste piersi - szepnął.



Głośno zaczerpnęła powietrza. Gdy znowu spojrzął jej prosto w oczy, na ułamek sekundy czas stanął w miejscu.

- Nie tutaj - próbował być stanowczy. Nerwowo rozejrzał się na wszystkie strony. Żadnego samochodu. - A zresztą, co tam! - Wzruszył ramionami i zatrzymał auto.

Odpiął jej pas i pociągnął ją ku sobie. Ona tylko na to czekała. Otoczyła go ramionami, oddając z pasją spragnione miłości pocałunki. Tym razem nie musiał jej prosić, żeby rozchyliła usta. Zrobiła to sama, drżąc rozkosznie, gdy ich języki się spotykały.

Z oddali dobiegł ich ryk potężnego silnika. C. C. uniósł głowę. We wstecznym lusterku dostrzegł sylwetkę ogromnej ciężarówki.

- Niech go szlag! - zaklął, sadzając ją z powrotem w fotelu pasażera.

Niechętnie wyjechał na autostradę. Jego dłonie, zaciśnięte na kierownicy, wciąż lekko drżały.

- Dzisiaj wezmę cię w posiadanie - rzekł półgłosem,

patrząc na nią wygłodniałym wzrokiem. - Koniec czekania!

Rozchyliła wargi.

- Ściany są bardzo cienkie? - zapytała.

- Śpimy w pokoju w najdalszej części domu. Będiesz mogła krzyczeć do woli. Nikt cię nie usłyszy.

- Nie mogę się opanować, kiedy mnie dotykasz. Nie potrafię być cicho... Tracę kontrolę - przyznała się skruszona.

- Ja też.

Zaczerwieniła się. Nie spodziewała się, że można kogoś tak bardzo pragnąć. Jej rozbudzone ciało pulsowało niezaspokojonym pożądaniem. Nawet tu, na szosie.

- Skarbie, jeśli nie przestaniesz tak na mnie patrzeć, zaraz się zatrzymam i wezmę cię tu, na poboczu - zagroził.

- Wszystko mi jedno, gdzie to zrobisz - szepnęła. - Tak cię pragnę, że wszystko we mnie płonie.

Mocno zacisnął szczęki, by zapanować nad obez-

władniającym dreszczem, który przebiegł mu po plecach. Zdesperowany, spojrział w stronę przydrożnego motelu za skrzyżowaniem bocznych dróg. Niewiele myśląc, zjechał z autostrady i zatrzymał się przed wejściem do niewielkiego budynku.

- Bardzo mnie pragniesz? - upewnił się.

- Tak.

Nie pytając o nic więcej, ruszył do recepcji. Po chwili wrócił z kluczem. Bez słowa pomógł jej wysiąść i zaprowadził ją do pokoju. Odezwał się do niej, dopiero kiedy dokładnie zamknął za sobą drzwi.

- Chcesz, żebym się zabezpieczył?

- Nie - odparła, podchodząc do niego. Kocha go, więc może mieć dziecko. On też tego chce. Będzie szczęśliwą że może mu je dać.

Przytulił ją tak bardzo podniecony, że nie panował nad drżeniem napiętych mięśni.

- Nie wiem, czy długo wytrzymam, ale zrobię wszystko, żebyś była na mnie gotowa. Jeśli za wcześnie stracę kontrolę, obiecuję, że później wszystko ci

wynagrodzę.

Nie rozumiała, o co mu chodzi, ale nie miała ochoty o nic go wypytywać. Czekwała niemal bez ruchu, podczas gdy on rozpinał suwak w sukience, a potem powoli zdejmował bieliznę, aż stanęła przed nim zupełnie naga. Czowała, jak jego spojrzenie pali jej delikatną skórę. Wstydziała się, ale była też z siebie dumna, bo w jego oczach widziała niekłamany zachwyt. On zaś nie mógł oderwać od niej oczu. Sięgnął za siebie, by ściągnąć narzutę z łóżka. Potem wziął ją na ręce i delikatnie położył w chłodnej pościeli. Stanął przed nią i sam zaczął się rozbierać.

Wiele razy widziała zdjęcia nagich mężczyzn, ale żaden nie prezentował się tak imponująco jak C. C. Miał najpiękniejsze męskie ciało, jakie widziała. Pomimo całego zachwytu z pewnym niepokojem spoglądała na koronny dowód jego pożądania. Gdy podszedł bliżej, aż wstrzymała oddech.

- Nie bój się - szepnął, kładąc się obok. - Wkrótce sama zapragniesz mnie przyjąć. Twoje ciało jest teraz

jak pąk róży. Będę po kolei rozchylał kolejne płatki, aż zakwitnie pełnym kwiatem.

Całował ją delikatnie, niemal niewinnie. Jednocześnie pieścił jej rozpalone ciało, wodząc dłonią po gładkim brzuchu, biodrach i nabrzmiątych piersiach. Spojrzał jej w oczy, by poznać, jak reaguje na te pieszczoty. Poddawała im się bez protestu, aż do chwili, gdy przyłożył dłoń do najczulszego punktu jej ciała. Drgnęła próbując odsunąć jego rękę.

- Nie protestuj - szepnął, całując jej zaciśnięte powieki. - Tam też się dotyka. Zaufaj mi. Bez tego mogę ci sprawić niepotrzebny ból. Spokojnie, zrelaksuj się...

Cofnęła rękę i więcej nie próbowała go powstrzymać. Rozkosz, jaką jej to sprawiało, była nie do zniesienia, ale za nic nie chciała żeby przestał.

- Teraz się zacznie... - obiecywał.

Jego pocałunki stały się głębsze, bardziej natarczywe. Dotykał jej wrażliwego punktu coraz mocniej, wprowadzając jej ciało w rytmiczny ruch. Krzyknęła

przeciągle. C. C. na to czekał. Pochylił się nad nią i zaczął ssać jej nabrzmiąłą pierś w tym samym rytmie, którego już ją nauczył. Kiedy wyczuł, że nadchodzi moment kulminacyjny, uniósł się nad nią, wsunął między jej rozedrgane uda i połączył z nią jednym energicznym pchnięciem.

Krzyknęła głośno i otworzyła szeroko oczy. Stało się to, czego tak się obawiała. Czuła lekki ból, ale nie cofnęła się, ponieważ płynne, rytmiczne ruchy C. C. , który teraz na nią napierał, sprawiały jej niewysłowioną rozkosz. Nie myślała o bólu. Napięcie, od którego traciła zmysły, po chwili znowu wróciło. Nie panując nad sobą, wbiła paznokcie w jego ramiona. Zorientowała się jeszcze, że jego twarz nad nią zaczyna się zamazywać. I dała się ponieść ekstazie. Jak przez mgłę usłyszała jego przeciągły krzyk i poczuła jak jego ciałem wstrząsają potężne skurcze.

Gdy w końcu uniosła powieki, czuła się jak nowo narodzona. C. C. leżał na niej bezwładnie, jakby rozkosz, której doznał, wyssała z niego całą energię.

Wzruszona, otoczyła go ramionami.

- Bardzo bolało? - szepnął.

- Nie. Zrób to jeszcze raz.

- Poczekaj, nie mogę tak od razu. - Uśmiechnął się.

- Mężczyźni nie mają takich nieograniczonych możliwości jak kobiety.

- Tak? - zdziwiła się, zaglądając mu ciekawie w oczy. - Krzyczałeś.

- Ty też - mówił leniwie. - Nie pamiętasz?

- Jak przez mgłę - przyznała. - Bardzo bym chciała, żeby z tego naszego pierwszego razu poczęło się dziecko. To było takie piękne.

C. C. zmienił się na twarzy. Zdumiony, poczuł, że to jej wyznanie od nowa pobudziło jego krew. Znow był gotowy do miłości.

- Connal, mówiłeś, że...

- Nieważne, co mówiłem. - Zamknął jej usta pocałunkiem. Oparł się na rękach i zaczął kołysać biodrami, najpierw bardzo wolno, potem coraz szybciej.

- Musisz mi pomóc. - I tego ją nauczył. - Tak, o tak. -

Głos mu się rwał. Napięcie rosło, w miarę jak falowały jego biodra. Nieprawdopodobne, pomyślał. Zaciśnął zęby, przymknął oczy. Mimo to czuł, że ona mu się przygląda. Wcale go to nie peszy! Czuł pod sobą jej rytmicznie rozkołysane rozpalone ciało. Oplotła go nogami, a on wygiął się w łuk. Z tego punktu nie ma już odwrotu. Czy ona jest ze mną? - przebiegło mu przez myśl, gdy przetaczał się z nią na plecy.

- C. C. , jesteś? - Na dźwięk jej głosu leniwie otworzył jedno oko. Oparta teraz na łokciu, patrzyła na niego z góry. W jej szeroko otwartych oczach malował się niepokój. Serce łomotało mu jak oszalałe i z trudem łapał powietrze jak po długim biegu. Leniwym ruchem odsunął z czoła kosmyki mokrych włosów i przyciągnął ją do siebie.

- Jestem, jestem, kochanie. - Uspokoił ją, całując czule w usta.

- Przestraszyłam się. Wyglądałeś jak nieżywy. I znowu krzyczałeś...

Uśmiechnął się, wyraźnie znużony.



- Francuzi nazywają to „słodką śmiercią”. - Całował wewnątrz jej dłoni. - Wyglądałaś tak samo. Przyglądałem ci się za pierwszym razem.

- A ja tobie za drugim. - Zaczerwieniła się.

- Wiem, czułem to - przyznał, a widząc jej spłoszoną minę, dodał: - Nie szkodzi. Nie powinnaś wstydzić się niczego, co ze sobą robimy. Na tym polega intymność. Przysięgam, że nigdy nie będę się z ciebie śmiał. Nie chcę, żebyś miała jakiegokolwiek opory. Jeśli będziesz miała ochotę na miłość, nie krępuj się. Masz do mojego ciała takie samo prawo, jak ja do twojego.

- Naprawdę? - Była wyraźnie ucieszona.

- Naprawdę. Ale nie teraz.

- Oj, wiem - obruszyła się. - Ale tak w ogóle, to mogę cię prowokować, jeśli będę chciała się z tobą kochać?

- Jasne.

- I nie będziesz miał nic przeciwko temu?

- Nigdy. Jesteś moją żoną.

- I... nie będziesz zły, jeśli od razu zajdę w ciążę?

- Już ci mówiłem, że chcę mieć dziecko - odparł, patrząc jej w oczy. - Podobno kobieta potrafi wyczuć, kiedy zaczyna się w niej nowe życie.

- Ja chyba nie potrafię. - Westchnęła. Uśmiech zniknął z jej twarzy i przez chwilę w milczeniu wodziła palcami po linii jego ust. - Connal, a jeśli nie będę mogła mieć dzieci? - zapytała z niepokojem. - Rozwiedziesz się ze mną?

- Nie! - Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował w usta. - W tym małżeństwie nie stawiamy sobie żadnych warunków - oświadczył. - Jeśli nie będziesz mogła mieć dzieci, to trudno. Teraz o to się nie martw.

Westchnęła, po czym ułożyła się na nim wygodnie. Szorstkie włosy na jego klatce piersiowej przyjemnie łaskotały jej piersi. Zaczęła się o niego ocierać.

- Przyjemnie - szepnęła.

- Bardzo - potwierdził. - Ale na dziś już wystarczy. Musisz jeszcze trochę potrenować, zanim będziesz gotowa do długich akcji w łóżku.

- To uzależnia, prawda? Kiedy już się to pozna

chciałoby się więcej i więcej.

- Oj, tak - westchnął. - Nie żałujesz?

- Nic a nic! - Przytuliła się do niego mocniej, gładząc nogą jego umięśnione i owłosione udo. - Jeszcze bym chciała - jęknęła.

- Ja też - przyznał. - Ale zrobmy sobie małą przerwę.

Usiadła na łóżku i zaczęła mu się ciekawie przyglądać. On zaś obserwował tę pokazową lekcję męskiej anatomii z nieskrywanym rozbawieniem.

- Pierwszy raz widzę gołego faceta - przyznała z rozbijającą szczerością.

- I bardzo dobrze! Nie muszę się martwić, jak wypadnę w porównaniu z innymi.

Roześmiała się, rozbawiona jego próżnością.

- Tak jakby ktoś mógł ci dorównać! - parsknęła. - Jesteś piękny. Po prostu piękny!

C. C. usiadł i pocałował ją z wielką czułością.

- Mężczyźni nie są piękni - pouczył ją, po czym wstał i zaczął się ubierać.

- W porządku. - Zgodziła się. - Niech będzie, że jesteś przystojny. Zabójczo! - Przeciągnęła się leniwie, zadowolona, że patrzy na nią z takim zachwytem. - Często wyobrażałam sobie, że jesteśmy razem w łóżku, ale w moich marzeniach zawsze robiliśmy to w nocy i przy zgaszonym świetle.

- Spotkała cię niespodzianka.

- Co więcej, bardzo przyjemna - powiedziała, wstając.

Przygarnął ją do siebie i delikatnie pocałował w usta.

- Mam nadzieję, że było ci choć w połowie tak dobrze jak mnie - szepnął. - Do końca życia będę pamiętał, że na mnie czekałaś. To, że jestem twoim pierwszym mężczyzną, jest dla mnie bardzo ważne.

- Ja też się cieszę, że dotrwałam, choć wcale nie było mi łatwo. Byłam ostatnią więc możesz sobie wyobrazić niewybredne żarty moich doświadczonych koleżanek.

- Nigdy nie będę robił sobie z tego żartów - obiecał,

palcem dotykając czubka jej nosa. Jeszcze nigdy tak na nią nie patrzył. - A teraz ubieraj się.

- No wiesz! - Obruszyła się, robiąc obrażoną minę.  
- Jak ty mówisz do kobiety, która dopiero co oddała ci swój największy skarb?!

- Jeśli o mnie chodzi, mogłabyś całe życie paradować bez niczego - mruknął, zerkając pożądliwie na jej krągłe kształty. - Ale wszyscy by się na ciebie gapili.

- Rozumiem. - Zebrała porozrzućane ubranie i pomaszerowała do łazienki. - Jak wyglądam? - zapytała później C. C. , który czekał na nią gotowy do wyjścia. - Nie jestem potargana? Nie włożyłam sukienki na lewą stronę?

Objął ją za szyję i lekko pocałował.

- Wygląda pani jak należy, pani Tremayne - oznajmił.

- Pani Tremayne... Ładnie brzmi - szepnęła, myśląc o tym, że brzmiałoby jeszcze lepiej, gdyby Connal kochał ją tak bardzo jak ona jego. Póki co, powinna cieszyć się tym, co mógł jej ofiarować. Dzięki niemu

będzie wspominała swój pierwszy raz jako nieziemskie przeżycie. Czułość, z jaką ją traktował, pozwalała jej wierzyć, że mimo wszystko zależy mu na niej.

- Od dziś jesteś moją prawną żoną - oświadczył. Nagle jego błyszczące oczy pociemniały. - Pamiętaj o tym i nie rób Evanowi żadnych nadziei.

Zdumiona, spojrzała mu pytająco w oczy.

- Widziałam twojego brata raz w życiu!

- Ale zdążyłaś wpaść mu w oko - odparł sucho. - Evan jest bardzo samotny, więc uważaj. Jeśli będziesz dla niego zbyt miła, może to opacznie zrozumieć.

- A Harden? Jego nie musisz przede mną ochraniać?

Przemilczał jej ironiczną uwagę. Nie mniej niż Pepi był zdumiony swoją zaborczością i niczym nieuzasadnioną zazdrością.

- Harden jest odporny na twoje wdzięki. Evan nie.

- Posłuchaj, co ci powiem, C. C. Tremayne. To, że się z tobą przespałam, nie znaczy jeszcze, że masz prawo traktować mnie jak dziwkę!

- Po pierwsze - powiedział, kładąc jej palec na wargach - wcale cię tak nie traktuję. Po drugie, to, co robiliśmy przed chwilą, nie miało nic wspólnego ze spaniem. - Spokojnie popatrzył jej w oczy. - Coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu - wyznał. - Naprawdę. Po raz pierwszy przeżyłem tak wielką rozkosz, że przestałem nad sobą panować. Sam nie wiem, czy mam ochotę osiągać takie ekstremalne stany.

Świadomość, że potrafiła dać mu tyle przyjemności, napełniła ją dumą, którą on bez trudu wyczytał w jej oczach.

- Może z czasem ci się to spodoba? - szepnęła z nadzieją w głosie.

- Tak myślisz? - zapytał zaczepnie, pobudzony zmysłowym brzmieniem jej głosu.

Podeszła do niego i zaczęła bawić się guzikiem jego koszuli.

- Poczekaj, aż się przekonasz - powiedziała, zniżając głos. Wspięła się na palcach i delikatnie musnęła

wilgotnymi wargami jego usta. Ten niewinny pocałunek tylko go podniecił, nie dając obietnicy zaspokojenia.

C. C. patrzył, jak Pepi idzie do drzwi, i myślał o tym, że przed chwilą oddał jej ważną część siebie. Przestraszył się, że pewnego dnia może tego gorzko pożałować. Dowiedziała się już, że on pragnie jej do szaleństwa. Ta wiedza może pewnego dnia stać się skuteczną bronią w jej rękach. Nie wątpił, że spodobało jej się to, co robili w łóżku. Ale powiedziała mu kiedyś, że go nie kocha. Męczyła go obawa, że gdyby teraz dowiedziała się, że jest w niej beznadziejnie zakochany, natychmiast wzięłaby go na smycz, z której pewnie nigdy już by się nie urwał. Nieważne, czy Pepi została jego żoną przez przypadek, czy nie. Jedno było pewne: w tej chwili miał na jej punkcie prawdziwą obsesję. I wiedział, że zrobi wszystko, by ją przy sobie zatrzymać.

Przez resztę drogi do Jacobsville panowało między nimi wyraźnie wyczuwalne napięcie. C. C. palił papierosa za papierosem, więc żeby się nie udusić, Pepi musiała opuścić szybę. Nie potrafiła odgadnąć, czy



przyczyną jego zdenerwowania jest fakt, że jedzie do domu, czy to, że wiezie ją ze sobą. Mimo jego zapewnień, że wszystko będzie dobrze, niepokoiła się, jak zostanie przyjęta przez jego rodzinę. Nie była pewna, czy tacy bogacze będą chcieli ją zaakceptować.

Minęli rozległe pastwisko i długo jechali przez typowe wiejskie tereny. Potem skręcili w krętą brukowaną drogę, na końcu której wznosiła się kamienna brama w kształcie łuku z wykutym napisem „Tremayne”.

- Jesteśmy w domu - uśmiechnął się C. C. , dodając gazu. Ona zaś kurczowo zacisnęła dłonie, modląc się w duchu o siłę, która pomoże jej mężnie wkroczyć do jaskini lwa. Póki co, z zaciekawieniem wyglądała przez okno. Po obu stronach drogi ciągnął się niewysoki biały płot, w oddali zaś jaśniał w słońcu duży dom w stylu kolonialnym z rozległym gankiem z misterną koronką drewnianych kratownic. Dodatkową ozdobą były starannie utrzymane klomby, na których akurat kwitły różnobarwne chryzantemy.

- Jak tu pięknie - szepnęła, patrząc z podziwem na wysokie drzewa otaczające siedzibę rodu Tremayne.

- Też tak uważam. Idzie mama - powiedział.

Theodora Tremayne była niewysoka i bardzo szczupła. To po niej synowie odziedziczyli śniadą karnację i kolor włosów, które teraz były już całkiem siwe. Słyszając warkot silnika osłoniła oczy przed słońcem, wytarła ręce w fartuch, pod którym miała zwykły podkoszulek i dżinsy, i ruszyła im na powitanie.

- Jak dobrze, że znów jesteś w domu! - zawołała obejmując syna za szyję. - Witaj, Pepi. Cieszę się, że możemy się poznać - powiedziała i bez wahania pocałowała ją w policzek. Potem odwróciła się do syna i bez żadnych wstępów oznajmiła: - Zlew w kuchni znowu się zapchał, a jak na złość nie mogę znaleźć Evana. Zrobisz coś z tym?

- Mogę spróbować. Masz przepychacz?

- Pewnie. Potrzebujesz coś jeszcze?

- Kiedyś matka złapała gumę w ogrodowych taczkach - zwrócił się C. C. teatralnym szeptem do Pepi.

- Nie krępuj się! Wypapłaj wszystkie rodzinne sekrety! - burknęła Theodora. - Możesz jej też powiedzieć, że nie potrafię poradzić sobie z myszą, która mieszka w kuchni, ani z wężem, który uparcie odwiedza moją piwnicę.

Pepi wybuchnęła radosnym śmiechem. Wiedziała, że nie wypada, ale nie mogła się opanować. Bardzo bała się spotkania z Theodora Tremayne, którą wyobrażała sobie jako kostywną matronę z wyższych sfer. Tymczasem ujrzała drobną i sympatyczną kobietę, która w rzeczywistości była niewiele większa niż skrzat.

- Cieszę się, że masz poczucie humoru - pochwaliła ją matka Connala. - Bez tego życie z moim synem byłoby jedną wielką udręką. On, niestety, jest go zupełnie pozbawiony. Tak samo zresztą jak jego bracia. Wszyscy czterej chodzą posepni jak gradowe chmury i na wszystkich patrzą wilkiem.

- O, przepraszam - zaprotestował C. C. - tylko Harden patrzy wilkiem.

- Ma prawo - westchnęła Theodora. - Twój brat robi

się coraz gorszy. Szkoda czasu na gadanie! - zawołała energicznie. - Synu, od razu bierz się za zlew, a ciebie, Pepi, zapraszam do środka. Jeśli jesteś głodna, mogę poczęstować cię kanapką z szynką. Obawiam się, że nic innego teraz nie wymyślę. Pomagałam Evanowi znakować cieleńta więc wszędzie panuje straszny bałagan - mówiła, idąc przodem w stronę domu.

C. C. wziął Pepi za rękę.

- Ciągłe się jej boisz?

- Jest niesamowita. Prawdziwy skarb.

- Nie jedyny. - Objął ją i pocałował.

Kiedy szła z nim do domu, miała wrażenie, że płynie nad ziemią. Zdawało jej się, że ze szczęścia urosły jej skrzydła. Chyba trochę mu na niej zależy. Może nawet więcej niż trochę!

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

W miarę upływu dnia Connal wyraźnie tracił humor. Czułość, którą tak bardzo ujął Pepi, zniknęła bez śladu. Kiedy poszedł naprawiać zlew, Pepi pomagała zaaferowanej Theodorze nakryć do stołu.

- Taka jestem szczęśliwa, że on wreszcie uwolnił się od złych wspomnień. - Theodora patrzyła na Pepi z nieskrywaną wdzięcznością. - Nawet nie wiesz, jak przykro było patrzeć, jak zadręcza się winą za nieszczęście, któremu i tak nie mógł zapobiec. Potem straciliśmy go z oczu. Od czasu do czasu dzwonił albo pisał listy, ale to nie to samo, co regularny kontakt.

- Tata i ja nic nie wiedzieliśmy o jego przeszłości - wyjaśniła Pepi. - Mimo że już na pierwszy rzut oka widać było, że C. C. ma klasę. Często zastanawialiśmy się, dlaczego taki człowiek zaszył się na naszym odludziu.

- C. C. bardzo szanuje twojego ojca - oznajmiła Theodora. - A kiedy był u nas ostatnim razem, wiele

mówił o tobie.

Pepi zaczerwieniła się i wbiła wzrok w talerz, który właśnie stawiała na stole. Dziękowała Bogu, że poza zwykłą łyżką, nożem i widelcem nie było tu żadnych wymyślnych sztuczków, z którymi nie wiedziałyby, co zrobić.

- Domyślam się - mruknęła półgłosem. - Kiedy od nas wyjeżdżał, był na mnie zły. Nie bez racji - przyznała patrząc Theodorze w oczy. - Miał prawo gniewać się, że go okłamałem.

Matka Connala przyjrzała jej się uważnie.

- Głęboko cię zranił, prawda? - domyśliła się. - Czy on wie, co ty czujesz?

Rumieniec na policzkach Pepi stał się jeszcze ciemniejszy. Ręce jej drżały, gdy starannie układała sztucze obok talerzy.

- Myślę, że nie wie - szepnęła. - Jeśli w ogóle się nad tym zastanawia, to pewnie uważa że przeżywam w tej chwili pierwszą fizyczną fascynację. Nawet wolę, żeby tak myślał, bo tak jest dla mnie bezpieczniej. Nie

wiem, czy jestem taką żoną, jaką Connal by chciał. Chodzi o to, że ja... - zająknęła się - jestem prostą dziewczyną.

Theodora obeszła stół i przytuliła ją serdecznie.

- Jeśli on pozwoli, żebyś mu się wymknęła, osobiście wygarbuję mu skórę - zapowiedziała stanowczym, matczynym tonem. - Idę po kanapki i po chłopaków. Penelopo, nie miej takiej wystraszonej miny. Oni cię nie zjedzą! - zapewniła z wesołym błyskiem w oku.

Pepi usiadła na wyznaczonym miejscu. Po upływie kilku minut Theodora wróciła do jadalni w wielką tacą kanapek. Tuż za nią szli jej trzej postawni synowie.

- Witaj, miło cię znowu widzieć! - Evan, nie pytając o zgodę, usiadł obok Pepi. - Co za radość zjeść wreszcie posiłek w miłym i uroczym towarzystwie - powiedział szarmancko, zerkając wymownie na Hardena, który usiadł po przeciwnej stronie.

Harden nie bardzo się przejął uszczypliwością brata. Niewzruszony, uniósł w górę brew i spokojnie powiedział:

- Mówiłem ci już setki razy: jak nie chcesz na mnie patrzeć, zawiąż sobie oczy.

- Lepiej niech tego nie robi! - zawołała Theodora. - Jestem pewna, że przez pomyłkę zjadłby obrus. Connal, siadaj.

C. C. próbował się uśmiechnąć, ale w jego oczach nie było radości. Z jawną niechęcią spoglądał na Evana u boku Pepi.

- Harden, modlitwa - poleciła matka.

Po chwili wszyscy zajęli się kanapkami i kawą. Podczas posiłku Evan z ożywieniem opowiadał Pepi o ranczu i jego historii, Harden jadł w milczeniu, a Connal rozmawiał z matką.

Pepi nie słyszała o czym rozmawiali, ale od czasu do czasu przechwytywała jego gniewne spojrzenia i zachodziła w głowę, co go tak rozzłościło. Czy możliwe, że żałuje tego, co wydarzyło się w motelu? Świeże wspomnienia niedawnej rozkoszy sprawiły, że na jej policzki znów wypełzł rumieniec. Choć minęło już kilka godzin, nadal była lekko obolałą ale był to



przyjemny rodzaj bólu. Niewykluczone, że mężczyzna uprawiający seks z kobietą, której nie kocha, odczuwa to inaczej. Wiedziała że bardzo jej pożądał, ale może teraz żałuje, że dał się ponieść emocjom. Sam przecież mówił, że nie podoba mu się utrata samokontroli. Albo dotarło do niego, że od dziś ich małżeństwo to już nie żadne żarty, tylko prawomocny związek, z którego niełatwo będzie się wyplątać. A może żałuje rozstania z Edie? Możliwości było wiele. Najgorsze, że przy tym wszystkim wyglądał i zachowywał się niepokojąco. Był podejrzenie spokojny i małomówny. Pepi dobrze znała ten jego nastrój: kiedy C. C. mu ulegał, wszyscy robotnicy schodzili mu z drogi. Był wtedy zamyślony, ale też bardzo rozdrażniony. Byle głupstwo wytrącało go z równowagi i prowokowało atak wściekłości. Miała nadzieję, że C. C. nie szykuje się do kolejnej awantury.

- Zawsze chciałem mieć siostrę - wyznał Evan. - I kogo dostałem? Connala, Donalda, i... jego. - Otrząsnął się, patrząc na Hardena.

Harden zignorował zaczepkę.

- Tyle razy ci mówiłam, że dokuczając mi, niczego nie wskórasz - upomniała go Theodora. - Harden jest odporny na złośliwości. Myślę, że mu wręcz służą.

- Na pewno - burknął Harden, mierząc ją lodowatym spojrzeniem niesamowitych jasnych oczu.

- Nie zaczynaj. - Przywołała go do porządku. - Mamy gościa.

- To nie gość, tylko rodzina - sprostował Evan.

- Może twoja, bo moja na pewno nie - odciął się Harden, patrząc matce w oczy. - Przepraszam - dodał, zwracając się do Connala.

- Będzie się mścił do samej śmierci - westchnęła Theodora.

- Wracam do pracy - oznajmił Harden, wstając od stołu. - Connal, zobaczymy się wieczorem - powiedział i nie oglądając się za siebie, wyszedł z jadalni: wysoki, smukły i wyprostowany jak świeca.

- Teraz, gdy wreszcie zostaliśmy w miłym gronie, powiedz, Pepi, jak ci się u nas podoba - poprosił Evan.

Odpowiedziała mu zdawkowo, analizując w myśl-

lach sens wymiany zdań, której była świadkiem. Doszła do wniosku, że jeśli tak ma wyglądać cała jej wizyta woli wrócić do domu wcześniej.

Na szczęście po wyjściu Hardena atmosfera znacznie się poprawiła. Evan tylko na to czekał: nim Connal zdążył zareagować, zaprosił ją na przejażdżkę jeepem po ranczu.

- A Connal? - zapytała skrepowana, spoglądając ku miejscu, w którym C. C. stał z matką i piorunował ich wzrokiem.

- Nie martw się o niego. Chcę odbyć z tobą szczerą braterską rozmowę - oznajmił Evan.

Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że żarty się skończyły. Zaczęła dostrzegać w nim tę samą żelazną siłę charakteru, która uderzyła ją najpierw w Connalu, a potem w Hardenie.

Odjechali kawałek od domu, po czym Evan, upewniwszy się, że nikt ich nie widzi, zjechał z drogi i wyłączył silnik.

- Dzisiaj rano dzwoniła Edie. Szukała Connala -

zaczął bez zbędnych wstępów.

- Rozumiem - szepnęła. Spokojnym wzrokiem badała jego majestatyczną sylwetkę, odnajdując w nim coraz więcej cech Connala, jak choćby dobrze jej znaną posepną surowość.

- Nic nie rozumiesz - burknął. - Edie nie należy do kobiet, które gładko przełkną porażkę. Nie uwierzyła, kiedy Connal powiedział jej, że jest żonaty. Dziś rano oznajmiła mi, że na pewno uknułaś spisek i sfałszowałaś akt ślubu.

- Nic prostszego - westchnęła - jak sprawdzić jego autentyczność.

- Już to zrobiłem. Kiedy Connal nas odwiedził. - Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczenie. - Nie obraż się, dziecino, ale po śmierci matki mój brat odziedziczył prawdziwą fortunę. Już teraz nie jest biedny, ale te pieniądze są niczym w porównaniu ze spadkiem, który dostanie. Ponieważ ty i ja nie bawiliśmy się w jednej piaskownicy, musiałem zorientować się, z kim mam do czynienia. Zrozum, mój rodzony brat wpadł tutaj jak

rozjuszony byk, wymachując na prawo i lewo tym dokumentem. Wynająłem detektywa.

- Connal powiedział mi, że to dzięki tobie postanowił utrzymać nasze małżeństwo - powiedziała niepewnie, coraz mniej z tego rozumiejąc.

Evan oparł się o drzwi samochodu, potężny i elegancki w stetsonie zsuniętym niedbale z szerokiego czoła.

- Nie kłamał - odparł spokojnie. - Któregoś dnia dam ci przeczytać raport przygotowany przez detektywa. Wynika z niego jasno, że jesteś synową, o jakiej marzy każda matka. Prawdziwym skarbem, czyli kobietą o złotym sercu i pracowitych rękach. W naszych szalonych czasach dziewczyny takie jak ty to wielka rzadkość. Powiedziałem o tym Connalowi. Myślę, że wtedy zrozumiał, że mógł trafić znacznie gorzej.

- Nie byłabym tego taka pewna.

- Edie jest innego zdania niż my, więc miej się na baczności - powiedział z powagą. - Nie daj się zaskoczyć. I pamiętaj, że ostrzeżony, to znaczy uzbro-

jony.

- Dzięki za dobrą radę.

- Mojemu bratu należy się trochę szczęścia. Nie zaznał go za wiele z Marshą. Nie odstępowała go nawet na pięć sekund. Pora, żeby przestał zadrećcać się przeszłością.

- Święte słowa - rzekła łagodnie. - Obiecuję o niego dbać. Jeśli będę miała taką szansę.

- Podobno przez trzy lata nieźle ci to szło. - Uśmiechnął się. - Uznałem, że powinnaś znać plany konkurencji, żeby uniknąć przykrych niespodzianek.

- Obiecuję, że będę czujna.

Potem Evan obwiózł ją po ranczu, barwnie opowiadając o kolejnych buhajach. Pamiętał imiona wszystkich rozplodowych byków! Wracali do domu w pogodnym nastroju.

Za to Connal na ich widok omal nie wpadł w szal. Odczekał, aż wysiądą z samochodu, a potem spiorunował brata spojrzeniem. Tak samo powitał Pepi, która miała ochotę uciec gdzie pieprz rośnie.

Theodora udawała, że niczego nie zauważyła. Energicznie zapędziła wszystkich do swojego terenowego auta i zawiozła do Jacobsville, gdzie mieli uzupełnić zapasy na czas spędu bydła.

Pani Tremayne rzeczywiście była tu bardzo popularna. Pepi miała wrażenie, że zna ją całe miasto. W jednym ze sklepów poznała dzięki niej rodzinę Ballengerów, czyli Abby i Calhouna, oraz trójkę ich dzieci.

- To jest Mart, to Terry, nie, odwrotnie. To jest Edd... - Theodora próbowała przedstawić jej wszystkich malców. - Mój drogi - zwróciła się do przystojnego blondyna - ty i twój brat Justin macie tyle dzieci, że nie ma możliwości spamiętania ich imion.

Podczas gdy Theodora i Ballengerowie rozmawiali o rychłych narodzinach kolejnego dziecka w rodzinie Justina, Pepi popatrywała z zazdrością na to, z jak niezwykłą czułością ta para okazywała sobie uczucia. Abby przytulała się do męża w taki sposób, że nikt nie mógł wątpić, iż stanowią jedną duszę i ciało. Pomyślała

ze smutkiem, że sama pewnie nigdy nie doświadczy tak ogromnego wzajemnego oddania. Nie potrafiła obudzić w C. C. niczego poza pożądaniem, a sądząc po jego zachowaniu, nawet i to mogło się niebawem skończyć. Gdy na nią patrzył, jego twarz miała taki wyraz, jakby wykuto ją z kamienia. Uparcie ją ignorował i nie zbliżył się do niej nawet wtedy, gdy Theodora przedstawiła ją jako jego żonę. W tej sytuacji niełatwo jej było robić dobrą minę do złej gry. Jak bowiem miała udawać szczęśliwą, gdy serce pękało jej z żalu.

Theodora pokazała Pepi miasto i opowiedziała jego historię. Wynikało z niej, że Jacobsville zawdzięcza swoją nazwę jednemu z przodków Shelby Ballenger.

Po powrocie do domu matka Connala wyjęła z komody rodzinne albumy, tak więc czas do kolacji upłynął im na oglądaniu zdjęć. Gdy mężczyźni wrócili z wieczornego objazdu pastwisk, wszyscy zasiedli do stołu, jednak rozmowa jakoś się nie kleiła. Pepi pochwaliła smaczne jedzenie, przyrządzone przez kucharkę, która była w rodzinie od tak dawna, że z



czasem Theodora w ogóle przestała zajmować się kuchnią.

- Słyszałem, że pieczesz rewelacyjną szarlotkę - odezwał się Evan.

- Chyba rzeczywiście jest smaczna, bo ojciec z nikim nie chce się nią dzielić.

- Doskonale go rozumiem. - Evan spojrział znacząco na matkę i Hardena. - Ja, na przykład, nigdy nie dostaję sprawiedliwej porcji deseru - poskarżył się.

- Penelopo, sprawiedliwość w jego mniemaniu to dwie trzecie ciasta dla niego - wyjaśniła Theodora.

- Gdybym sam nie zadbał o swoje interesy - skrzywił się Evan - zagłodziliby mnie tutaj na śmierć.

Pepi śmiała się, z zachwytem spoglądając na Evana.

Siedzący naprzeciwko Connal nie miał ochoty na żarty. Co chwila łypał ponuro na rozbawioną Pepi i na podstawie jej zachowania wyciągał coraz bardziej absurdalne wnioski. Zdołał na przykład wmówić sobie, że Evan spodobał jej się już podczas pierwszego spotkania, a dziś po prostu przestała się z tym ukrywać.

Czuł, że ją traci. Pozwoliła mu się do siebie zbliżyć, bo była ciekawa, jak smakuje dorosła miłość. Teraz, gdy już zaspokoił jej żądze, przestanie się nim interesować. A jeśli zakocha się w Evanie? Grymas goryczy wykrzywił mu twarz, odwrócił się więc, żeby nikt nie widział, co się z nim dzieje.

Po kolacji Theodora zaproponowała wspólne obejrzenie filmu na wideo. Pepi bardzo się ucieszyła lecz jej entuzjizm natychmiast zgasł, gdy po kilkunastu minutach C. C. opuścił towarzystwo, mówiąc, że musi zadzwonić.

Kiedy wyszedł, nie była w stanie usiedzieć w miejscu. Odczekała trochę, po czym przeprosiła Theodorę i poszła go szukać. Miała nadzieję znaleźć go w gabinecie, gdy jednak okazało się, że go tam nie ma wyszła z domu i z ciężkim westchnieniem przysiadła na schodach ganku.

Po chwili za jej plecami cicho skrzypnęły drzwi. Pełna nadziei, że to C. C. , wstała z miejsca i odwróciła się w jego stronę. Na ganku stał Harden.

Ze wszystkich mężczyzn, których w życiu spotkała właśnie on peszył ją najbardziej.

- Nie przeszkadzam? - zapytał cicho.

- Nie - odparła. - Wyszłam na powietrze. Właśnie miałam zamiar wracać - dodała pośpiesznie, robiąc krok w stronę drzwi.

Harden delikatnie chwycił ją za ramię, by ją zatrzymać.

- Nie musisz się mnie bać - powiedział łagodnym tonem. - Zemstą o której mówiła Theodora ciebie nie dotyczy.

Pepi rozluźniła się nieco, dopiero kiedy zabrał rękę z jej ramienia i zapalił papierosa.

- Connal obserwuje cię przez cały czas - powiedział po chwili. - Coś go gryzie. Pokłóciliście się w drodze?

- Nie. - Cieszyła się, że szybko zapadający zmrok nie pozwoli Hardenowi dostrzec jej purpurowych policzków: gwałtownej reakcji na wspomnienie o tym, co robili w drodze do Jacobsville. - Prawdę mówiąc, ostatnio rozumieliśmy się nawet lepiej niż dawniej. Nie

mam pojęcia, co go ugryzło, ale widzę, że odkąd tu jesteśmy, zamknął się w sobie.

- Mniej więcej od momentu, gdy pojechałaś na przejażdżkę z Evanem - zasugerował.

- Być może...

- Tak myślałem.

- Evan chciał mi powiedzieć o telefonie, jaki rano odebrał - tłumaczyła.

Harden stał w plamie światła padającego z okien, zauważyła więc, że marszczy brwi.

- Co to za telefon?

- Connal spotykał się z pewną kobietą - odparła pokonując wewnętrzny opór. - Evan ostrzegł mnie, że ona dzwoniła tu dzisiaj i pytała o C. C. Przy okazji zarzuciła mi, że sfałszowałam akt ślubu.

- Mówiłaś o tym Connalowi?

- Nie miałam okazji. Cały czas mnie unika. Może tęskni za tą swoją byłą dziewczyną albo żałuje, że nie zgodził się na unieważnienie małżeństwa. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

- A może jest o ciebie zazdrosny? - podsunął. Widząc jej zdumienie, dodał: - Nie przyszło ci to do głowy?

- C. C. nigdy nie był o mnie zazdrosny - szepnęła. - Przecież on nawet mnie nie pragnął... jako żony - sprostowała pospiesznie. Przestraszyła się, uświadomiwszy sobie, z kim rozmawia.

Lecz Harden roześmiał się. Miał zaskakująco przyjemny, głęboki głos.

- Przecież to facet. - Spoważniał. - Zazdrość w małżeństwie nie jest niczym nadzwyczajnym.

- Możliwe, ale on nie ma powodu być zazdrosny o Evana. Lubię go, bo zawsze chciałam mieć starszego brata.

- Myślisz, że Evan to taki duży, poczciwy miś?

- Trochę tak...

- Ten miś ma ostre kły i lepiej trzymać się od niego z daleka. Ciebie rzeczywiście polubił, ale poprzedniej żony Connala nie znosił do tego stopnia, że nie odważyła się tu przyjeżdżać. I wcale się z tym nie krył.

- Wydał mi się bardzo sympatyczny.

- Ciesz się, że nie robisz z nim interesów - roześmiał się. - Nie daj się nabrać na jego swobodny styl bycia i chłopięcy wdzięk. Nie życzę ci rozczarowania, jakie by cię spotkało, gdybyś zobaczyła, jak daje komuś w zęby.

- Evan?

- Evan! Na własne oczy widziałem, jak przerzucił przez ogrodzenie robotnika, który zranił rzemiennym biczem jedną z naszych klaczek. Potem sam przeskoczył na drugą stronę i pognał za nim przez zarośla. Więcej tego faceta nie widzieliśmy.

Powoli zaczynała rozumieć, jacy naprawdę są bracia Tremayne.

- Nieźle. - Z uznaniem pokiwała głową. - A ja myślałam, że z was wszystkich ty jesteś najbardziej groźny - przyznała się z uśmiechem.

- A ja tymczasem plasuję się dopiero za twoim mężem i Evanem.

- Jaki jest wasz najmłodszy brat?

- Donald? Do wszystkiego leje sos tabasco i też potrafi nieźle przyłożyć.

- Wcale nie wiem, czy chcę być spokrewniona z takimi dzikusami - prychnęła z udawanym oburzeniem.

- Chcesz, tylko sama jeszcze o tym nie wiesz. Zobaczysz, jak nas lepiej poznasz, poczujesz się wśród nas jak u siebie. Kobieta która zdecyduje się żyć z Connalem, musi koniecznie mieć twardy charakter i umieć walczyć o swoje. Jeśli będzie delikatna i uległa, nie wytrzyma z nim nawet roku. Jo Ann to wyjątkowo twarda sztuka. Inaczej nie wytrzymałaby przez te trzy lata z naszym najmłodszym braciszkiem.

- Chciałabym ich poznać.

- Niestety, wyjechali na dwa tygodnie. W interesach. Następnym razem.

- Koniecznie. Na razie pójdę poszukać mojego męża - oznajmiła z uśmiechem.

- Mądra decyzja. Dobranoc, Penelopo.

- Dobranoc. - Patrzyła jak szedł do samochodu. Tak bardzo się go obawiała, a on okazał się miły. Podobnie

jak pozostali członkowie rodziny Connala.

Wróciła do salonu, by życzyć Theodorze i reszcie rodziny C. C. dobrej nocy, po czym poszła na górę. Po drodze zastanawiała się, czy zdobędzie się na to, by uwieść własnego męża.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Choć była dopiero dziesiątą wyglądało na to, że Connal śpi w najlepsze. Zawahała się. Lampa na nocnym stoliku przy ogromnym małżeńskim łożu była włączona. Penelopa podeszła bliżej i przez dłuższą chwilę patrzyła jak naga pierś jej męża miarowo podnosi się i opada.

- Connal - szepnęła, ale on nie odpowiedział.

Westchnęła i zrezygnowana poszła do łazienki. Nie tak wyobrażała sobie tę noc. Wróciła w przejrzystej, zielonej koszuli i ostrożnie wsunęła się do ciepłej pościeli. Jeszcze raz spojrzała na jego uśpioną twarz, po czym wyłączyła lampę.

Była bardzo zmęczona, ale nie mogła zasnąć. Kręciła się, przewracała z boku na bok, wspominając doznania minionego poranka. W jej rozpalonej głowie odżywały gorące chwile ich miłości. Nie mogła uwierzyć, że kochali się zaledwie kilka godzin wcześniej. Miała wielką ochotę zrobić to raz jeszcze.

Zrozumiała teraz, że niezaspokojone pożądanie może sprawiać fizyczny ból.

- Nie możesz zasnąć? - zapytał nagle C. C. wyraźnym, przytomnym głosem.

- Nie bardzo... - Westchnęła wpatrując się w zarys jego sylwetki, widoczny na tle okna rozjaśnionego światłem padającym z dziedzińca. - Chyba dlatego, że nie jestem przyzwyczajona spać z kimś w jednym łóżku.

- Ja też nie byłem. Do dziś - odparł i zniemacka przyciągnął ją do siebie.

Niechcący oparła dłoń o jego biodro i zorientowała się, że jest nagi. Drgnęła zaskoczona i odruchowo chciała się odsunąć, ale jej nie pozwolił.

- Przecież rano widziałas mnie bez ubrania. Jeszcze się nie otrząsnęłaś? A może chodzi o to, że wolałabyś z innym?

- Z kim?!

- Cały dzień nie odstępowałaś Evana - szepnęła, pieszcząc jej piersi. - Czyżby przysięga małżeńska

zaczynała ci ciążyć?

- C. C. , nie mów tak. Wiesz, że to nieprawda.

Wbił palce w jej delikatne ciało.

- Wiedziałem, że się nie przyznasz. I chyba nawet nie mam o to pretensji. W końcu to ja wpakowałem nas w ten bałagan.

Bałagan. Więc tym jest dla niego ich małżeństwo. Serce ścisnęło jej się z żalu.

- Szukałam cię - powiedziała z wyrzutem. - Mówiłeś, że idziesz zadzwonić.

- I zadzwoniłem, stąd. Musiałem rozmówić się z Edie.

A jednak! Miała ochotę dać mu w twarz. Ostrzeżenie Evana przyszło w samą porę. Ta kobieta rzeczywiście nie zamierza dać za wygraną, a Connal jest na tyle bezczelny, że nie zawahał się dzwonić do niej z rodzinnego domu. Skoro tak bardzo za nią tęskni, pewnie żałuje, że się rozstali.

Wyczuł jej rezerwę i serce podskoczyło mu ze szczęścia. Gniewa się, że rozmawiał z Edie! To dobry

znak. Może jednak trochę jej na nim zależy.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - prychnął.

- Mam. Idę spać - syknęła przez zęby.

- Zaśniesz? - Jednym ruchem zerwał z niej kołdrę i nie zważając na protesty, pochylił się i objął wargami jej pierś pod przezroczystym materiałem. Gdy zaczął ją ssać, jęknęła głośno i wyprężyła się, drżąc z rozkoszy. Jej krzyk i szybki oddech stanowiły muzykę dla jego uszu. Zdarł z niej koszulę i niecierpliwie zaczął przypominać sobie kształt jej chętnego ciała. - Chcę w ciebie wejść - szepnął jej do ucha. - Nie będzie cię bolało?

- Nie... - Chwyciła go mocno za ramiona, by przyciągnąć go ku sobie. Bez namysłu rozsunęła nogi i uniosła biodra. Chciała, by połączył się z nią jak najszybciej.

- Weź mnie... - jęknął i wbił się w nią mocnym, płynnym ruchem.

- Proszę cię, rób tak... jeszcze... Connal, nie przestawaj ! - błagała, kołysząc rytmicznie biodrami.

Chwycił zębami jej wargę.

- Krzyczysz. Lubię to... Lubię twój zapach i smak...

Powiedz, że bardzo mnie chcesz...

- Chcę cię... bardzo... tak bardzo... - dyszała zupełnie nie panując nad sobą. Bała się, że jeszcze chwila i oszaleje. C. C. chyba czytał w jej myślach, bo jeszcze raz napał na nią biodrami i dał cudowne ukojenie. Kiedy poczuła pierwszy silny dreszcz, opadł na nią, wstrząsany konwulsyjnymi skurczami.

Długo drżała tuląc się do jego wilgotnej piersi. Nie miała pojęcia, dlaczego z jej oczu płyną łzy. C. C. poczuł je na policzku. Pomyślał, że przestraszyła się tego, co się z nią dzieje.

- Nie bój się - szepnął czule. - Odlecieliśmy bardzo, bardzo wysoko. Teraz pozwól sobie bardzo powoli opadać. Zaraz ochłoniesz - obiecywał, głaszcząc jej splątane włosy.

- Mówiłeś, że krzyczę...

- I że bardzo to lubię - szepnął. - Dotknij mnie - poprosił ją ochryple, i wzięwszy ją za rękę, pokazał, jak

ma to zrobić. Ta szczegółowa lekcja męskiej anatomii była bardzo długa i tak wyczerpująca, że Penelopa w pewnej chwili przytuliła się do niego, zamknęła oczy i zasnęła kamiennym snem.

Następnego dnia wrócili do domu. C. C. był w dużo lepszym humorze, gdy jednak dotarli na ranczo, nie zaproponował, żeby przyszała na noc do baraku.

Mijały kolejne dni, a on wciąż trzymał ją na dystans. Był wprawdzie bardzo przyjazny, a nawet czuły, lecz ani razu jej nie dotknął ani nie pocałował. Obserwował ją spod opuszczonych powiek, jakby nie mógł podjąć decyzji.

Penelopa ciągle się zastanawiała jak przebiegła jego rozmowa z Edie oraz czy to przez Edie stracił zainteresowanie jej ciałem.

- Co się dzieje między tobą a moim zięciem? - zapytał ją wprost ojciec, gdy któregoś dnia wczesnym rankiem kończyli śniadanie.

- O co ci chodzi? - próbowała go zbyć, krzątając się po kuchni w zwyczajnym, domowym stroju: džinsach,

swetrze i przydeptanych kapciach. Martwiła się, że C. już drugi raz nie przyszedł na wspólne śniadanie.

- Nie zachowujecie się jak mąż i żona - wypalił. - Odkąd wróciliście z Jacobsville, oboje macie ponure miny.

- Connal dzwonił stamtąd do Edie - powiedziała cicho. - Obawiam się, że chce mnie zostawić albo sprowokować, żebym pierwsza wystąpiła o rozwód. Nic na ten temat nie mówi, ale widzę, że nie jest szczęśliwy. Tato, miałeś jechać dziś do El Paso - przypomniała mu. Bała się, że zaraz zacznie zadawać zbyt osobiste pytania.

- Pamiętam, zaraz wychodzę. Dlaczego mielibyście brać rozwód? W waszym przypadku wystarczy unieważnienie.

- To już niemożliwe - bąknęła zawstydzona.

- Hm... skoro tak się sprawy mają, to dlaczego razem nie mieszkanie? - dziwił się. - Przecież tu niedaleko stoi umeblowany, wygodny dom, w sam raz dla was dwojga.

- Tato, jest jeden duży problem... - wyszeptała przez łzy.

- Co znowu? - Zdenerwował się.

Ręce tak mocno jej drżały, że niechcący upuściła do zlewu patelnię. Hałas zagłuszył odgłos kroków Connala, który - wszedłszy do domu frontowymi drzwiami - już miał wejść do kuchni, gdy usłyszał zdławiony głos Pepi.

- Powiem ci, jaki to jest problem - mówiła połykając łzy. - Connal mnie nie kocha. Nie kochał i nie kocha - powtórzyła z rozpaczą. - Niby wiedziałam o tym, więc nie powinnam na nic liczyć, ale łudziłam się, że może...

Ojciec przytulił ją mocno, by się wypłakała.

- Biedactwo - mruzczał, gładząc ją po drżących plecach. - Podejrzewam, że mu nie powiedziałaś, jak bardzo go kochasz.

Connal poczuł, że z wrażenia brakuje mu tchu. Chciał się poruszyć, ale nie mógł zrobić kroku.

- Nigdy mu tego nie mówiłam - szlochała. - Pomyśl, tato, trzy beznadziejnie długie, koszmarne lata. A



potem ten idiotyczny ślub. Po co ja się zgodziłam?! Przecież wiedziałam, że Connal nie zechce takiej przeciętnej, grubej dziewczyny jak ja. Tato, ja go tak bardzo kocham! Powiedz mi, co ja mam teraz zrobić?

Connal, blady jak ściana, wszedł cicho do kuchni.

- Po prostu mu to powiedz. - Głos drżał mu z emocji. Na jego widok Ben odsunął się od Pepi i pospiesznie zerknął na zegarek.

- Na mnie już czas - mruzczał pod nosem, skrywając chytry uśmieszek. - Wrócę po lunchu.

Nawet nie zauważyli, jak wyszedł.

- O mój Boże! - jęknęła przez łzy. - Musiałeś tu stać i podsłuchiwać?!

- Nie wolno? - powiedział. Podszedł do niej i przytulił ją tak mocno, że przez dzinsy czuła twarde rzemienie i sprzączki skórzanych osłon, które miał na dzinsach. - Powiedz mi to prosto w oczy. Powiedz, że mnie kochasz! - nalegał.

- Kocham cię! - wrzasnęła. - I co?! Masz satysfakcję?

- Jeszcze nie, ale zaraz ją sobie sprawię. - Pochylił się i pocałował ją w usta. Tak bardzo za nim tęskniła! Śniła o nim co noc i marzyła za dnia wspominając ich cudowną miłość. Kiedy znowu poczuła go blisko, zupełnie straciła głowę. Zarzuciła mu ręce na szyję. - Zaczekaj - wykrztusił, odrywając ją od siebie niemal siłą. Zamknął drzwi na klucz, a potem odpiął skórzane osłony i drżącymi rękami zaczął ją rozbierać. Pomagała mu gorliwie, szamocząc się z guzikami jego koszuli i sztywnym materiałem spodni.

Gwałtownym ruchem przysunął sobie krzesło i opadł na nie całym ciężarem. Po chwili o podłogę stuknęła klamra jego kowbojskiego pasa i rozległ się charakterystyczny zgrzyt rozsuwanego suwaka. Wyciągnął do niej ręce, oparł na jej biodrach i delikatnie posadził ją na sobie. Kiedy poczuł jej wilgotne ciepło, gwałtownie nabrał powietrza do płuc.

- Wybacz mi - jęknął. - Już nie mogę dłużej...

- Ja też - szepnęła między pocałunkami. - Kocham cię...

- To ja cię kocham... - Przygarnął ją do siebie. - Bardziej, niż potrafię powiedzieć...

Odurzona zachłysnęła się powietrzem. Słyszała jak Connal bezustannie powtarza te dwa słowa, na które tak długo czekała. Falowała nad nim rytmicznie, tak jak jej nakazywały niecierpliwe ruchy jego rąk, którymi na zmianę podnosił ją i dociskał do swoich bioder. W tym samym rytmie zaczęła kołysać się ziemia i niebo. Eksplozja, jaka ich połączyła, rzuciła ich na podłogę. C. C. , śmiejąc się, spojrział w jej rozbawione oczy.

- Oto do czego prowadzą techniki wymyślone pod wpływem zaślepienia pożądaniem - parsknął. - Chodźmy do twojej sypialni i zrobmy to jeszcze raz, w łóżku, jak Pan Bóg przykazał.

Kilka godzin później znowu siedzieli w kuchni, tym razem spokojnie jedząc szarlotkę i pijąc kawę.

- I to ma być niewinna i cnotliwa wiejska panna - mruzczał Connal, wspominając miłosne korepetycje, jakich udzielił jej na górze. - Jesteś obłudna!

- Kto z kim przestaje, takim się staje! - odcięła się. -

Słuchaj, mężu, mamy problem!

- Jesteś w ciąży? - zapytał, nie kryjąc nadziei.

- To nie jest żaden problem. Jeszcze nie wiem. Chodzi o to, że jestem twoją żoną, ale nie mam obrączki.

Uśmiechnął się chytrze i wsunął dłoń do kieszeni.

- Nie masz? - powiedział, podając jej małe pudełko. W środku znajdował się pierścionek z dużym brylantem i złota obrączka wysadzana brylancikami.

- Piękne - szepnęła wzruszona. - A gdzie jest twoja obrączka? - Spojrzała na niego pytająco. - Nie myśl sobie, że nie będziesz musiał jej nosić. Nie pozwolę, żeby wszystkie panny, wdowy i rozwódki z całego Teksasu wyciągały łapy po moją zdobycz!

- Dobrze, dobrze - mruknął pojednawczo. - Trochę później pojedziemy do miasta i pozwolę się zaobrączkować.

Zajęci rozmową, nie usłyszeli, że do domu wszedł Ben Mathews.

- Wielkie nieba! - zawołał, stając w progu.

- Zobaczyłeś moją obrączkę i pierścionek - domyśliła się Penelopa, promieniejąc ze szczęścia.

- Może ochłonie, jak mu powiesz, że wieczorem wprowadzamy się do tego wolnego domu - odpowiedział C. C.

- Słyszałeś, tato? Hej, tato! Co ci się stało? Dlaczego nic nie mówisz? Nie cieszysz się, że wreszcie się dogadaliśmy? Że będziemy razem mieszkać i że będziesz miał wnuki? Powiedz coś! Cieszysz się czy nie?

- Oczywiście, że się cieszę, Pepi, ale...

- Ale...? - zaniepokoił się Connal.

- Ale co? - zniecierpliwiła się Pepi.

- Cholera! - wrzasnął ojciec, rzucając kapelusz na stół. - Zjedliście całą moją szarlotkę!

Kilka tygodni później Penelopa przyniosła mu w prezencie trzy blachy świeżo upieczonego ciasta oraz wiadomość, że zostanie dziadkiem. Kiedy opowiadała o tym Connalowi, przyznała że trudno było się

zorientować, co sprawiło jej ojcu większą radość.